

Miesięcznik „Towarzystwa Solidarność”

Pogląd

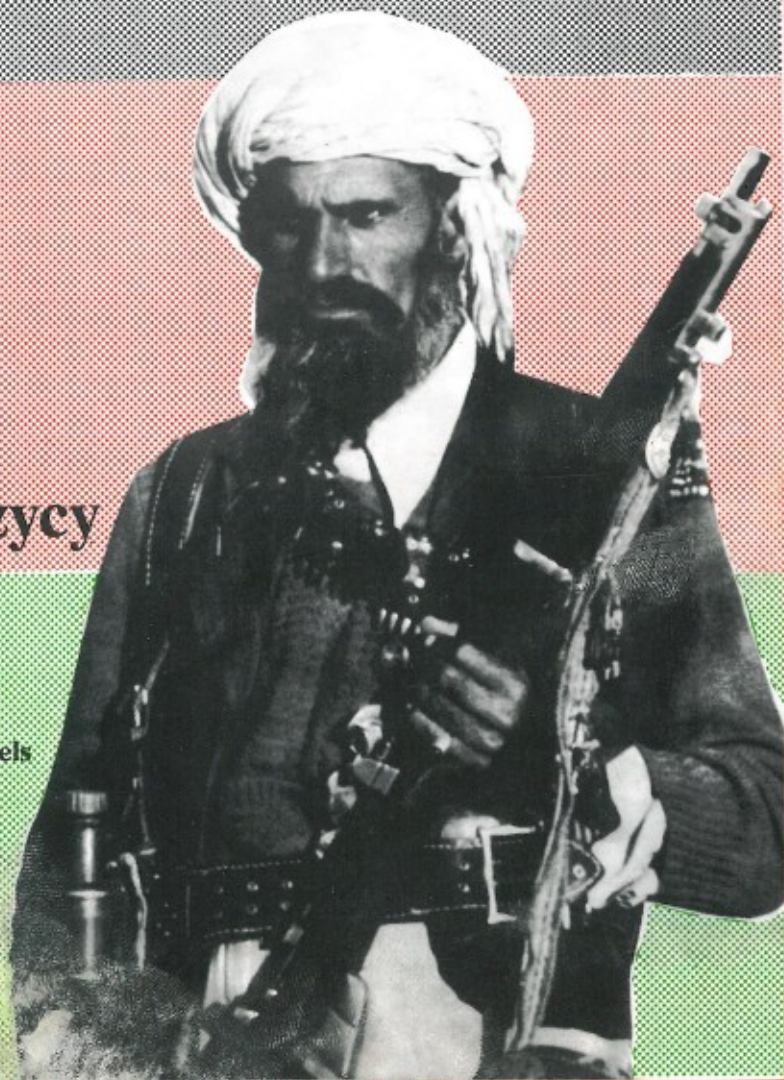
Rozmowa z
Andrzejem
Gwiazdą



Afgańczycy

to dzielna,
zahartowana
i niezależna
rasa

Fryderyk Engels



Cena DM 6,-

ISSN 0930-9500 Cena: Austria — 45,- 6S; Kanada — 5,- S; USA — 5,- S; Wielka Brytania — 2,25 £

Wiktor Grotowicz Afganistan: koniec wojny?	1
Maciej Radwan Rybiński Prywatne rozmyślenia	17
Grzegorz Wiktorczyk Pierlestrójka na ludowo?	20
Tadeusz Skokowski Polska opozycja polityczna	25
Andrzej Nadzieja „Wolność i Pokój” czyli w imię ludzkiej solidarności	28
Kalendarium - Młodzieży ..	34
Kamil Wilczyński Związek po 6 latach	37
Leszek Wyrwa Lex Urban	41
Tomasz Wiśniewski Muzyka (nie)chciana	47
Jacek Giewałt Kto w Polsce pije, ile i dlaczego?	50
Andrzej Zaczyn Żona z kieliszkami	55
Andrzej Piwowarczyk Anonimowi alkoholicy	57
Mirek — alkoholik	60
Kazimierz Podlaski O kondycji narodowej Białorusinów	63
Bogdan Szczeblowski Labirynt grozy	71
Marta Wallszewska Z biblioteczek emigrantki	74
Jan Tyberski Z Rzymu...	76
Paweł Gajowniczek Z Oslo...	79
DOKUMENTY	81
KRONIKA EMIGRACYJNA	83

Oddano do druku dn. 20.01.88r.

Wielka polityka po przesileniu grudniowym w Waszyngtonie powróciła na orbitę codzienności, a świat nie wypadł z łańcuchów. Jednak spotkanie na szczycie, obok redukcji arsenału nuklearnego, zaowocuje być może drobną korektą na politycznej mapie świata i Sowietci, zgodnie z zapewnieniem Gorbaczowa, do końca bieżącego roku wycofają swoje wojska z Afganistanu. Jak zauważa Wiktor Grotowicz w artykule wstępnym **AFGANISTAN: KONIEC WOJNY?**, w którym mowa o aktualnej sytuacji politycznej i wojskowej w tym kraju: „sowiecka krzątanina wokół problemu afgańskiego nie jest czynnością pozorowaną”.

Natomiast Grzegorz Wiktorczyk w związku z ostatnimi zajściami w Rumunii w artykule **PIERLESTROJKA NA LUDOWO?** przepowiada, iż w kraju Ceausescu „niedaleka wydaje się przyszłość, w której przewagę mogą zdobyć »gniewni«, a wtedy najbiedniejszy barak obozu stać się może najbardziej zapalnym”.

W niniejszym numerze »Poglądu« najwięcej miejsca jednak poświęcamy najgroźniejszej plagze społecznej dzisiejszej Polski — alkoholizmowi. Jacek Giewałt odpowiadając na pytanie **KTO W POLSCE PIJE, ILE I DLACZEGO?** (str. 50) przypomina o przerażającej prognozie Komisji Episkopatu, z której wynika, iż jeśli tendencje ostatnich 20 lat się nie zmienią, to w roku 2000 możemy doczekać się Polski z 17 milionami alkoholików i spożyciu 16 l czystego alkoholu na głowę! Pomyśleć tylko, że w Polsce przedwojennej wskaźnik ten w roku 1938 wynosił 1 litr na osobę.

Wydana niedawno w Polsce książka Sokrata Janowicza „Białoruś, Białoruś...” spowodowała Kazimierza Podlaskiego do podjęcia kontrowersyjnej polemiki z autorem na temat kondycji narodowej Białorusinów (str. 63) i poruszenia niepodjęwanego od lat problemu stosunków polsko-białoruskich.

Tymczasem prawodawstwo PRL-u wzbogaciło się o precedensowe prawo „lex Urban”, z którego wynika, iż rzecznik rządu może pozwolić sobie na wszystko, nie obawiając się żadnych konsekwencji, gdyż działa „w imieniu wyższego dobra”. Z kuriozalnego procesu o zniesławienie, wytoczonemu Urbanowi przez czworo polskich naukowców zdaje relację Leszek Wyrwa na str. 41.

O osiągnięciach, planach i strategii działającej jawnie w Polsce organizacji „Wolność i Pokój” mówi w wywiadzie na str.28 jej rzecznik na Zachodzie Jan Minkiewicz.

Redaktor

Afganistan: koniec wojny?

W Afganistanie rozpoczął się dziewiąty rok wojny. O rocznicy tej dużo i wyczerpująco pisała prasa zachodnia. Nie zawsze tak było. Wojna w Afganistanie, patrząc od strony Zachodu, należy do wojen wstydlivych w przeciwieństwie do słusznie potępianych, jak na przykład w Nikaragui czy w Jordanii. Niekiedy obrońcy praw człowieka, działający w zachodnich organizacjach, przez bardzo długi okres czasu nazywali walki w Afganistanie „zapomnianą wojną”, o której niewiele można było przeczytać w gazecie, a jeszcze mniej obejrzeć w telewizji. Nagle wojna ta powróciła do międzynarodowego obiegu informacyjnego i to nie za sprawą przejętego losem mordowanych kongresmena amerykańskiego czy rozgorzconego zachodnioeuropejskiego konserwatysty, ale pierwszego komunisty świata — Michaiła Sergiejewicza Gorbaczowa.

Nie po raz pierwszy Gorbaczow zaskoczył zachodnich obserwatorów swoim talentem propagandowym (elegancko nazywa się to „public relation”). Wśród góry propozycji rozbrojeniovych, jakimi Gorbaczow zarzucił stronę zachodnią, znalazł się również postulat wyprowadzenia Armii Czerwonej z Afganistanu. Postulat jak najbardziej rzetelny, uczciwy, a jednocześnie skromny w swym wyrazie. Dzięki temu na arenie międzynarodowej ponownie znalazł się „problem afgański” (tak, jak by nie był to przede wszystkim „problem sowiecki”). Gorbaczow zaskarbił sobie tym posunięciem podziw zachodnich mass mediów i szacunek tutejszych polityków. A gdy dojdzie do zakończenia ludobójstwa w Afganistanie, I Sekretarz KC KPZS zostanie okrzyknięty zapewne oswobodzicielem i dobroczyńcą ludów spod Hindukuszu.

Sowieckie starania o wyjście z „tej trudnej sytuacji” (określenie sowieckiej prasy) rzeczywiście robią wrażenie usilnych. Z jednej strony Michaił Siergiejewicz pokazuje swoje sztuczki propagandowe i opowiada na prawo i lewo, iż jak najszybciej chciałby mieć „trudną sytuację” z głowy, z drugiej zaś w samym Afganistanie po stronie reżimu dzieją się rzeczy zastanawiające. Już przed kilkoma miesiącami Sowietci nakazali rządowi Najibullaha rozpoczęcie „kampanii na rzecz narodowego pojednania”. Były szef policji politycznej Afganistanu i obecna głowa państwa w ramach „pojednania” nakazał z kolei zbudowanie 270 meczetów oraz kilkakrotnie wystąpił w telewizji pokazując swoją religijność podczas odprawia-



DRENAŻ MÓZGÓW?

Polscy naukowcy wyjeżdżają na Zachód zwykle na koszt strony zapraszającej. Polska Akademia Nauk od kontraktu lub stypendium pobiera wysoki haracz. Inaczej z wyjazdami do KDL-ów: gospodarz wkłada 300 rubli, PAN dopłaca dalsze 400 oraz dodatki rodzinne. Chętnych coraz więcej — zarabia się nie-
le, a połowę pensji można wymienić na bony PKO.

(Tygodnik Mazowsze, nr 230)

KOMISJA ZŁODZIEJSKA

Zoliborski ZOZ otrzymał w listopadzie z Holandii transport z odzieżą, żywnością, owocami południowymi, lekami i zabawkami. Rozdziału dokonała 5-osobowa komisja złożona z przedstawicieli PRON, ZSMP i neozwiązków. W wyniku jej działalności tylko zabawki trafiły na dziecięcy oddział chirurgiczny — reszta transportu zniknęła.

(Tygodnik Mazowsze, nr 230)

KOMUNIKAT NIEZALEŻNEJ OFICYNY WYDAWNICZEJ

(...) W przekonaniu, że przełamanie państwowego monopolu w dziedzinie kultury jest jednym z najważniejszych osiągnięć działającej w Polsce od 1976 r. opozycji, Niezależna Oficyna Wydawnicza powołała zespół roboczy, którego zadaniem będzie przygotowanie wystawy do-

kumentującej istnienie i działalność niezależnej kultury w Polsce. (...) Wystawa zostanie przedstawiona na Zachodzie — przede wszystkim w miejscowościach będących dużymi skupiskami polskiej emigracji. Przewidywany termin otwarcia wystawy — marzec 1988 roku.

Przedstawicielem zespołu roboczego, odpowiedzialnym za prezentację i sfinansowanie wystawy za granicą jest Paweł Bąkowski — Amherst, Massachusetts, USA.

(*Tygodnik Mazowsze*, nr 230)

CZYM ZAJMUJE SIĘ WOJEWODA GŁOGOWSKI?

I oddział mechaniczny Zakładów Remontowo-Budowlanych Huty „Głogów” zastrajkował 5.X.87, po czterech dniach bezskutecznych interwencji w sprawie braku ciepłej wody w łaźni. Dyrekcja tłumaczyła, że grzać nie pozwala wojewoda. Gdy strajkiem zagroził również II oddział mechaniczny, już nazajutrz znalazły się nagrzewnice i zgoda wojewody.

(*Z dnia na dzień*, nr 435)

KOMUNIZM = POSTAWA KONSUMPCYJNA

Jak wynika z felietonu „Tydzień w tygodniu” w *Tygodniku Mazowsze*, nr 230, w przedrukowanym w Polsce wywiadzie prymasa Glempa dla jednego z dzienników hiszpańskich (również w niniejszym wydaniu *Poglądu* — przyp. red.) we fragmencie wyliczającym najistotniejsze problemy, z jakimi przychodzi walczyć Kościołowi w Polsce (komunizm, egoizm, alkoholizm) cenzura zmieniła komunizm na „postawę konsumpcyjną”.

KOMUNIKAT KOMISJI INTERWENCJI I PRAWORZĄDNOŚCI NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”

Podstawowym narzędziem represji wobec uczestników niezależnych inicjatyw społecznych obok wyroków kolegów d/s wyroczelni jest zagrożenie wydaleniem z pracy. Zagrożenie to stanowi istotny hamu-

nych modłów. Nikogo już potem nie zaskoczyło, iż ten wychowanek KGB, który już w roku 1965 jako 18-latek wstąpił do afgańskiej partii komunistycznej, później na wzór sowiecki organizował we własnym kraju tajną policję, by w maju 1986 roku zastąpić na rozkaz Sowietów zniechęconego i co gorsze, pogardzanego przez cały prawie naród Babraka Karmala — nikogo nie zdziwiło więc, iż ten „rewolucjonista”, określany przez ludność dwoma przymiotnikami: „bezwzględny” i „bezlitosny”, pewnego dnia oznajmił: „Nigdy nie byłem komunistą”. Ale nie był to jedyny cud w tym kraju pod patronatem Allacha.

Pod koniec listopada 1987 roku reżim zwołał tzw. Wielką Radę (Loya Jirgah), w skład której wchodziły mniej lub bardziej zależni od rządu Najibullaha przedstawiciele plemion narodowościowych. Rada miała się zastanowić nad nowym kształtem konstytucji afgańskiej. Długo nie deliberowano i (zapewne jednogłośnie) uchwalono co następuje: Afganistan z Republiki Ludowej stał się zwykłą Republiką, z konstytucji zniknęły takie określenia jak „socjalizm” i „komunizm”, zamiast przewodniej roli partii komunistycznej wpisano islam jako religię państwową, a Najibullaha, wzorem innych demokratycznych państw mianowano prezydentem. Przeprowadzono też amnestię — z więzień wyszło około 1500 skazanych, których co prawda, natychmiast wcielono do armii, ale mniejsza o szczegóły. Wielka Rada wspomniała też o niezależnych związkach zawodowych (sic!), innych partiach politycznych oraz o komisjach, mających zająć się sprawą praw człowieka w Afganistanie. A wszystko to w kraju okupowanym od ponad ośmiu lat przez Związek Socjalistycznych Republik Sowieckich.



Oddział mudzaheddinów

Są jednak przeszkody. Dalszemu przelewowi krwi winna jest przede wszystkim CIA oraz „różne koła na Zachodzie”, namawiające partyzantów afgańskich do dalszej walki. Winni są też sami partyzanci, o których w numerze noworocznym hamburski tygodniowy magazyn polityczny *Der Spiegel* napisał, iż „większość przywódców ruchu oporu”, którzy „nieleżą zarabiają na wojnie, wykazuje niewielką ochotę, by położyć kres zabijaniu”. Winni są też oczywiście Amerykanie, a przede wszystkim prezydent Reagan. Nie przyjął on bowiem z wdzięcznością propozycji wycofania wojsk so-

wieckich za cenę natychmiastowego zostawienia mudżaheddinów na lodzie, czyli odcięcia ich od dostaw broni i amunicji przez stronę zachodnią. Amerykanie winni są też z innego powodu. Wspomniany już *Der Spiegel* wypowiedział się również i na ten temat: Amerykanie nie chcą końca wojny w Afganistanie, ponieważ: „całkowicie odpowiada im, iż (...) Rosjanie — przy najmniejszym ich udziale — tam się wykrwawia”. A amerykańskie zabiegi o demokratyzację Afganistanu, to czysta demagogia i cynizm. Obawy o stan Afganistanu po ewentualnym powrocie Sowieców do domu zaprzatają nie tylko głowy sowieckiego politbiura i rządu Najibullaha. Także niezależni obserwatorzy nie są nastawieni zbyt optymistycznie wobec mającego nadejść wyzwolenia tego kraju. Problemem numer jeden jest panująca między partyzanckimi ugrupowaniami niezgoda (liczbę walczących w ruchu oporu ocenia się na 300.000), a niekiedy nawet wrogość, mogąca po odejściu Sowieców doprowadzić do bratobójczych walk. Podziały wśród mudżaheddinów wywodzą się z tradycji plemiennych, jak również nowszej orientacji politycznej i religijnej. Na początku wojny najliczniejsze plemiona stanowili Pusztuni (39% ludności), Tadżycy (26%) oraz Hazarowie i Uzbegy (po 10%). Pusztuni też najliczniej uczestniczyli w ruchu oporu, tworząc najczęściej ugrupowania o radykalnym religijnym zabarwieniu. Wśród ugrupowań o nastawieniu raczej narodowym znajdują się Tadżycy, Uzbegy i Hazarowie.

Mudżaheddini zgodni są między sobą co do celu walki (wyrzucenie Sowieców), jednak różnice zarysowują się przy projektach kształtu przyszłego niepodległego państwa. Mówiąc w uproszczeniu: „fundamentalisci” islamscy uważają, iż toczona przez nich walka ma wyłącznie charakter religijny, sięgający korzeniami do tradycji islamskiej, a współcześnie opierający się na wzorcu irańskiego. „Narodowcy” walkę z okupantem traktują jako wojnę wyzwoleniczą, podobną do tych, jakie toczyli w XIX wieku z Anglikami. Niepodległe państwo posiadać winno według nich system parlamentarny, który z kolei odrzucają „fundamentalisci”. Obraz komplikują jeszcze odwieczne konflikty między sunitami (Hazarowie) a szyitami. W wyniku wojny, a dokładniej mówiąc masowej emigracji oraz ludobójstwa dokonywanego przez Sowieców, zmienił się etniczny krajobraz Afganistanu. 85% uciekinierów w Pakistanie to Pusztuni (ogólna liczba 3,5 mln). W rezultacie tego exodusu najliczniejsi w Afganistanie stali się Tadżycy, na drugim miejscu Hazarowie, dalej Uzbegy oraz Pusztuni i Turkmeni. Ta zmiana stanowić może jeszcze jeden punkt zapalny w ewentualnej walce o władzę po odejściu



Wojska sowieckie w Afganistanie używają napalmu

ulec w rozwoju inicjatyw związkowych na terenie zakładów pracy. (...)

W tej sytuacji, uznając wagę podjętych działań Komisja Interwencji i Praworządności zwróciła się do Polskiego Funduszu Praworządności o wyasygnowanie środków pozwalających na objęcie ochroną osób represyjnie zwalnianych z pracy. (...)

Postanowiliśmy co następuje: W stosunku do osób zwolnionych z pracy za uczestnictwo w komitetach założycielskich NSZZ „Solidarność” Komisja Interwencji i Praworządności podejmie zobowiązanie wypłaty średnich poborów, wraz z nadgodzinami, premiami itp., przez okres 6 miesięcy do momentu pełnego zatrudnienia. W wypadku udokumentowanego, złośliwego utrudniania podjęcia pracy świadczenia te mogą zostać rozciągnięte na dłuższy okres czasu. (...)

Poza tym ustala się, że grupą zawodową szczególnie narażoną na ten rodzaj represji są nauczyciele. Ustala się, że nauczycielom, którym ze względów politycznych uniemożliwiono wykonywanie zawodu w roku 1987/88 przysługują takie same świadczenia jak uczestnikom komitetów założycielskich. (...)

(*Solidarność Walcząca*, nr 78)

POLAK W ŁAPCIACH, SKÓRZE (WŁOSEM NA WIERZCH) I ŚWIECZKA

Fragment listu otwartego p. doc. dr hab. Anny Lipińskiej w sprawie rozwoju energetyki atomowej: (...) Pełnomocnik Rządu d/s rozwoju energetyki jądrowej powiedział nam w Poznaniu, że musimy pogodzić się z elektrowniami atomowymi, w przeciwnym bowiem przypadku czeka nas wizja Polaka, której nikt nie zaakceptuje: w łapciach, skórze (włossem na wierzch — zaznaczył p. mgr Bijak, nie wiem dlaczego) i ze świeczką w ręce. Wizja ta wydaje mi się dosyć prawdopodobna. Ale nie zgadzam się z p. mgr. Bijakiem w zasadniczej sprawie. Pan mgr Bijak uważa chyba, że taki Polak będzie się lepiej prezentował na tle reaktorów atomowych niż na tle lasu. A ja uważam, że odwrotnie.

Kraj w prasie zachodniej

REKLAMA PEWEXU
W POLSKIEJ TV

Jak podaje bliski kołom socjal-demokratycznym zachodniemiecki dziennik *Frankfurter Rundschau* z dn. 9.12.87, obecnie w polskiej telewizji wielokrotnie można usłyszeć atrakcyjny głos kobiecy, namawiający do zakupów w Pewexie. W Polsce istnieje 700 sklepów pewexowskich. W roku 1985 obroty Pewexu wynosiły 293 mln dolarów, w 1986 370 mln, natomiast w 1987 – 440 mln. Oblicza się, iż osoby prywatne posiadają w Polsce ok. 5 mld dolarów.

O POLSCE PO REFERENDUM

...pisze z Warszawy korespondent *Frankfurter Allgemeine Zeitung*, Jörg Bremer, w wydaniu z dn. 9.12.87. Autor w artykule pt. „Polacy śnią o oswojonej wronie” stwierdza m.in.: „... a więc społeczeństwo polskie wzięło poważnie normalne w krajach zachodnich prawo nieuczestniczenia w referendum lub głosowania na „nie”. Raz już, w sierpniu 1980 roku, władze państwowe jak i opinia społeczna zostały zaskoczone nagłym wybuchem strajków. „Solidarność” wprowadziła nową epokę do historii Polski. Obecnie nikt już nie uważa, iż referendum zapisało w niej nowy rozdział. Z opozycji państwo-społeczeństwo od dłuższego już czasu powstała koegzystencja, polegająca jednak na braku bliższych



Nowy szef Afganistanu Najibullah

Sowieci wycofanie własnych wojsk poprzedzili eksperymentem, który ma udowodnić, że armia afgańskiego reżimu potrafi sama dać sobie radę z „bandytami”. Na początku grudnia armia rządowa rozpoczęła (oczywiście na wniosek Wielkiej Rady) ofensywę przeciwko partyzantom. Celem operacji był garnizon wojsk reżimowych Chost, położony 80 km od pakistańskiej granicy. Garnizon ten od początku wojny oblegany jest przez mudżahedinów. Zamkniętym w twierdzy żołnierzom reżimu postanowiono przyjść z pomocą. Akcję „oswobodzenia z rąk bandytów” pokazała nawet sowiecka telewizja. Ponad 20.000 żołnierzy rządowych ruszyło, by utorować drogę transportom dostawczym. O udziale sił sowieckich przedstawiciel rządu jak i okupantów nie powiedzieli ani słowa, co miało oznaczać, iż Najibullah własnymi siłami rozbił „bandyckie ugrupowania”, choć dziennikarze zachodni na własne oczy widzieli wymarsz sowieckich oddziałów na Chost.

Sytuacja na froncie afgańskim zmieniła się radykalnie. Obraz potyczek z sowieckimi oddziałami, których główną siłą uderzenia na górzystym, pokrytym skałami terenie, były samoloty oraz helikoptery, ma już niewiele wspólnego z obrazem walk toczących się jeszcze przed kilkunastoma miesiącami. W okresie „Solidarności” krążył po Polsce taki dowcip: Polacy spotykają Afgańczyków. Nawiązuje się rozmowa. Afgańczycy: „Bardzo cieszymy się ze spotkania. Podziwiamy was od dawna za wasz nieugięty antykomunizm oraz twarde przeciwstawianie się Sowietom. My też próbujemy z nimi walczyć, ale mamy wielki problem i chyba wy możecie nam pomóc. Jak dajecie sobie radę z helikopterami?”. Problemu już nie ma. Od czasu gdy mudżahedinom dostarczono amerykańskie rakietki „Stinger” oraz brytyjskie „Blowpipe” (coś w rodzaju przeciwlotniczej bazooski, w 80% zautomatyzowanej i samonaprowadzającej pocisk na cel), sowieccy lotnicy przestali być bezkarni. Jak dotąd, prawie 50% Afgańczyków ginęło od bombardowań z powietrza. Ulubionym sportem sowieckich orłów był niski lot koszący, pozwalający na bardzo skuteczne używanie broni pokładowej. Przeciwlotnicze bazooski okazały się na tyle skuteczne (w początkowym okresie stracono dziennie jeden samolot bądź helikopter), iż orły odmawiały wykonywania niskich lotów, a helikoptery zaczęto wy-

Sowieci w tym przetasowaniu narodowości widzą planową działalność Sowietów. Tadżycy, Turkmeni i Uzbeki afgańscy mają po drugiej stronie granicy z ZSRS swoich współplemieńców, którzy przy następnej okazji mogliby stanowić doskonały pretekst do włączenia całego Afganistanu do ZSRS w ramach „łączenia przedzielonych granicami narodów”, co tak dobrze przed 40 laty poznali rodacy ze wschodnich terenów Polski.

Sowieci wycofanie własnych wojsk poprzedzili ekspe-

syłać tylko nocą.

Jednak Zachód bardzo długo czekał z pomocą tego typu i przez wiele lat partyzanci afgańscy musieli bezradnie przypatrywać się masakrom ludności cywilnej, dokonywanym przez sowieckie lotnictwo. Bilans militarnych akcji prowadzonych przez komunistów w Afganistanie jest przerażający. Według ostatnio ogłoszonych badań statystycznych, prowadzonych wśród uchodźców w Pakistanie (badania zrobione na zlecenie organizacji obrony praw człowieka we Francji i Szwajcarii) liczba ofiar sowieckiej okupacji wynosi ok. 1,242 miliona. Trzy czwarte ofiar to ludność cywilna. Stanowi to 9% całej ludności kraju — więcej (procentowo) niż straty, jakie poniosła Rosja Sowiecka w trakcie drugiej wojny światowej ze strony armii Hitlera (8,6% ogólnej liczby ludności). Przeprowadzono także badania statystyczne dotyczące liczby ofiar wśród ludności cywilnej w poszczególnych latach. Wyróżniono tu cztery fazy:

1/ od kwietnia 1978 liczbie ofiar towarzyszyła zwiększająca się gwałtownie liczba uchodźców (terror rządów Tarrakiego) — liczba śmiertelnych ofiar wynosiła wtedy 6 promili rocznie;

2/ po wkroczeniu wojsk sowieckich 27 grudnia 1979 roku liczba ofiar wzrosła do 7 promili rocznie;

3/ między rokiem 1982 a 1985 działania Armii Czerwonej podnoszą liczbę zabitych do 16 promili;

4/ faza po dojściu Gorbaczowa do władzy — liczba ofiar zmalała nieco w porównaniu do okresu nasilonych walk wojsk sowieckich w poprzednich latach, utrzymała się jednak na wysokim poziomie 13 promili rocznie i nie maleje.

Ta makabryczna statystyka pokazuje rozmiar ludobójstwa dokonywanego przez Rosję komunistyczną także pod rządami Reformatora Wszechczasów. Potwierdzają to także zachodni dyplomaci przebywający w Afganistanie: armia sowiecka dokonuje tam masowego, planowego ludobójstwa mającego złamać wolę oporu narodu afgańskiego. Lekarze przyjeżdżający z obozów dla uchodźców opowiadają o strasznych okaleczeniach wśród ludności cywilnej. Duży procent stanowią dzieci pochodzące ze zbombardowanych wiosek. Liczne są też przypadki rozrzucania przez lotników sowieckich zabawek-pułapek, najczęściej w postaci długopisu bądź motylka rozrywającego się w rękach dziecka. Jakiś czas temu pokazano w telewizji zachodniemieckiej grupę lekarzy związanych z partią Zielonych, którzy opowiadali o swoim pobycie w Afganistanie. Kilka lat wcześniej brali udział w akcji pomocy medycznej dla walczącego z Amerykanami Wietnamu. Potwierdzili, iż to co dzieje się w Afganistanie jest bez porównania okrutniejsze od działań militarnych USA w Wietnamie. Opinia ta jest o tyle wiarygodna, iż Zielonych naprawdę trudno posiadać o sympatie do Ameryki. Ostatnio z Pakistanu wrócił chirurg niemiecki Hermann Lampe. W obozach dla uchodźców opatrywał rannych — poparzonych napalmem. Dużo wcześniej donoszono o stosowaniu przez Sowieców broni chemicznej. W okresie wojny wywieziono do ZSRS ok. 20 tys. dzieci afgańskich, by wychować ich na prawdziwych obywateli socjalistycznego państwa.

Sowiecka krzątanina wokół „problemu afgańskiego” nie jest czynnością pozorowaną. Im naprawdę zależy na zakończeniu walk, w których coraz bardziej dostają w tyłek i które przede wszystkim

kontaktów. (...) Państwo zarzuciło swą omnipotencję; marksizm na nowo odkrył jednostkę. Ile jednakże czasu pozostało państwu i społeczeństwu, aby zbudować między sobą zaufanie (...) które nigdy, nawet jeśli istniało, nie sięgało za głęboko? Ani sekundy.

Dotychczas każdą reformę wymuszano naciskiem społeczeństwa. Prawo to funkcjonuje i dzisiaj. I tak np. rząd jest zdania, iż państwo w dalszym ciągu nie będzie w stanie wybudować swoim obywatelom wystarczającej liczby mieszkań, ale po raz pierwszy mówi się o dopuszczeniu do budownictwa mieszkaniowego sektora prywatnego. Konieczność zmusza władzę do otwarcia się na społeczeństwo, ale tak długo, jak utajona nadzieja na oswojoną wronę będzie większa niż zaufanie do połowicznie, jak na razie, wyciągniętej ręki władz, nie wyjdzie Polska z kryzysu. Tę szansę wykorzystać muszą obie strony. W czasie referendum przegrano tę kartę. (...) Polacy szanują swoją historię, ale czy potrafili skorzystać z historycznej szansy?"

RAZ TAK, RAZ SIAK...

Süddeutsche Zeitung, z dn. 10.12.87 podała, iż wg rzecznika rządu Urbana, władze nie mają zamiaru podejmować jakiegokolwiek dialogu z Lechem Wałęsą. Lecz już 5.01.88 Urban na konferencji prasowej oświadczył, iż rząd nie wyklucza obecnie możliwości dialogu z czołowymi przedstawicielami „Solidarności”, jednakże wiąże to ze spełnieniem przez byłych związkowców następujących warunków: samokrytycznej oceny dotychczasowej działalności, rezygnacji z pomocy finansowej z zagranicy i działalności nielegalnej, przestrzegania konstytucji, odsunięcia się od ekstremistów, zarzucenia polityki bojkotu, poparcia reformatorskich poczynań rządu.

Wałęsa na przedstawione propozycje zareagował sceptycznie.

(*Tagesspiegel*, 6.01.88)

SŁUŻBA ZDROWIA W PRL

FAZ, z dn. 11.12.87 streszcza

artykuł, jaki dnia poprzedniego ukazał się w *Słowie Powszechnym*, dotyczący sytuacji w polskim lecznictwie.

I tak np. w nowo wybudowanym centrum leczenia raka w Warszawie, najnowocześniejszym ośrodku tego typu w Polsce, wobec braku medykamentów lekarze nie mogą przeprowadzać zalecanych terapii i w ten sposób są zmuszani do podejmowania trudnego wyboru, komu ratować życie, a kogo skazać na śmierć.

Polska od 10 lat nie inwestowała w przemysł farmaceutyczny. Już w połowie lat 70-tych zapotrzebowanie na leki zaspokajane było tylko w 75%, podczas gdy dziś tylko w 40%.

Jeśli chodzi o sytuację polskich anestezjologów, jest ona jeszcze bardziej przerażająca; brak odpowiednich leków uniemożliwia przeprowadzenie wielu operacji.

„Jak to się dzieje — pyta sarkastycznie *Słowo Powszechne* — że w innych krajach przemysł farmaceutyczny jest kurą, która znosi złote jaja gospodarce, a u nas jest odwrotnie?”

UDANA DEMONSTRACJA W WARSZAWIE

Tagesspiegel, z dn. 11.12.87 zamieszcza na pierwszej stronie informację o spektakularnej akcji protestacyjnej na ulicach Warszawy w dn. 10 grudnia, tj. w Międzynarodowym Dniu Praw Człowieka.

Na jednym z najbardziej ruchliwych skrzyżowań Warszawy dwóch młodych ludzi wspięło się na ustawione tam rusztowanie i rozwiesiło pięć transparentów, rozrzucając przy tym tysiące ulotek.

Dopiero po godzinie specjalna jednostka milicji zwinęła transparenty i zatrzymała młodych ludzi.

POLSKA EWAKUACJA DROGĄ MORSKĄ

Jak donosi *Die Welt* z dn. 16.12.87 za służbą graniczną z Flensburga (RFN) w roku 1987 liczba Polaków, którzy zdecydowali się na ucieczkę drogą morską do RFN wynosiła 3.969 osób, przy 3.250 w roku 1986.

szpecą pokojowe oblicze I Sekretarza. Ponadto wojna ta jest bardzo kosztowna. Związek Sowiecki traci rocznie w Afganistanie trzy miliardy dolarów oraz 6.000 żołnierzy (plus 12.000 rannych). Gorbaczow chce jednak mieć pewność, iż po wycofaniu 130 tys. żołnierzy Armii Czerwonej Afganistan pozostanie w orbicie wpływów sowieckich. W popularnej ostatnio na Zachodzie książce „Pierestrojka” (ale chyba niezbyt uważnie czytanej) I Sekretarz partii sowieckiej wypowiada się także na temat stosunków sąsiedzkich z innymi krajami: ZSRS ma „prawo” do tego, by być otoczonym przez „zaprzyjaźnione kraje”, a co w retoryce sowieckiej oznacza „zaprzyjaźniony kraj” wiedzą mieszkańcy Europy Wschodniej — zasadniczym czynnikiem owego „zaprzyjaźnienia” jest fakt stacjonowania wojsk sowieckich, też zaprzyjaźnionych.

Sytuacja w samym Afganistanie nie poprawia jednak samopoczucia Gorbaczowa. W pakistańskim mieście Peszawar doszło niedawno do zjednoczenia ruchu mużaheddinów pod wodzą jednego przedstawiciela, którym został fundamentalista Junos Khales. W swoich wypowiedziach dystansuje się on jednak od irańskiego wzoru i zapowiada demokratyczny kształt przyszłego państwa. Po stronie reżimu dochodzi natomiast do coraz gwałtowniejszych sporów. Do dwóch od dawna zwalczających się frakcji partyjnych Hagl (lud) i Parczam (sztandar) dołączyła trzecia: zwolenników byłego I sekretarza Karmala. Co prawda strona sowiecka zapewniła rządowych i partyjnych dygnitarzy, iż w „razie czego” wywiezie ich samolotami do ojczyzny proletariatu, i to z całym dobytkiem, ale pomimo tego nerwowość wśród przedstawicieli reżimu bynajmniej nie maleje.

Gorbaczow na pewno myśli o wycofaniu własnych wojsk z niewygodnej wojny, ale warunkiem nie jest tak propagandowo wygrywany argument przerwania amerykańskiej pomocy dla partyzantów. Chce mieć on pewność, iż te osiem (dziewięć, dziesięć?) lat nie pójdzie na marne i nie nadwyręży wśród ludów dobrej opinii zdobywcy, jaką do dziś cieszy się ZSRS. Mogło by to zresztą niektórym nasunąć pomysł nieproszenia w przyszłości o „internacjonalistyczną pomoc”, a nawet **wyproszenia** zaproszonych już uprzednio gości. Wraz z wkroczeniem wojsk sowieckich do Afganistanu okupanci zaczęli rozbudowywać też inną sieć zależności od ZSRS. Dzisiaj 80% zagranicznej pomocy dla Afganistanu pochodzi ze Związku Sowieckiego. Fabryki na licencji sowieckiej zbudowane przez sowieckich specjalistów produkują 60% towarów. 75 tys. afgańskich specjalistów wykształconych zostało przez sowieckich inżynierów. Ostatnio debatowano w Moskwie nad „rozwojem stosunków patronackich” między poszczególnymi republikami sowieckimi a 29 afgańskimi prowincjami (nie zakomunikowano, komu przypadnie rola patrona). Nad problemem tym w gmachu Komitetu Centralnego KPZS dyskutowali następujący specjaliści do stosunków tak partnerskich jak i patronackich: minister spraw zagranicznych Szewardnadze, sekretarz KC Dobrynin, zastępca Gorbaczowa Ligaczow oraz szef KGB Czebrikow. Niestety, partyzanci afgańscy nie widzą dobrej woli po stronie sowieckiej i nadal postępują według starego, ale ciągle aktualnego hasła: „Nigdy nie ufaj komuniście”, czego w nowym roku sobie, jak i wszystkim czytelnikom *Poglądu* życzy autor.

GEN. JARUZELSKI: NIE BĘDIEMY LIBANEM EUROPY!

Na posiedzeniu KC Jaruzelski oświadczył, iż nie ma odwrotu od reform, które są obiektywną koniecznością, a także przyrzekł dopilnować, by Polska nie stała się Libanem Europy - *FAZ*, 17.12.87.

Neue Zürcher Zeitung z dn. 18.12.87 tak ocenia w/w posiedzenie KC:

„Nie było trzęsienia ziemi. Stare struktury i opór nomenklatury stanęły na drodze gruntowniejszym reformom. Nie doszło do żadnych konkretnych kroków w kierunku zmian strukturalnych i zarządzania.”

Korespondent szwajcarskiego dziennika w rozmowie z jednym z czołowych polskich socjologów, którego nazwiska nie podano, usłyszał, iż „dla szerokich kręgów polskiego społeczeństwa socjalizm to puste i zużyte słowo”.

W zakończeniu korespondencji autor zacytował popularny w Polsce dowcip, iż „socjalizm jest to najdłuższa faza przejściowa od kapitalizmu do kapitalizmu”.

DEMONSTRACJE KU CZCI OFIAR Z 1970 I 1981 ROKU

Die Welt, z dn. 18.12.87 zamieszcza na pierwszej stronie informację o tym, iż wiele tysięcy Polaków uczciło pamięć poległych robotników oraz o różnych reakcjach milicji - od tolerancji po aresztowania.

W Katowicach po mszy św. ok. 2 tys. osób udało się do kopalni „Wujek”, gdzie złożono kwiaty dla upamiętnienia 7 poległych tam górników w dn. 16.12.81 r. Po zakończeniu uroczystości milicja zatrzymała i poabiła wiele osób.

W Krakowie milicja usunęła kwiaty i świece upamiętniające śmierć górników z kopalni „Wujek”. Nie doszło natomiast do starć ulicznych. We Wrocławiu aresztowano wielu aktywistów „Solidarności”. W Gdańsku SB zezwoliła Lechowi Wałęsie na złożenie kwiatów pod pomnikiem ofiar protestu z 1970 roku.

ZMIANA TAKTYKI „SOLIDARNOŚCI”

Jak wynika z dokumentów warszawskiego Komitetu Regionalnego „Solidarności” z dn. 13.12.87 oraz wyjaśnień złożonych dziennikarzom zagranicznym przez rzecznika Związku Janusza Onyszkiewicza, „Solidarności” będzie usiłowała porzucić taktykę bojkotu wszelkich oficjalnych instytucji na rzecz konkretnych działań.

J. Onyszkiewicz nie wykluczył możliwości kandydowania członków „Solidarności” w wyborach do władz komunalnych.

(*Frankfurter Rundschau*, 21.12.87)

POLSKA NAKŁANIA PRASKIE KIEROWNICTWO DO ENERGIJNEJ POLITYKI REFORM

Pod takim tytułem ukazała się korespondencja Gerta Baumgartena z Warszawy w *Tagesspiegelu* z dn. 24.12.87. Niemiecki dziennikarz stwierdza m.in.:

„Warszawa, która w ub. latach starała się o bardzo bliskie kontakty z przyjaznymi reformom Węgrami zwraca się teraz ku Czechosłowacji. I tak w grudniu praski minister spraw zagranicznych podpisał w Warszawie umowę dotyczącą zwiększenia wymiany turystycznej i choć obywatele obu krajów nie będą mogli przekraczać granicy wyłącznie na podstawie dowodów osobistych, to jednak w przemówieniu polskiego ministra spraw zagranicznych Orzechowskiego znalazł się *passus* dotyczący konsekwentnej likwidacji wszystkich przeszkód, które stoją na drodze pogłębiania więzi między obu krajami.”

Jak dalej stwierdza Baumgarten „polskie wysiłki o wzmocnienie współpracy z Pragą posiadają bardzo prozaiczne powody gospodarcze. Czechosłowacja bowiem, a nie NRD, jest drugim po ZSRS partnerem handlowym Polski.

Planowany 13%-wy wzrost wymiany handlowej między obu krajami przewyższa dynamikę wzrostu obrotów Polski z innymi krajami bloku wschodniego.”

PIERWSZA JASKÓŁKA: TYLKO GRZYWNA ZA ODMOWĘ SŁUŻBY WOJSKOWEJ

W dn. 21.12.87 sąd wojskowy w Gdyni skazał 27-letniego Marka Chahora na 150 tys. zł grzywny za obrazę organów państwowych.

Jak wyjaśnił rzecznik prasowy pacyfistycznej grupy „Wolność i Pokój”, M. Chahora aresztowano w dn. 12.11.87 za odmowę służby wojskowej i odesłanie książeczki wojskowej z powrotem do jednostki wraz z wyjaśnieniem w liście do władz wojskowych, iż uchyła się on od służby w polskiej armii, bowiem splamił swój honor interwencją w Czechosłowacji i podczas wprowadzenia stanu wojennego w Polsce w 1981 roku.

(*FAZ*, 28.12.87)

MINISTER FINANSÓW O SYTUACJI BUDŻETOWEJ W PRL

Die Welt z dn. 30.12.87 streszcza przemówienie ministra finansów Bazylego Samoljika, z którego wynika, iż zadłużenie tzw. gospodarki narodowej sięgnie w 1988 roku 369,6 mld zł, w porównaniu z 260 mld zł w roku 1987.

Minister wytłumaczył, iż wzrost zadłużenia wyniknie z podniesienia cen średnio o 27%, a nie o 40%, jak planował rząd. Do czerwca 1988 r. rząd planuje wprowadzenie tzw. podatku konsumpcyjnego, co ma ujednolicić i zastąpić dotychczasowy podatek dochodowy.

Wobec 36 mld dolarów zadłużenia PRL w bankach zachodnich planowany na 1988 r. dodatni bilans w handlu zagranicznym (ok. 1 mld dol.) nie wystarczy nawet na obsługę długów.

Die Welt informuje również, iż Lech Wałęsa jak i dalszych 1.500 członków „Solidarności” zwróciło się do sejmu o uwolnienie więźniów politycznych, zwłaszcza w obliczu niedawnego zmniejszenia kary dla mordercy ks. Jerzego Popiełuszki, Grzegorza Piotrowskiego z 25 do 15 lat więzienia.

PRAWDZIWE WYBORY?

Die Welt, z dn. 2.01.88 donosi o zmianie ordynacji wyborczej do władz komunalnych w PRL. Głosowanie będzie obligatoryjnie tajne, głosujący będą wybierać między dwoma kandydatami na każde miejsce.

W POLSCE LEPSZY ODBIÓR?

Wg informacji z *Süddeutsche Zeitung* z dn. 4.01.88 audycje BBC i Głosu Ameryki w j. polskim przestały być zagłuszane przez Sowietów i można je bez trudu odbierać w Warszawie. Jak oświadczył rzecznik prasowy RWE w Monachium, wg posiadanych przez niego informacji odstąpiono też od zagłuszania audycji RWE w j. polskim.

W dn. 5.01.88 rzecznik rządu Urban potwierdził te wiadomości i określił fakt odstąpienia od zagłuszania zagranicznych radiostacji polskojęzycznych jako akt dobrej woli ze strony rządu w kwestii swobody dostępu do informacji.

(*Tagesspiegel*, 6.01.88)

KŁOPOTY Z PALIWEM

Jak doniosła dn. 5.01.88 PAP, z powodu kłopotów z paliwem, w grudniu zatrzymano ruch barek na Odrze, unieruchomionych zostało 100 lokomotyw diesla, zdjęto z rozkładu jazdy 12 pociągów dalekobieżnych i 70 lokalnych.

(*Tagesspiegel*, 6.01.88)

NIEZADOWOLENIE I PESYMIZM

Tagesspiegel z dn. 7.01.87 podaje dane ankiety przeprowadzonej przez Centrum Badania Opinii Publicznej w Polsce. 81% ankietowanych określa nastrój społeczeństwa jako niespokojny, 44% wierzy, iż napięcie rośnie, 13% uważa nowe rozruchy w 1988 roku za możliwe. Pełne zaufanie do władz posiada 1,1% badanych, 63,8% nie posiada żadnego zaufania do rządu, 33% przypisuje polskiemu przywództwu dobrą wolę. 39,5% jest zdania, iż położenie gos-

podarcze Polski w ostatnim roku pogorszyło się, a 83% uważa poprawę sytuacji gospodarczej w najbliższych 2-3 latach za niemożliwą. 47,5% sądzi, iż rok 1988 będzie jeszcze gorszy niż 1987.

Kraj w prasie PRL.



INSTYTUCJE DEMOKRATYCZNE CZY DEMOKRACJA INSTYTUCJONALNA?

W artykule z okazji 6 rocznicy wprowadzenia stanu wojennego Marek Jaworski wylicza, w jaki sposób generał Jaruzelski zrealizował zapowiedź kontynuowania socjalistycznej odnowy i prawdziwej demokracji:

„Powołano został Naczelny Sąd Administracyjny, Trybunał Konstytucyjny i Trybunał Stanu. Powstała Inspekcja Robotniczo-Chłopska. Powołano Radę Społeczno-Gospodarczą przy Sejmie i Zespół Doradców Sejmowych. Utworzono Radę Konsultacyjną przy Przewodniczącym Rady Państwa i konwenty obywatelskie na szczeblu wojewódzkim. Stworzono urząd naczelnika praw obywatelskich.”

(*Trybuna Ludu*, 12.12.87)

REFORMA W WOJSKU

„Dotychczas nie było najlepiej. Przynajmniej oficjalnie. Specyfika jednostki i użytkowanego w niej sprzętu — twierdzono — nie sprzyja bujnemu rozkwitowi ruchu wynalaz-

czo-nowatorskiego. I dopiero ostatnio, kiedy do właściwej komórki zaczęło napływać coraz więcej wniosków, poczęto się zastanawiać, dlaczego? Odpowiedź jest krótka. Reforma... Funkcjonują do dzisiaj zgłoszone w komisji w lipcu ubiegłego roku obrotowe rogatki wjazdowe, napędzane elektrycznie i z automatycznym wyłącznikiem. Wykorzystano je w miejsce tradycyjnej bramy lub szlabanu, wartownik uruchamia je zaś przyciśnięciem odpowiedniego guzika. Projekt wynalazcy urządzenia opracowany został przez zespół w składzie: major Marian Ośka, sierżant sztabowy Jan Partyka i obywatel Ryszard Lewicki. O dużej pomysłowości autorów świadczy m.in. fakt wykorzystania przez nich silnika pralki automatycznej.” (*Żołnierz Wolności*, 22.12.87)

KRYZYS DZIEŁEM KOŚCIOŁA

Jan Smoliński o przyczynach kryzysu gospodarczego w PRL:

„... trzeba zdać sobie sprawę z tego, kto wpaja młodym (i starszym też) to, że jesteśmy stworzeni do lepszego? Bez wątplenia ludzie w habitach i sutannach. Benedyktyńska praca to tylko reklama i mit.”

(*Argumenty*, nr 51-52)

DIALEKTYKA POKOJU

Szef Zespołu Komitetu Obrony Kraju do spraw Polityczno-Obronnych Wychowania Społeczeństwa ppłk Tadeusz Rzepecki o polskim ruchu pacyfistycznym „Wolność i Pokój”:

„Zacznijmy od tego, że na Zachodzie ruch pacyfistyczny jest rzeczywiście siłą o dużym znaczeniu i mając najczęściej charakter antywojenny działa na rzecz pokoju. Trzeba też sobie powiedzieć, że pacyfizm pacyfizmowi nierówny. Ma ten ruch wiele odmian: chrześcijańską, naturalistyczną, federalistyczną, naukową, anarchistyczną czy typu Gandhiego, głoszący zasadę niestosowania przemocy. (...) Pacyfści nie analizują mianowicie konkretnych wojen, nie zastanawiają się nad przyczynami każdej z nich. Poza tym nie dostrze-

gają oni klasowych źródeł każdej z osobna wojny i to nie tylko agresywnej, ale i narodowowyzwoleńczej. (...) Nasza polska odmiana - »Wolność i Pokój« - nie ma nic wspólnego z pacyfizmem. Głosząc hasła »przeciz armią«, odmawiając przysięgi na »wierność ojczyźnie" jest w istocie ruchem nie antywojennym, a antywojskowym. Cele »Wolności i Pokoju« wymierzone są bez wątpienia w system obronny naszego państwa. Inspiratorzy są dosyć oczywiści. Sądzę, że nie mamy potrzeby wyolbrzymiać znaczenia tego hałaśliwego, lecz mocno niedojrzałego ruchu. Tak też robimy, wyjaśniając społeczeństwu jego pustkę ideologiczną. (...) A mamy przecież u nas w kraju grupę, którą bez przesady można nazwać pacyfistyczną. Harcerski tygodnik *Na Przelaj* ogłosił akcję pod nazwą »Wolać być«. Jakże inne są jej idee od głoszonych przez »Wolność i Pokój«. (...) W całym świecie walka o młodzież i jej świadomość nabiera coraz większego znaczenia. Przeciwnik ideologiczny nie przebiera w środkach, by dotrzeć do młodego pokolenia, osłabić jego ideowość, zbałamucić zapatrywania. Stąd wysiłki kształtujące osobowość, socjalistyczną świadomość młodych ludzi."

(*Zobierz Wolności*, 3.12.87)

POLACY NIE DOROŚLI

Jerzy Pardus komentuje rezultaty referendum:

„Swego czasu *Polityka* opublikowała tekst o irracjonalnych zachowaniach społeczeństwa w określonych warunkach. Wydaje się, że mieliśmy typowy przykład takich zachowań. Świadczy to po prostu o elementarnych brakach w ekonomicznej edukacji, o skłonności do ulegania psychozie. Jednak przy podejmowaniu decyzji co dalej, nie powinniśmy, przynajmniej ci, którzy takie decyzje podejmować będą, tej psychozie się poddawać."

(*Rzeczpospolita*, nr 50)

MANEWR

W *Tygodniku Kulturalnym* píše o reformie prof. Wacław Wil-

czyński:

„Decydując się na szerokie zmiany cennikowe, a nie na liberalizację cen, wypłacając rekompensaty ex ante, a nie chroniąc pieniądź - stwarza się warunki, w których uzasadnione staje się pytanie o gwarancję poprawy, o gwarancję wzrostu stopy życiowej.

Odpowiedzialność za te sprawy zostaje ponownie przesunięta na państwo. Tymczasem wiadomo, że jedyną gwarancją jest autentyczność reformy, przełom w stosunkach ekonomicznych i mechanizmach gospodarczych, oddanie spraw gospodarczych w nasze własne ręce."

(*Tygodnik Kulturalny*, nr 50)

CHLEWNI MA BYĆ DOWODEM SYMBIOZY WOJSKA Z EKONOMIA

Reportaż Edwarda Smyka prosto z Polski reformowanej:

„Swinie nie rosą wprawdzie na rozkaz, ale czystość, wzorowy ład i porządek, tudzież regularne odżywianie - sprzyjają ich tuczowi. Lustracja chlewni Wojskowego Gospodarstwa Rolnego pod Lublinem odbyła się z wszystkimi wymogami wojskowego ceremoniału. Plutonowi dziennikarzy różnego wieku i temperamentu towarzyszy sam kwatermistrz Warszawskiego Okręgu Wojskowego, generał brygady Marian Wróblewski w asyście swoich czterech zastępców-pułkowników. Szarzy poniżej majora prawie nie widzimy. Chlewnia ma być żywym, pochrzakującym, sympatycznym dowodem życia się, symbiozy z ekonomią." (*Rzeczywistość*, nr 51)

POMOC SPOŁECZNA W WARUNKACH REFORMY

Propozycje działań, przedstawione na posiedzeniu prezydium Polskiego Komitetu Pomocy Społecznej:

„PKPS chciałby się podjąć urządzania parkingów, organizować placówki płatnego poradnictwa prawnego. Myśli się także o wprowadzeniu usług odpłatnych."

(*Życie Warszawy*, 11.12.87)

POLONIZACJA PRUS

Jan Brzóska, pierwszy po wojnie naczelnik Urzędu Skarbowego w Olsztynie wspomina:

„Władza miała wówczas swoją fasadę, swój front, no i swoje podwórko, śmietniki. Od frontu władza była dobra, mówiła prawdę, brała słabych w opiekę, uśmiechała się. Od podwórka - władza utrzymywała obozy pracy, inwigilowała inteligencję warmińską i mazurską, zamykała usta tym, którzy chcieli mówić o draństwie. Nie wiedzieć kto - bandyci, szabrownicy? - wrzucali do studni działaczy mazurskich, ludzi szlachetnych, bojowników o polskości Prus.

Sprawców nigdy nie udało się wykryć. W czerdziestym siódnym, zaraz po wyborach, wielu inteligentów, działaczy warmińskich i mazurskich poszło do więzień. Nawet Buriski, nawet Leyk, Leyding..."

(*Kultura*, nr 52)

ZA WYSOKIE ZAROBKI

Dorota Wesołowska podjęła się udowodnić, że w Polsce brakuje mięsa, ponieważ Polacy za dużo zarabiają:

„Siła nabywcza przeciętnej płacy w przeliczeniu na średnią cenę białka zwierzęcego wzrosła z około 53 kilogramów w 1983 do 80 kilogramów w roku ubiegłym. Jednocześnie tanieją - również w ujęciu względnym - najlepsze gatunki.

Za sumę niezbędną do zakupu kilograma gotowanej szynki można było nabyć przed dziesięcią laty około 4 kg 30 dkg łopatki wieprzowej z kością, a obecnie 2 kg 80 dkg."

(*Gazeta Robotnicza*, 17.12.87)

CEL SOCJALIZMU

Prof. Hieronim Kubiak definiuje socjalizm:

„Celem socjalizmu jest dążenie do poprawy materialnych warunków bytu zdecydowanej większości społeczeństwa."

(*Gazeta Krakowska*, 17.12.87)

W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE

WŁADZE CZECHOSŁOWACKIE O OPOZYCJI

Minister Spraw Wewnętrznych ČSRS Vanjar udzielił w dn. 30.11.87 wywiadu prasowego, w którym stwierdził, że w roku 1987 zatrzymano przy próbie nielegalnego przekroczenia granicy z Austrią lub Niemcami Zachodnimi 920 osób. Połowa niedoszłych uciekinierów starała się w ten sposób, wg ministra, uniknąć kary za przestępstwa kryminalne.

Opozycję polityczną nazwał Vanjar zupełnie niegroźną, lecz jej stałą obserwację określił jako konieczną. (*Die Welt*, 1.12.87)

WALKI O POLITECHNIKE W KABULU

Wg konserwatywnego dziennika *Frankfurter Allgemeine Zeitung* (1.12.87) w dn. 30.11.87 doszło w Kabulu do wymiany ognia między jednostkami armii afgańskiej a siłami bezpieczeństwa, w wyniku której poniosły śmierć dwie osoby. Zbuntowane oddziały armii afgańskiej usiłowały wkroczyć na teren politechniki kabulskiej, gdzie 1500 delegatów oficjalnie zatwierdzało prezydenturę Najibullaha, uchwałało nową konstytucję i zmieniało nazwę państwa z Demokratycznej Republiki Afganistanu na Republikę Afganistanu. Mudżaheddini ze swej strony ostrzelali budynek politechniki raketami, z których jedna eksplodowała na terenie wyższej uczelni.

GORBACZOW ZNÓW OCENZUROWANY

W opublikowanej w sowieckich środkach masowego przekazu w dn. 2.12.87 treści wywiadu, którego Gorbaczow udzielił amerykańskiej stacji telewizyjnej NBC, cenzura dokonała korekty w wypowiedzi Gorbaczowa odnośnie Afganistanu, jak i nie zamieściła wypowiedzi, z której wynika, iż Michał Gorbaczow rozmawia ze swoją żoną Raisą na wszelkie tematy, także dotyczące sowiec-

kiej polityki na najwyższym szczeblu. (*Süddeutsche Zeitung*, 3.12.87)

ODWILŻ NA WĘGRZECH?

Członek węgierskiego KC oraz sekretarz generalny organizacji Patriotyczny Front Narodowy, Imre Pozsgay udzielił wywiadu węgierskiemu dziennikowi *Magyar Nemzet*, z którego wynika, iż ogólnie zła sytuacja społeczeństwa węgierskiego spowodowana jest fałszywie zorganizowanym życiem społecznym. By zmienić tę sytuację, Pozsgay domaga się zwiększenia swobód demokratycznych, doprowadzenia do rządów z woli i legitymacji narodu. Pozsgay wziął też udział w spotkaniu z ponad 100 opozycyjnymi intelektualistami węgierskimi w miejscowości Lakitelek, a sprawozdanie ze spotkania ukazało się w organie PFN.

Dziennik przedrukował szereg tez opozycjonistów, z których wynika, iż naród węgierski znajduje się w poważnym kryzysie społecznym, a krajowi grozi załamanie gospodarcze. Mając na uwadze 3 mln Węgrów żyjących poza granicami swego kraju, przedstawiciele opozycji stwierdzają, iż Węgry jako jedność etniczną prześladowana jest bezprzykładnym podziałem, w wyniku którego naród węgierski nie posiada żadnej wspólnie akceptowanej wizji przyszłości. Podczas spotkania dyskutowano też problem, czy socjalizm w ogóle jest w stanie rozwiązać problemy człowieka. Imre Pozsgay w wywiadzie dla fińskiego dziennika *Hufvudsadsbladet* stwierdził, iż pytanie dotyczące utworzenia na Węgrzech partii opozycyjnej nie powinno być żadnym tabu i należy otwarcie na ten temat dyskutować.

(*Die Welt*, 4.12.87)

SOWIECI KARTOGRAFEM ŚWIATA?

Dyrektor naczelny moskiewskiej firmy „Sojuzkarta” Wiczesław Biskulin zaofiarował zachodnim kontrahentom w cenie 70 dol. za

sztukę zdjęcia robione z satelitów sowieckich z wys. 250 km. Fotografie o formacie 30x30 cm są ponoć lepszej jakości niż konkurencyjne zdjęcia satelitów francuskich i brytyjskich.

(*Die Welt*, 4.12.87)

PROTESTY PRZECIWKO CEAUSESCU W BUDAPESZCIE

Na początku grudnia na ulicach Budapesztu ukazały się ulotki nieznanego autorstwa w językach rumuńskim, węgierskim i francuskim stwierdzające, iż nadszedł czas „abyśmy zademonstrowali nasze prawdziwe uczucia do Ceauseescu”.

Ulotki przystano m.in. do zagranicznych ambasad, a także dostarczono je do pociągów jadących w kierunku Bukaresztu. Autorzy proponują Rumunom niezadowolonym ze swego przywódcy, by każdego dnia o godz. 22.00 na trzy minuty wygaszali w domach światła.

(*Tagesspiegel*, 5.12.87)

ZJAZD KPF

W dn. 2.12.87 w Paryżu rozpoczął się XXVI kongres Komunistycznej Partii Francji. Przy tej okazji *Süddeutsche Zeitung* z dn. 5.12.87 zauważa, iż w listopadzie 1946 r. w wyborach do Zgromadzenia Narodowego KPF otrzymała 28,6% głosów, w roku 1981 tylko 16,1%, a w 1986 r. — 9,8%.

Dziennik przypomina, iż zjazd KPF poprzedziła gruntownie dokonana czystka w łonie partii, dzięki czemu uważany za stalinowca I sekretarz Georges Marchais może liczyć na 98% głosów w każdym głosowaniu. Gościem zjazdu była osoba nr 2 Kremla Igor Ligaczow, który przekazał na ręce G. Marchaisa prezent — model pancernika „Aurora”. W mowie powitalnej Ligaczow zrezygnował z klasycznej formułki „Niech żyje XXVI zjazd KPF” na rzecz „Niech żyją komuniści Francji”, co w obliczu ostatnich czystek może być rozumiane bardzo różnie.

W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE

NOWE WYPADKI W CZERNOBYLU

Jak stwierdza w sprawozdaniu dla dziennika *Socialisticheskaja Industrija* Lukiemienko, szef partii nowo wybudowanego – dla pracowników czernobylskiego kompleksu – miasta Sławuticz, w ostatnich 10 miesiącach doszło do 36 wypadków, w tym trzech śmiertelnych, spowodowanych promieniowaniem radioaktywnym z zabetonowanego reaktora, który eksplodował w dn. 26.04.86 r. (*Süddeutsche Zeitung*, 5.12.87)

„PRAWDA” O ZANIECZYSZCZENIACH ŚRODOWISKA W BASZKIRII

W wydaniu z dn. 2.12.87 moskiewski dziennik stwierdza, iż mimo przeznaczenia 50 mld rubli na poprawę sytuacji w Ufie i Sterlitamaku, stopień zanieczyszczenia środowiska naturalnego w tych dwóch miastach jest skandaliczny i może dojść do konieczności ewakuacji milionowego miasta Ufa. Zanieczyszczeniom winne są zakłady petrochemiczne, od których w promieniu 10 km oficjalnie zabroniono korzystać z wody i uprawiać ziemię. Mimo to w zagrożonej strefie uprawia się ogrody. W samej Ufie, gdzie drastycznie wzrosła śmiertelność, zwłaszcza wśród dzieci, zakłady petrochemiczne „produkują” rocznie ok. 100 tys. ton trujących odpadów, dla których nie przeznaczono nawet osobnego składowiska.

Natomiast w tygodniku *Sobiesiednik* z dn. 3 grudnia stwierdzono, iż zaledwie 200 z 50 tys. wielkich zakładów przemysłowych w ZSRS posiada urządzenia zabezpieczające przez zatruciem wód gruntowych. (*Neue Zürcher Zeitung*, 5.12.87)

WYROKI NA WSCHODNIOBERLIŃSKICH NEOFASZYSTÓW

Czterech wschodniobierlińskich skin-headów, którzy w poło-

wie października ub. roku pobili słuchaczy koncertu punk-rockowego w Berlinie Wschodnim skandując nazistowski okrzyk „Sieg Heil”, zostało skazanych na kary więzienia od 1 do 2 lat. W napadzie miało brać udział także 7 zachodniobierlińskich neonazistów.

W mającym się odbyć procesie w Berlinie Wschodnim przeciwko członkom opozycji zgrupowanej wokół Kościoła ewangelickiego grożą wyroki do 8 lat więzienia.

(*TAZ*, 5.12.87)

SENSACJA: LENIN W KSIĘDZE REKORDÓW GUINNESSA

W liście do moskiewskiego tygodnika *Niedziela* czytelnik Aleksander Romanow stwierdza, iż wielkim wstydem dla ZSRS powinien być fakt umieszczenia nazwiska Władimira Iljicza Lenina w księdze rekordów Guinnessa ze względu na iście rekordową liczbą pomników, ulic, zakładów przemysłowych nazwanych imieniem wodza rewolucji. Czytelnik wyraził też przypuszczenie, iż Lenin przewraca się w grobie.

(*Frankfurter Rundschau*, 7.12.87)

AMERYKANIE I SOWIECI O WZAJEMNYCH STOSUNKACH

W dn. 6.12.87 moskiewskie *Izwestia* podały wyniki ankiety przygotowanej przez Instytut Gallupa i Instytut Badań Socjologicznych sowieckiej Akademii Nauk. Zankietowano 1000 osób. Oto co ciekawszemu rezultaty: 82% Sowietów popiera politykę Gorbaczowa, jednak 30% sprzeciwia się jego polityce amerykańskiej. Zaledwie 40% uważa, iż stosunki sowiecko-amerykańskie polepszyły się, 84% Amerykanów i 81% Sowietów uważa, iż z wojny atomowej żadna ze stron nie może wyjść zwycięsko. 95% Sowietów i 72% Amerykanów jest zdania, iż w kosmosie nie powinno się umieszczać broni, jednak 40% Amerykanów uważa, iż realizacja programu „wojen

gwiezdnych” może zapewnić pokój. 81% Sowietów wyraziło swój pozytywny stosunek do narodu amerykańskiego, przy 63% po stronie przeciwnej. 6% Sowietów ocenia administrację Reagana jako pozytywną, przy 11% Amerykanów, którym podobają się Gorbaczow. 80% ankietowanych po obu stronach ocenia pozytywnie szansę pokojowej koegzystencji obu mocarstw.

(*Frankfurter Rundschau*, 7.12.87)

MOSKWIANOM CORAZ ZIMNIEJ

W początkach grudnia dziennik *Moskiewskij Komsomolec* opublikował wyniki telefonicznej ankiety dotyczącej braków na rynku w Moskwie. I tak 1/3 czytelników szuka damskich kozaczek, 1/4 ciepłej odzieży. Zacytowano też list jednego z czytelników, który pisze: „Bez ciepłej odzieży zamarzi pod Moskwą w 1812 roku Francuzi, w 1941 Niemcy. Czyżbyśmy też byli tu nieproszonymi gośćmi?” Kozaczek damskich szuka się w Moskwie przeciętnie 8 miesięcy. Jak podaje w komentarzu *Niedziela*, w mieście Uljanowsk plan produkcji rajstop dziecięcych został wykonany jedynie w 17,5%, natomiast odzieży z bawełny dla dzieci w 28%. W mieście Kaługa, jak podał z kolei dziennik *Izwestia*, w ostatnich trzech tygodniach listopada zabrakło benzyny i stanęły nawet miejskie autobusy. Natomiast wg *Prawdy* w zachodniosyberyjskich miastach tysiące pasażerów siedzi na walizkach, ponieważ samolotom brak paliwa.

(*Frankfurter Rundschau*, 7.12.87)

GROMYKO WYGRAŻA SIĘ IRANOWI

Jak wynika z informacji podanej w dn. 5.12.87 przez agencję TASS, podczas spotkania z ambasadorem Iranu w Moskwie, Gromyko wezwał swego rozmówcę do podjęcia negocjacji pokojowych z Irakiem i podporządkowania się rezolucji ONZ, domagającej się natychmiasto-

W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE

wego zawieszania broni. W przypadku niezastosowania się do powyższych żądań na Iran mogą zostać nałożone sankcje gospodarcze ze strony ZSRS.

Jak się wyraził Gromyko: „Rozmawialiśmy z przywództwem irańskim jako sąsiedzi, jak kraj, który życzy sobie przyjaznych stosunków z Iranem.” Nie każdy kraj może sobie obecnie pozwolić na skierowanie takich słów pod adresem Teheranu, jak dumnie stwierdza agencja TASS.

(*Süddeutsche Zeitung*, 7.12.87)

WŁADZE NRD ZREZYGNOWAŁY Z PROCESU POLITYCZNEGO

Jak już donosiliśmy w poprzednim wydaniu *Poglądu*, w dn. 25.11.87 doszło w Berlinie Wschodnim do rewizji w tzw. wschodniobermberskiej bibliotece zajmującej się problemami ochrony środowiska, a prowadzonej przez opozycjonistów związanych z kołami kościelnymi. Aresztowano 4 osoby podejrzane o drukowanie tam niezależnej gazety *Grenzfall*.

Wobec szerokiego echa w prasie zachodniej, jakim odbiła się nowa fala prześladowań opozycji w NRD, władze wschodniemieckie w dn. 4.12.87 zdecydowały się na zwolnienie aresztowanych i odstąpienie od wytoczenia im procesu sądowego.

(*TAZ*, 7.12.87)

W ZSRS PRASA KLAMIE

W Moskwie podjęto ostatnio kroki prawne przeciwko dziennikarzowi tygodnika *Ogoniok* za opublikowanie wyników ankiety, której nigdy nie przeprowadzono, a z których wynikało, że zaledwie 30% mieszkańców Nowosybirsk popiera politykę „pieriestrojki”. Jak stwierdził *Ogoniok* w dn. 5.12.87 „to fałszerstwo jest jednym wielkim wykręceniem przedmiotem tradycjom sowieckiej prasy, która zawsze przykładała wielkie znaczenie do podawania prawdziwych informacji”.

(*TAZ*, 7.12.87)

HOKEIŚCI ISERLOHNU REKLAMUJĄ KADDAFIEGO

Zadłużony na 5,8 mld marek zachodniemiecki I-ligowy klub hokejowy ECD Iserlohn przyjął od Kaddafiego 1,5 mld marek w zamian za obietnicę stworzenia Światowego Centrum Studiów tzw. „Zielonej księgi” autorstwa Muamara Kaddafiego oraz reklamę jej na trykotach klubowych.

Po kilkudniowej burzy w prasie niemieckiej, w dn. 6.12.87 Związek Hokejowy RFN zażądał usunięcia reklamy z koszulek hokeistów Iserlohnu, z którą ECD Iserlohn zdążył już zremisować jeden oficjalny mecz I-ligowy. (*TAZ*, 7.12.87)

WŁADZE CZESKIE O PRASKIEJ WIOŚNIE

W dn. 4.01.88 *Rude Pravo* w przypadającą 20-tą rocznicę wybrania Aleksandra Dubčeka szefem partii w Czechosłowacji (5.01.68) wyjaśnia, iż „pieriestrojka” i Praska Wiosna z 1968 roku nie mają ze sobą niczego wspólnego, a interwencja wojsk Układu Warszawskiego w sierpniu 1968 roku była „konieczna dla ratowania socjalizmu”. Dubček natomiast uległ wpływom sił prawicowych i wyrzekł się swych pryncypiów. Owe prawicowe siły przy parciu Dubčeka wywołały psychoteror skierowany przeciwko sprawiedliwym ludziom. Niemniej jednak internacjonalistyczne siły, które przybyły ratować komunizm, obróciły w niwecz plany reakcjonistów.

(*Tagesspiegel*, 5.01.88)

SOWIECI NA MARSJA

Wiceprzewodniczący Instytutu Badań Przestrzeni Kosmicznej sowieckiej Akademii Nauk Balebanow oświadczył w wywiadzie dla dziennika *Krasnaja Zwiezda*, iż Rosjanie przygotowują się do lądowania na Marsie w latach 1992-94, a *Tagesspiegel* z dn. 6.01.88 przypomina, iż lot trwa ok. 3 lat.

SOWIECI UZDRAWIAJĄ PSYCHIATRIĘ

W dn. 6.01.88 agencja TASS jak i dziennik *Izwestia* podały do wiadomości, iż Najwyższy Sowiet podjął uchwałę, która ma zapewnić na przyszłość obywatelom sowieckim ochronę przed nadużyciami i możliwymi błędami sowieckich psychiatrów.

Podano też do wiadomości, iż w ZSRS znajduje się 5,5 mln osób w klinikach psychiatrycznych. Jak twierdzą wtajemniczeni, 20-30% chorych jest zupełnie zdrowych, i przebywa tam z powodów czysto politycznych.

Już w 1983 roku z tego powodu przedstawiciele ZSRS zostali usunięci z wszelkich międzynarodowych organizacji psychiatrycznych.

(*Die Welt*, 7.01.88)

BREŻNIEW NON PERSON

Jak doniosła agencja TASS w dn. 6.01.88, po nadwołżańskim mieście Nabiereżnyje Czelnii, przemianowanym w 1982 roku na Breżniew, a następnie „re-mianowanym”, kolej na wszelkie ulice, place i dzielnice Moskwy i Leningradu noszące zaszczytne imię Breżniewa, którym też przywrócone zostaną stare nazwy. Decyzję tę podjęło prezydium Najwyższego Sowietu, KC i rada ministrów. (*Tagesspiegel*, 7.01.88)

RUMUNIA: POZNAJ PAN PO OGONIE

Po rozruchach w rumuńskim mieście Brasov w dn. 15.11.87 policja usiłuje rozpoznać demonstrantów na podstawie setek zdjęć i filmów. Zidentyfikowani demonstranci muszą liczyć się z przesiedleniem i pracą w kopalniach lub przemyśle naftowym, gdzie brakuje rąk do pracy.

Jak donoszą naoczni świadkowie, w Brasov od listopada ub. roku liczba brodaczy wzrosła 4-krotnie.

(*Tagesspiegel*, 8.01.88)

TADEUSZ NOWAKOWSKI O ROLI KOŚCIOŁA W POLSCE

Frankfurcki konserwatywny dziennik *Frankfurter Allgemeine Zeitung* (11.12.87) w swoim tygodniowym magazynie publikuje wywiad z Tadeuszem Nowakowskim, „reporterem papięta”. Już sam tytuł jest dość prowokujący: Dlaczego Polacy potrzebują „religijnego opium”?

Oto najciekawsze fragmenty:

— Czy polski Kościół katolicki zwrócił się ku sprawom ziemskim?

— Już od pewnego czasu Kościół zdaje sobie sprawę, iż tu i teraz trzeba coś przedsięwziąć. Czasem czynił nawet zbyt wiele. Chrześcijańska nauka społeczna jest nie tylko próbą odebrania primatu komunizmowi. Jest wielką szansą dla Kościoła, który w międzyczasie zrozumiał, iż należy skończyć z tradycją koegzystencji pomiędzy tronem a ołtarzem. Z jakich pobudek? Przede wszystkim dlatego, iż świadomość ludzi jest obecnie zupełnie inna niż przed 50 laty. Istnieje społeczny postęp, nawet w Trzecim Świecie. Gdyby dzisiaj głoszone — pracuj za darmo lub za głodowe wynagrodzenie, prawdziwa zapłata przyjdzie dopiero w niebie — nawet pies ze złamaną nogą nie słuchałby. Karol Wojtyła jest pierwszym papięciem, który wie, iż zarabia hutnik, obojetne czy w Nowej Hucie czy w Monterrey. (—)

— Na czym polega — tak niezrozumiały dla Zachodu — rodzący się w Polsce religijny mistycyzm, bez którego nie może się obejść tam prawie żaden ruch polityczny?

— Szkolne programy w Polsce opierały się przez ostatnie 40 lat na racjonalizmie. Dawny polski mistycyzm i romantyczny heroizm były ostro krytykowane. W szkołach tych wyrosło nowe pokolenie i nagle przychodzi babinka i mówi, iż widziała cud. I oni, materialistycznie wychowani młodzi ludzie biegną w to miejsce. Nie tylko oni, nawet profesorowie, którzy znają swojego Marksa na pamięć. Również oni wykazują tu zrozumienie, być może dlatego, że są patriotami — świadomie nie używam tu słowa nacjonalistami. Patriotyzm, którego głównym nosicielem także dziś jest Kościół, to miara wszystkich rzeczy. Od 1772 roku Polacy wiedzą, iż chciano ich najpierw wyznaczyć jako państwo, a następnie jako naród z mapy. Dziś w Polsce panuje przekonanie, iż wielki sąsiad ze Wschodu, z którym — łagodnie powiedziawszy — doświadczenia nie są najlepsze, tylko z taktycznych przesłanek nie uderza. Lecz potencjalne niebezpieczeństwo z tej strony jest wciąż możliwe. Kościół katolicki żyje zadaniem — nawet jeśli tego nie podkreśla — bycia „łacińską twierdzą”. W Polsce nigdy nie wiadomo, gdzie kończy się historia a zaczyna współczesność. (—)

— Polska mimo katolicyzmu ma jeden z najwyższych wskaźników przerywania ciąży. Co robi wierząca polska kobieta, jeśli musi przerwać ciążę?

— Idzie do kościoła i spowiada się. Etyka seksualna Kościoła jest problemem samym w sobie. Kobiety we Włoszech żądają prawa do rozwodów, to samo w Hiszpanii. A mimo to idą do kościoła i wierzą w cuda. Na użytek domowy są wierzące. Kiedy jednak muszą dokonać decyzji politycznych, wówczas są o jeden krok dalej. Jeśli tylko zachoruje dziecko, idą do Marii.

* * *

Według danych międzynarodowego PEN-Clubu w 1987 roku 340 pisarzy, tłumaczy i dziennikarzy przebywało

w więzieniach w wyniku swej działalności zawodowej. Na 51 kongresie związku pisarzy w Puerto Rico podano, iż sytuacja pisarzy w Związku Sowieckim poprawiła się, natomiast w innych krajach znacznie pogorszyła — przede wszystkim w Chile, Turcji, Kenii i Afryce Południowej. (*Süddeutsche Zeitung*, 7.12.87)

POLĄCZENI TYLKO CIERPIENIEM

W 1984 roku powstał w Oxfordzie Instytut Studiów Polsko-Żydowskich. Wydaje on m.in. periodyk „Polin” — hebrajski odpowiednik słowa Polska, jak również (po lin) „tam znajdzie pokój (schronienie)”. Ostatnio przy współpracy 17 autorów wydano historię Żydów w Polsce (Chimen Abramsky, Maciej Jachimczyk, Antony Polonsky; *The Jews in Poland*. Basil Blackwell, Oxford).

Przewodnia myśl to stwierdzenie, iż historia Żydów jest również historią Polski. Główny punkt ciężkości położono na okres po I wojnie światowej, kiedy powstało Państwo Polskie. Większość autorów pisząc o okresie międzywojennym stwierdza, iż istniały wówczas tendencje antysemityczne, lecz nie można tego problemu rozpatrywać w oderwaniu od ówczesnej sytuacji ekonomicznej, jak i polityki wobec mniejszości narodowych. O wiele bardziej kontrowersyjny jest rozdział poświęcony okupacji. Stwierdza się wprawdzie, iż polskie organizacje pomocy Żydom były czymś wyjątkowym w Europie w okresie II wojny światowej. Niektórzy autorzy powiadają jednak, iż pomoc Polaków była raczej rzadkim wyjątkiem. Okres ten musi zostać jeszcze dokładnie zbadać. (*Süddeutsche Zeitung*, 8.12.87)

ARCHITEKCI ZE WSCHODU W BERLINIE ZACHODNIM

Niemieckie Stowarzyszenie Architektów i IBA (Internationale Bauausstellung — Międzynarodowa Wystawa Architektoniczna) zorganizowały spotkanie z polskimi i czeskiimi architektami. W ciągu tygodnia dokonano wymiany poglądów na temat problemów współczesnego budownictwa, roli architektury, etc. Na Zachodzie tylko niewielu fachowców wie, iż również polscy i czescy architekci byli zaprzyjaźnieni z Le Corbusierem czy Gropiusem i eksperymentowali z półprefabrykowanymi elementami przy wznoszeniu osiedli mieszkaniowych.

Zaskoczeniem dla wielu zachodnich architektów są polskie budowle sakralne (ok. 3000 obiektów już gotowych lub w stanie surowym) odznaczające się oryginalnymi rozwiązaniami. (*Tagesspiegel*, 7.1.88)

JESZCZE RAZ O LUBIMOWIE

Zachód zachłystuje się „pieriestrojką”. Massmedia prześcigają się w doniesieniach o liberalizacji i „nowym duchu” panującym w sowieckiej kulturze. Na szczęście są też zachodni krytycy, którzy zauważają, iż dla niektórych „pieriestrojka” przysła za późno. Tak ma się sprawa z byłym dyrektorem Teatru Na Tagance, słynnym reżyserem Jurijem Lubimowem.

Barbara Lehmann z *Süddeutsche Zeitung* (8.1.88) przeprowadziła wywiad z sowieckim reżyserem. Do najciekawszych fragmentów należą spostrzeżenia Lubimowa odnośnie działania teatrów na Wschodzie i Zachodzie.

— Na czym polega różnica w Pańskiej pracy tu na Za-

• KULTURA • KULTURA • KULTURA • KULTURA • KULTURA • KULTURA •

chodzie?

– Najtrudniejszym problemem i najbardziej skomplikowanym jest krótki okres prób i fakt, że wciąż spotykam się z nowym zespołem i w owym krótkim czasie musi dokonać się pewne duchowe porozumienie. Wszystkie zależy od teatru, od poziomu zespołu, do którego się trafia. A poza tym praca jest ta sama, jak tam, gdzie pracowałem.

– Zrobił Pan tu na Zachodzie kilka swoich wcześniejszych inscenizacji znanych z Taganki. Czy dokonał Pan zmian?

– Naturalnie. Opowiada się o mnie całą serię bzdur, że jestem dyktatorem, że sprowadzam aktorów do roli marione-

tek itd... Czas pokazał, że tak nie jest, gdyż ludzie, z którymi tu pracuję są zupełnie inni. Są to inne indywidualności, z którymi muszę znaleźć wspólny język, duchowe porozumienie, gdyż inaczej nie będą dobrze grali. Dlatego dokonuję zmian. Poza tym ja również się zmieniam, scena na której pracuję, jest również zupełnie niż ta na Tagance, do której byłem przyzwyczajony.

(...)

– Czy będzie się Pan starał stworzyć taki teatr jak Na Tagance?

– Nie.

• EKONOMIA • EKONOMIA • EKONOMIA • EKONOMIA • EKONOMIA • EKONOMIA •

KRAJE RWPG BIJĄ REKORD ZADŁUŻENIA

Wg opublikowanych ostatnio przez Organizację Współpracy i Rozwoju (OECD) w Paryżu danych za rok 1986, długi krajów RWPG w bankach zachodnich osiągnęły liczbę 115 mld dolarów, w porównaniu z 97,3 mld w roku 1985. I tak: w Bułgarii wynoszą one 5,1 mld (w porównaniu do 3,6 mld w roku 1985); Czechosłowacji 4,3 mld (3,5 mld); NRD 16,6 mld (13,6 mld); Węgry 15,1 mld (11,7 mld); Polska 33,5 mld (29,7 mld); ZSRS 34 mld (28,5 mld). (*Süddeutsche Zeitung*, 1.12.87)

RUMUNI OSKARŻAJĄ BANK ŚWIATOWY

Rumuński dziennik partyjny *Scintela* skrytykował Bank Światowy za „niesprawiedliwe i niedemokratyczne praktyki”, które mają polegać na pobieraniu od dłużników odsetków w wys. 11,6%. (*TAZ*, 4.12.87)

W dn. 7.12.87 rząd rumuński ogłosił, iż nie będzie spłacał odsetek Bankowi Światowemu, określając go jako „instytucję służącą rabunkowi narodowych zasobów ludów”. Zadłużenie Rumunii w 1982 roku sięgające 10,2 mld dol. udało się zmniejszyć w końcu 1986 r. do 5,8 mld. (*Tagesspiegel*, 8.12.87)

CHIŃCZYCY BĘDĄ PRACOWAĆ KRÓCEJ?

Wg chińskiej agencji prasowej „Nowe Chiny” pracownicy pewnej fabryki farmaceutycznej w Czung-czing, którym rok temu tytułem eksperymentu skrócono czas pracy do 5 dni w tygodniu po 6 godzin dziennie, produkują więcej, lepiej i są szczęśliwsi. (*Süddeutsche Zeitung*, 5.12.87)

SYTUACJA NA RYNKU PRACY W RFN

Jak podaje *Süddeutsche Zeitung*, z dn. 8.12.87 dla stale zwiększającej się liczby osób zatrudnionych, bezrobotnych i poszukujących pracy jest coraz mniej do zrobienia. I tak w roku 1960 na 26,4 mld takich osób przypadło 56,1 mld godzin pracy, w roku 1970 liczby te wynosiły odpowiednio – 26,7 mld i 51,8 mld; 1980 – 27,8 mln i 45,9 mld; w roku 1998, jak się szacuje, na 29,4 mln osób przypada do wykonania zaledwie 43,3 mld godzin pracy.

ZSRS: W 90%... ZNÓW DOGANIAJĄ

Jak stwierdziła w rozmowie z *Süddeutsche Zeitung*

(7.12.87) p. prof. Margarita Maksimowa z Instytutu Gospodarki Światowej i Stosunków Międzynarodowych Akademii Nauk ZSRS, do roku 2000 90% produkcji Sowietów, dzięki reformom gospodarczym, a także pomocy zachodniej, osiągnie wymaganą na Zachodzie jakość i stanie się konkurencyjną dla produktów kapitalistycznych.

AMERYKAŃSCY EKSPERCI O SZANSACH „PIERIOSTROJKI”

Międzynarodowy Komitet Ekonomiczny (IEC) przekazał amerykańskiemu kongresowi wyniki swoich studiów nad „pieriostrójką” na ponad 1100-stronicowym materiale, w oparciu o badania 50 zachodnich ekspertów d/s sowieckich w Europie i USA.

Jak obliczają naukowcy, ok. 20% rocznej produkcji rolnej ZSRS ulega zniszczeniu z powodu kłopotów transportowych jak i niewłaściwego składowania. Mimo drastycznej potrzeby importu zachodniej technologii, ich sprowadzenie może napotkać na duże trudności z powodu choćby niezbalansowanej struktury handlu zagranicznego (eksport ZSRS składa się prawie wyłącznie z ropy naftowej i surowców, Sowiety są zadłużone na 25 mld dol., jednak obsługa długów wynosiła 23% nie osiągnęła wg ekspertów alarmującej wysokości).

Ekspertki uważają dalej, iż ZSRS stanie niedługo wobec konieczności przystąpienia do Międzynarodowego Funduszu Walutowego. Jednakowoż wówczas Sowietci zmuszeni byłiby udostępnić przedstawicielom MFW szczegółowe informacje dotyczące stanu własnej gospodarki. Ekspertki, wnioskują, iż ZSRS już z przyczyn pozaekonomicznych nie przystanie na w/w warunki. (*Süddeutsche Zeitung*, 10.12.87)

ZADŁUŻENIE KOLEI RFN

Jak oświadczył przewodniczący zarządu Niemieckich Kolei Państwowych Reiner Gohlke, 10.12.87, zadłużenie kolei w roku 1990 wzrośnie z dzisiejszych 40 do 55 mld marek. (*FAZ*, 11.12.87)

JUGOSŁAWIA: BRAK DEWIZ NA PENSJE

Jugosławia za pracę swoich firm w Iraku, Libii i Algierii otrzymała w ub. roku wynagrodzenie w postaci ropy naftowej. Ropę zużyto, natomiast rząd Jugosławii winien jest w dalszym ciągu ok. 40 tys. pracownikom własnych firm 60 mln dolarów. (*Tagesspiegel*, 17.12.87)

ZRSZ SIĘ KAPITALIZUJE

W dn. 16.12.87 w Moskwie podano do wiadomości, iż pewien skolektywizowany kombinat ogrodniczy na Ukrainie został pierwszą w historii Sowietów spółką akcyjną. Akcje wykupywać mogą osoby prywatne jak i firmy. Dotychczas 22 lokalne zakłady przemysłowe zgłosiły zainteresowanie nabyciem obligacji. Poprzez sprzedaż akcji kombinat zamierza zgromadzić środki na budowę nowych szklarni. Jak stwierdza dziennik moskiewski *Moskowskije Nowosti* kolektywowi kombinatu przyswieca hasło „wszystko jest dozwolone, czego nie zabrania prawo”. (*Neue Zürcher Zeitung*, 18.12.87)

NAJWIĘKSI DŁUŻNICY... NA KONIEC 1987

Brazylia — 115 mld dol., Meksyk — 106 mld dol., Argentyna — 54 mld dolarów — *Frankfurter Rundschau*, 19.12.87

• JEDNYM ZDANIEM • JEDNYM ZDANIEM • JEDNYM ZDANIEM • JEDNYM ZDANIEM •

MOSKWA. Jak wynika z wywiadu, którego udzielił „Komsomolskiej Prawdzie” Władimir Gubarow, autor sztuki teatralnej o katastrofie czernobylskiej pt. „Sarkofag”, została ona zdjęta z planu w Moskwie przez cenzurę, mimo iż uprzednio doczekała się wielu inscenizacji za granicą. (*FAZ*, 1.12.87)

BERLIN ZACHODNI. Zgodnie z informacjami Międzynarodowej Grupy Parlamentarnej d/s Praw Człowieka w ZSRS (IPG), w Sowietach w roku ub. rozpatrzono negatywnie 40 tys. podań o emigrację; jednym ze szczęśliwców jednak został 29.11.87 Igor Ogurcow, który po 15 latach więzienia i 5 latach zesłania, samolotem Aeroflotu przybył do Wiednia wraz z rodzicami. (*Tagesspiegel*, 1.12.87)

MOSKWA. W dn. 29.11.87 na łamach tygodnika „Ogoniok” ukazał się apel wdowy po Bucharinie o pośmiertną rehabilitację męża, straconego w wyniku pokazowego procesu stalinowskiego z 1938 roku. (*Tagesspiegel*, 1.12.87)

WIENIEŃ. W dn. 3.12.87 przedstawiciele czechosłowackiej „Karty 77” zaapelowali do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża o poprawę warunków więźniów politycznych w ČSRS, którym m.in. odmawia się opieki lekarskiej. (*Tagesspiegel*, 4.12.87)

ZIRNDORF (RFN). W listopadzie ub. roku liczba osób starających się o azyl w RFN osiągnęła nowy rekord: 7.284 osoby, przy 6.769 w październiku. (*Süddeutsche Zeitung*, 5.12.87)

GENEWA. W dn. 6.12.87 Komisja ONZ d/s Uchodźców podała do wiadomości, iż w tym roku ich liczbę szacuje się na 15 mln, z czego połowę stanowią dzieci. (*Frankfurter Rundschau*, 7.12.87)

MOSKWA. W dn. 6.12.87 „Prawda” poinformowała, iż w ciągu ostatnich dwóch lat zrehabilitowano ponad 240 ofiar stalinizmu. (*Frankfurter Rundschau*, 7.12.87)

WIENIEŃ. W dn. 7.12.87 władze ČSRS nie wyraziły zgody na planowaną przez przedstawicieli „Karty 77” demonstrację w związku z Międzynarodowym Dniem Praw Człowieka, przypadającym na 10 grudnia, a sześciu sygnatariuszy listu do władz w tej sprawie zostało zaproszonych na przesłuchanie. (*Tagesspiegel*, 8.12.87)

KABUL. Jak poinformowała w dn. 6.12.87 tamtejsza

JAK ZABŁOCKI...

W roku 1987 EWG sprzedała Sowietom 1,4 mln ton zboża, za które Sowieci zapłacili 1/3 ceny skupu. W ten sposób kraje EWG dopłaciły do każdej tony 272 marki. (*Tagesspiegel*, 20.12.87)

SYTUACJA GOSPODARCZA WIETNAMU

...była tematem posiedzenia Politbiura w dniach od 8 do 17.12.87.

Jak wynika z przemówienia szefa partii Nguyen Van Linha katastroficznemu położeniu gospodarki wietnamskiej winne są: strategia gospodarcza ostatniego dziesięciolecia, katastrofy suszy i huraganów, a także Politbiuro, Sekretariat partii i rada ministrów. Opracowano plan reform na modłę sowieckiej „pierestrojki”, który ma wejść w życie w latach 90-tych. (*Süddeutsche Zeitung*, 22.12.87)

rozgłoszenia radiowa, w związku z uchwaleniem nowej konstytucji afgańskiej amnestionowano ponad 2.400 więźniów, których natychmiast wcielono do armii; rozgłoszenia nie podała jednak czy chodzi o więźniów politycznych. (*Tagesspiegel*, 8.12.87)

BUKARESZT. Dumny wódz Rumunów Ceausescu w dn. 17.12.87 w rozmowie z ministrem spraw zagranicznych RFN Genscherem odrzucił proponowaną Rumunii pomoc humanitarną twierdząc, iż wszelkie produkty z Zachodu Rumunia będzie importować sama i za nie płacić. (*Tagesspiegel*, 8.12.87)

MOSKWA. W dn. 8.12.87 w Moskwie rzecznik prasowy sowieckiego MSZ Jurij Gremickich oświadczył, iż ewentualne amnestionowanie „kremłowskiego pilota” Mathiasa Rusta może nastąpić dopiero po odbyciu połowy kary. (*Frankfurter Rundschau*, 9.12.87)

BONN. W dn. 8.12.87 podano tam do wiadomości, iż rosyjski działacz nielegalnych związków zawodowych Władimir Lubowicz wypuszczony został z podmoskiewskiego domu wariatów. (*Frankfurter Rundschau*, 9.12.87)

GENEWA. Prezydent Amnesty International pani Franca Sciuto oświadczyła, iż rok 1989 jej organizacja poświęci walce z karą śmierci. (*Die Welt*, 9.12.87)

WASZYNGTON. Zgodnie z rezultatami ankiety zorganizowanej przez amerykańską stację telewizyjną NBC, w Wlk. Brytanii 68% osób uważa Gorbaczowa za popularniejszego od Reagana, 31% opowiada się za Reaganem; w RFN te same liczby wynoszą odpowiednio: 59% i 38%; we Francji — 39%, 37%. (*Tagesspiegel*, 9.12.87)

BONN. W dn. 9.12.87 ambasador Rumunii w Bonn Marcel Dinu usiłował zaszantażować przedstawicieli Bundestagu, że jeśli podejmą debatę parlamentarną na temat sprawy zaopatrzenia w Rumunii, Ceausescu uniemożliwi Rumunom niemieckiego pochodzenia emigrację do RFN. (*Die Welt*, 10.12.87)

TOKIO. W dn. 9.12.87 po raz pierwszy od zakończenia II wojny światowej samoloty japońskie ostrzelały sowiecki bombowiec, który dwukrotnie przez 10 minut znajdował się w obszarze powietrznym Japonii. (*Die Welt*, 10.12.87)

BELGRAD. Ok. 700 robotników fabryki narzędzi „Liotroj” w Lubljanie zastrajkowało w dn. 9.12.87 i udało się w marszu protestacyjnym przeciw zbyt niskim zarobkom i obniżającemu się standardowi życia pod budynek parlamentu. (Süddeutsche Zeitung, 10.12.87)

BONN. W dn. 9.12.87 podano do wiadomości, iż polowie do Bundestagu, przywódcy partii „Zielonych” Petra Kelly i Gerd Bastian nie otrzymali wizy sowieckiej, co oboje deputowani oceniają jako próbę niedopuszczenia przez Sowietów do planowanego spotkania z nieoficjalnym klubem prasowym „Glasnost” (wydającym niezależne pismo o tej samej nazwie — przyp. red.) w Moskwie. (Tagesspiegel, 10.12.87)

BERLIN WSCHODNI. W dn. 10.12.87, po powrocie Gorbaczowa z USA, odbyło się tam spotkanie „informacyjne” szefa „pieriestrojki” z rządcami państw Bloku Wschodniego; zabrakło tylko Ceausescu. (FAZ, 11.12.87)

BELGRAD. Wg oficjalnych danych w roku 1987 w Jugosławii doszło do ponad 4 tys. strajków. (TAZ, 11.12.87)

SZTOKHOLM. Jak poinformowano w Sztokholmie w dn. 14.12.87, koncentracja radioaktywnego kadmu 137 w mięsie reniferów wynosi 10 tys. bequereli na kg, podczas gdy dopuszczalne napromieniowanie mięsa do konsumpcji wynosi 150 bq. (Die Welt, 15.12.87)

OSLO. W dn. 14.12.87 powiodła się ucieczka 35-letniego kierowcy autobusu z Murmańska do Norwegii, co jest pierwszym od 9 lat udanym nielegalnym przekroczeniem granicy sowiecko-norweskiej. (Tagesspiegel, 15.12.87)

STUTTGART. Jak wynika z pochodzących stamtąd informacji, wydawnictwo Aenne Burda GmbH & Co. podpisało w Moskwie umowę na budowę nowoczesnej offsetowej drukarni, która zajmie się produkcją ilustrowanego pisma dla pań „Burda” w j. rosyjskim. (Die Welt, 16.12.87)

WIESBADEN. Z badań Towarzystwa Języka Niemieckiego wynika, iż najczęściej używane w roku 1987 w RFN słowa to: AIDS i kondom, a następnie „pieriestrojka” i „glasnost”. (Süddeutsche Zeitung, 16.12.87)

SAN FRANCISCO. Od dn. 16.12.87 można tam kupić maskotki „Gorbi” w cenie 19,95 dol. za sztukę. (Frankfurter Rundschau, 17.12.87)

BERLIN WSCHODNI. W dn. 18.12.87 w NRD jako w jedynym kraju Bloku Wschodniego zniesiono karę śmierci. (Frankfurter Rundschau, 19.12.87)

BONN. Ministerstwo spraw wewnętrznych RFN podało, iż w roku 1987 liczba przesiedleńców z Bloku Wschodniego do RFN wyniosła 80 tys. osób. (w tym 49 tys. z Polski),

czyli najwięcej od 1958 r. (Tagesspiegel, 22.12.87)

BONN. Jak podało MSW RFN w 1987 roku co piąty obywatel NRD odwiedził RFN, w tym 1,8 mln rencistów (3,8 mln razy) i 1,2 mln obywateli NRD poniżej wieku rentalnego; zaś w NRD było 4 mln obywateli RFN. (Tagesspiegel, 29.12.87)

JERUZALEM. ZSRŚ w roku 1987 zezwolił na opuszczenie swoich granic 8.068 osobom żydowskiego pochodzenia, przy 904 w roku 1986. (Die Welt, 31.12.87)

LOUISVILL (USA). W dn. 3.01.88 sprzedano tam na aukcji mimo licznych protestów akwarelę pędzla Adolfa Hitlera za 36 tys. dolarów; nabywca akwareli przedstawiającej wiedeński pejzaż oświadczył, iż dokonał zakupu ze względu na artystyczną i historyczną wartość dzieła. (Frankfurter Rundschau, 4.01.88)

BERLIN WSCHODNI. Partyjny dziennik „Neues Deutschland” podał w dn. 2.01.88 do wiadomości, iż wszyscy obywatele NRD wyjeżdżający za granicę będą musieli przedstawić zaświadczenie, iż nie chorują na AIDS. (Frankfurter Rundschau, 4.01.88)

BERLIN ZACHODNI. Rzecznik zachodnioblińskiego senatora d/s wewnętrznych podał do wiadomości, iż w roku 1987 przez mur berliński udało się uciec 30 obywatelom NRD (w roku 1986 powiodło się 15 ucieczek), 13 ucieczek nie powiodło się, a ostatnia śmiertelna ofiara służby granicznej NRD została zastrzelona 12.02.87. (Tagesspiegel, 6.01.88)

PEKIN. W dn. 5.01.88 pekiński organ partyjny „Zeminzinpao” zarzucił członkom partii, w tym także pewnej licznie osób na najwyższych stanowiskach, mające w ostatnich latach szczególnie przybrać na sile następujące przestępstwa: szmugiel, przekupstwo, szantaż, niemoralność, nadużycie władzy, działalność frakcyjną, lekceważenie obowiązków oraz zdradzanie tajemnic państwowych. (Tagesspiegel, 6.01.88)

BONN. Wrześniowa wizyta Ericha Honeckera w RFN kosztowała rząd federalny 3,1 mln marek, nie licząc wydatków landów. (Die Welt, 7.01.87)

PARYŻ. W czasie wizyty szefa NRD Honeckera w Paryżu w dn. 8.01.87 prezydent Francji Mitterrand po wstępnych grzecznościach zażądał od swojego gościa zburzenia berlińskiego muru jak i zwiększenia swobody podróżowania obywateli NRD na Zachód, odrzucając przy okazji rozbrojone propozycje Honeckera dotyczące rakiet krótkiego zasięgu. (Die Welt, 9.01.88)

Pogląd

SPRZEDAJEMY TAKŻE W KSIĘGARNIACH: **AUSTRIA** — Polnische Buchhandlung, Burggasse 22, 1070 Wien; Polnische Buchhandlung — „Dwójka”, Margaretenstr. 2-4, 1040 Wien; **FRANCJA** — LIBELLA, 12, rue St-Louis-en-l'Île, 75004 Paris; **RFN** — Stodiek's Buchhandlung, Richard-Wagner-Str. 39, 1000 Berlin 10; ARKADY Kunst und Buchhandlung, Alsterarkaden 10, 2000 Hamburg 36; Osteuropäische Buchhandlung WAWEL, Stephanstr. 11, 5000 Köln 1; Buchhandlung DIALOG, Gutleutstr. 15, 6000 Frankfurt/M.; FUI Galerie, Mozartstr. 52, 5300 Bonn 1; **USA** — POLONIA Books Store & Publ. 2886 Milwaukee Ave., Chicago Ill. 60618; Księgarnia „NOWEGO DZIENNIKA”, 21 West, 38th St., New York, NY 10018 **WIELKA BRYTANIA** — Orbis Books London Ltd., 66 Kenway Road, Earst Court, London SW5.

Prywatne rozmyślania

1.

Moi niemieccy przyjaciele wynajdywanie powodów i dowodów na to, że „pieriestrojka” powieść się nie może, nazywają intelektualną perwersją. Nie mogą pojąć już tyle nieufności, ile niechęci do — jak powiadają — rozsądnych i demokratycznych przemian w Sowietach, które przecie ostatecznie zadecydują o powodzeniu reformy w Polsce. Ja z kolei nie potrafię zrozumieć zachwyconego kibicowania Zachodu zabiegom zmierzającym do wzmocnienia sowieckiego imperium, ani ich aroganckiej akceptacji dla układu, w którym sposób i poziom życia Polaków ma zależeć od politycznego kursu Kremla.

Podział Europy tak dalece uznany został za nie tylko istniejący ale i słuszny, że jakiegokolwiek podważanie jego prawomocności uważane jest za występki. W takim myśleniu wsparcie dla „pieriestrojki” jest zdumiewającym objawem konserwatyizmu tak zwanych sił postępowych, którym sowieckie hasła przebudowy dają miłe złudzenie, że wszystko pozostanie tak, jak było, bez zbędnych wstrząsów. W rozważaniach na tematy sowieckie przestaje jakoś obowiązywać dyscyplina intelektualna, jedne fakty nabierają znaczenia nadmiernego, inne w ogóle nie wchodzi w skład myślenia i w ten sposób dochodzi do analizy sytuacji wprawdzie nieistniejącej, ale pożądaney.

Gromadząc argumenty przeciw możliwości przeprowadzenia w ZSRS jakiegokolwiek głębszej reformy — wiele z nich przytaczałem już w „Prywatnych rozmyślaniach” — chciałem się tym razem powołać na autorytet. Otóż Jerzy Putrament pisząc w swoich skądinąd bełkotliwych pamiętnikach „Pół wieku” o autorytaryzmie — a na rządach autorytatnych znał się Putrament jak mało kto — stwierdził, że każdy, kto dochodzi do władzy w warunkach dyktatury, zaczyna od reform, zmienia bowiem system pozostały po poprzedni-

ku. Po pewnym jednak czasie, po wprowadzeniu jakiejś porcji zmian, zahamowuje reformy i zaczyna być twardym konserwatystą, ponieważ musiałby poprawiać i zmieniać sam siebie; to, co osobiście stworzył. A ponieważ dyktator nie musi być pragmatykiem i nic takiego jak korzyść polityczna nie wchodzi w skład jego myślenia, system zastęga na nowo — aż do kolejnej reformy kolejnego władcy. Odwołałem się do Putramenta, ponieważ mnie osobiście psychologia dyktatorów jest obca. Natomiast zastanawiam się, czy „pieriestrojka” jest sprawą opłacalną w najbardziej dosłownym znaczeniu. Mówiąc najogólniej uważa się ją za konieczną, ponieważ dotychczasowy system gospodarczy Związku Sowieckiego okazał się nieefektywny. Tak powiadają uczeni mężowie.

Warto się zastanowić, w jaki sposób okazał się nieefektywny. Jeśli prześledzić oficjalne komunikaty statystyczne ZSRS, to oczywiście system jest efektywny, nawet bardzo. I to pod każdym względem. Wszystkie wskaźniki, prócz może produkcji zbóż — to kwestia warunków atmosferycznych — doganiały i przeganiały. System okazał się nieefektywny wyłącznie przez porównanie, przez fakt, że nie jest jedynym. Gdyby cały świat był komunistyczny, w ogóle byśmy nie wiedzieli, że jest on niewydajny. Innymi słowy, stwierdzenie, że system komunistyczny jest nieefektywny grzeszy brakiem precyzji. Precyzyjne sformułowanie powinno brzmieć: system komunistyczny jest systemem niewydajnym w porównaniu z kapitalizmem. Oczywiście, po likwidacji kapitalizmu jedynym systemem wydajnym staje się komunizm, niktą wszelkie wątpliwości, rozterki — nie ma bowiem łatwych porównań rozwoju gospodarczego, postępu technologicznego i poziomu życia ludności. Otóż zastanawiam się w związku z tym, czy Moskiewie opłaca się ryzykowna operacja „pieriestrojki”, czy nie łatwiej jej będzie skoncentrować siły na walce z kapitalizmem i likwidacji niebezpiecznych

porównań, po prostu na połamaniu miarki, którą chcą czy nie, muszą do tego systemu przykładać nawet najwięksi entuzjaści „pieriestrojki”?

2.

Zabawna przygoda, jaka spotkała mnie podczas podróży pociągiem do Paryża. Na jednej ze stacji, jeszcze w Niemczech, do przedziału bardzo zatłoczonego pociągu wsiadła mocno już starsza para ludzi, zwracająca uwagę dość ekstrawaganckim ubiorem. Było to skrzyżowanie strojów paryskich clochardów i artystów epoki fin de siècle'u. Mężczyzna miał bardzo szlachetną twarz, inteligentnie brzydką, coś w rodzaju naszego Kantora. Usiedli naprzeciw mnie i zaczęli rozmawiać ze sobą po rosyjsku.

Po jakimś czasie wstali, zaczęli gorączkowo się kręcić, zaglądać pod ławki, szukać czegoś. Zapytałem — po rosyjsku — czy mógłbym im pomóc. Rodak z Polski zapytałby zaraz, a kto, a skąd, nawiązałyby się miła pogawędka, zabijając nudę podróży. A tu reakcja, która mnie zaskoczyła, zdumiała. Kamienne twarze i panika w ruchach. Przestali szukać tego, co zgubili, a zaczęli szukać innego miejsca w pociągu. Ponieważ jednak było bardzo tłoczno i ludzie stali na korytarzach, zostali w moim przedziale. Milczeli już do końca, popatrując na mnie od czasu do czasu spođe łba. I tak, wbrew własnej woli, przyczyniłem się do rozpowszechnienia wśród emigracji rosyjskiej przekonania o wszechobecności KGB.

3.

W Warszawie zmarł generał dywizji w stanie spoczynku, Stanisław Radkiewicz, wedle oficjalnych nekrologów zasłużony działacz ruchu robotniczego. Był kierownikiem resortu bezpieczeństwa publicznego w PKWN i ministrem Bezpieczeństwa Publicznego do roku 1956. Za zasługi w walce z kontrrewolucją otrzymał tytuł Budowniczego Polski Ludowej, Order Sztandaru I klasy, Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski z Gwiazdą i inne. Na Plenum Październikowym w 1956 roku uznano go za współwinnego błędów, łamania praworządności, tortur i egzekucji niewinnych ludzi. W ramach kontynuowania linii socjalistycznej odnowy i walki z przeżytkami stalinizmu Stanisława Radkiewicza pochowano w Alei Zasłużonych cmentarza Powązkowego. Trzeba jednak uczciwie powiedzieć, że więzień politycz-

ny Piotrowski nie otrzymał przepustki na pogrzeb.

4.

Kiedy piszę te słowa, minister spraw zagranicznych RFN, Hans Dietrich Genscher przebywa właśnie pierwszy dzień w Polsce. Jak wynika z doniesień, atmosfera jest ciepła, przychylna, a prasa od jakiegoś czasu — nawet Podkowiński, słuchajcie ludzie — zrezygnowała z pisania o odwetowcach i rewizjonistach. Nawet minister Orzechowski w wywiadzie dla *Życia Warszawy* powiedział, że chociaż przedpole stosunków wzajemnych nie jest wolne od wybojów i raf, to PRL nie chce ciągle spoglądać do tyłu i pragnie harmonijnej współpracy z Bonn. A mnie się, nie wiem czemu, przypomniała wizyta szacha Iranu w Warszawie za czasów niezapomnianej „drugiej Polski”. Też była atmosfera, nawet entuzjazm. W dniu przyjazdu szacha z małżonką akurat wiozłem jakiś tekst do redakcji *Szpilek*, gdzie przejściowo sekretarzem pisma był Janek Pietrzak. Ulice od Okęcia do Śródmieścia na trasie przejazdu dostojnego gościa były zamknięte, wzdłuż nich stały szpalery wygonionych ze szkół, urzędów i fabryk rozentuzjasmowanych ludzi z perskimi chorągiewkami w rękach. Kiedy z wielkim trudem i dużym opóźnieniem dotarłem do redakcji i zapytałem Pietrzaka, po co ten cyrk, i o co tu chodzi, Janek mruknął:

— Jak to, chodzi o to, żeby w tłoku zgubił portmonetkę.

O ile mi wiadomo, Hans Dietrich Genscher pojechał do Warszawy z portfelem.

5.

Bardzo ładną historię o rewindykcji polskich koni z Niemiec znalazłem w warszawskim *Przeglądzie Tygodniowym* — doskonale pismo, czuję w nim niezawodną rękę mego byłego szefa Jana Rurańskiego, pozdrowienia.

„W czasie wojny jej komendantem (stadniny Racot) został rotmistrz Clemens Freiherr von Nagel-Doornick, jeden z czołowych niemieckich jeźdźców w konkursach hipicznych w latach dwudziestych. Kiedy dostał rozkaz przeniesienia stadniny do Grabau pod Lubeką, zabrał nie tylko konie, ale i masztalery wraz z rodzinami. Jakby i tego było za mało, pojechał do Leszna, gdzie odszukał i zabrał do Grabau orkiestrę 17 Pułku Ułanów. Byli podoficerowie, którzy wrócili z wojny

do rodzin. (...) Nie dość, że nauczył się języka polskiego, to w dodatku zarządził tak, że marszem stadniny w Grabau stał się marsz 17 Pułku Ułanów z Leszna. To wszystko opowiedział spotkany po drodze masztalerz, plutonowy Kruczkowski, zaś porucznik Prądyński zrewałował mu się informacją o podążającej za ciężarówką kolumnie polskich oficerów. Kiedy w dwie godziny później kolumna jeńców dotarła do Grabau, u bram stadniny stał w pełnej gali rotmistrz Nagel, który salutował poszczególnym kompaniom mówiąc głośno i po polsku: »Czołem, polscy oficerowie!«.

Jak wynika z dalszej części artykułu, polskie rodziny w stadninie kierowanej przez rotmistrza von Nagela otrzymywały lepsze jedzenie niż Niemcy i pierwszą rzeczą, o którą postarali się Polacy po wyzwoleniu, było wyciągnięcie rotmistrza z niewoli brytyjskiej. Może wreszcie, w czterdzieści trzy lata po zakończeniu wojny i okupacji przywrócona zostanie w piśmiennictwie polskim równowaga między wizerunkiem hitlerowca-zbrodniarza a Niemca-człowieka. Bez tej równowagi nie sposób wyciągnąć z tragicznej przeszłości żadnej nauki moralnej — można tylko manipulować społeczeństwem w strachu i nienawiści.

6

Coraz więcej rzeczy, o których nie chce się człowiekowi pisać. W Polsce odwaga cywilna tanieje, bez zapowiedzianej jednak podwyżki cen na rozum. Prawie wszyscy mogą dziś w PRL napisać prawie wszystko. Okazuje się to zjawiskiem nad wyraz szkodliwym, bo mało kto pisze wobec tego rozsądnie. Gdzieś przeczytałem dowcip z występu kabaretowego Andrzeja Zaorskiego „Wzięła mnie za Laskowika i trzymała przez godzinę”. W strasznych czasach Łukaszczyca i propagandy sukcesu Zaorski by się wstydził przyznać, że go trzymano za Laskowika. Już raczej wzięto by go za Patyka, który jak wiadomo, był zastępcą członka, Komitetu Centralnego, oczywiście. Toteż z coraz większą sympatią czytam takie wypowiedzi, jak profesora Adama Schaffa w krakowskim *Zdaniu*, który nie zawahał się stwierdzić, że wszystkim, którzy myślą odmiennie niż on należy odebrać prawo głosu w imię obrony marksizmu. Poczciwy profesor Schaff — unus defensor marksizmu. Pewnie dlatego wylali go z partii. Inny profesor, Jarosław Ładosz, opublikował we wrocławskich *Sprawach i Ludziach* esej w obronie stalinizmu. Stalinizm rzecz piękna, a Ładosz, w situa-

cji kiedy każda uchwała Biura Politycznego wygląda dziś jak niegdysiejszy biuletyn KOR, albo nawet gorzej, wyrasta w ten sposób na wzorec odwagi cywilnej, intelektualnej i każdej innej. Jerzy Urban z kolei oświadczył, że zaprzestano zagłuszania wrogich rozgłośni, ponieważ nikt ich nie słucha. To po jaką cholere ja się męczę, jak ani mnie nie słuchają, ani nie zagłuszają? Marnie zaczął się ten rok, marnie. Już dawno przeczuwałem, że przyjdzie taka socjalistyczna odnowa, że jeśli człowiek będzie chciał się odróżnić, trzeba będzie zakładać jacejki komunistyczne, żeby bronić zębów i podwalin. Jedyne, co mnie jeszcze pociesza, co wprost trzyma przy życiu, to konstatacja, że dzisiejsi głosiciele reform ani myśla o tym, żeby je przeprowadzać wspólnie z tymi, którzy za próby reformatorskie siedzieli w pierdlu wczoraj i przedwczoraj. Wszystko zreformują sami. I dopiero wtedy życie odzyska sens, dopiero będzie normalne, śmieszne, jak zawsze. Czego Wam i sobie życzę.

FUNDUSZ WYDAWNICZY „POGLADU”	
Każde wydanie „Poglądu” ukazuje się również w wersji zminiaturyzowanej z przeznaczeniem dla Czytelników w kraju.	
Los wolnego słowa w Polsce zależy więc również od Czytelników i Prenumeratorów „Poglądu”.	
Każda, nawet najmniejsza wpłata na fundusz wydawniczy pozwoli zwiększyć nakład naszego dwutygodnika na kraj.	
„Gesellschaft Solidarność” e.V. „Pogład” Sparkasse der Stadt Berlin West Konto Nr 122 001 238 2 BLZ 100 500 00	lub Postscheckkonto 586 90-102 BLZ 100 100 10 Postscheckamt 1000 Berlin (West)
Na Towarzystwo Solidarność	
1. G. Jaszowski Hanower	DM 120,-
2. E. T. Dworzański Barsinghausen	DM 40,-
3. B. Młodzianowska-Hasczewicz, Dortmund	DM 120,-
4. W. Demski, Bad Drieburg	DM 140,-
5. Z. Dominik, Hagen	DM 24,-
6. Z. Gwizdoń, Ansbarg	DM 50,-
7. A. Billński, Hamburg	DM 120,-
8. S. Gabiszewski, Kiel	DM 30,-
9. R. Konopacki, Mechernich	DM 50,-
10. B. Walecka, Essen	DM 15,-
11. B. Władysław, Berlin	DM 15,-
12. G. Czarnul, Mainz	DM 150,-
13. B. Piątkowski, Bad Herrenalb	DM 25,-
Na Fundusz Wydawniczy „Pogład”	
1. A. Kolatorski Zurich	DM 80,-
Na „Solidarność” w kraju	
1. Wizimski, Mannheim	DM 10,-
2. Baran, Zwisel	DM 5,-
Ofiarodawcom serdecznie dziękujemy!	

Pieriestrojka na ludowo?

(RUMUNIA)

Jeżeli Polska jest najweselszym barakiem w obozie (niektórzy zaczynają w to powątpiewać), to najbiedniejszym niewątpliwie była i jest Rumunia. Co prawda, różnica między resztą baraków z roku na rok zmniejsza się – i to bynajmniej nie za sprawą wychodzenia Rumunii z kryzysu – jednak wyjątkowość państwa rządzonego od ponad 20 lat przez „Conducatora” Ceausescu – pomimo rozsypywania się gospodarki prawie wszystkich innych państw-członków obozu – nadal pozostaje fenomenem, tworząc pewnego rodzaju wzorzec, do którego zdążają koledzy po fachu i mentalności Wielkiego Przywódcy.

Nędza panująca w Rumunii zadziwić potrafi nawet Bułgarów czy Polaków, którzy dość dobrze znają mechanizmy „socjalistycznego zaopatrzenia ludności” i na własnej skórze odczuwają planową działalność komunistycznych „przywódców” własnego chowu. W Rumunii od roku 1981 obowiązuje ścisła reglamentacja podstawowych artykułów żywnościowych jak chleb (300 g – dziennie) oraz w racjach miesięcznych: masło (315 g), mleko (3 litry), jajka (9 sztuk), drób (1,42 kg), cukier (1,2 kg), mąka (1,5 kg) i ziemniaki (4 kg). Również racjonowane jest mięso, dla którego danych mi brak. Od czterech lat wprowadzane są przez władze tzw. „plany oszczędnościowe”, mające zmniejszyć zadłużenie Rumunii za granicą i „poprawić” sytuację gospodarczą. Rezultaty na razie są takie, iż w szpitalach z braku prądu zamarzają noworodki, a ludzie w domach siadają do stołu w płaszczach. Poparta dekretem prawnym obowiązująca norma maksymalnej temperatury w prywatnych mieszkaniach nie może przekroczyć 12 stopni Celsjusza. Włączać można tylko jedną żarówkę w jednym pomieszczeniu jednego miesz-

kania. Maksymalna moc żarówki (też mocą dekretu) nie może przekraczać 40 W. Nie wolno posiadać elektrycznych urządzeń gospodarstwa domowego, a tym bardziej podgrzewać zwisających z sufitu sopli (zimy z 30-stopniowymi mrozami w Rumunii nie są rzadkością) elektrycznym grzejnikiem. W dzielnicach, w których przekroczona zostanie norma przydziału prądu (35 kW/h miesięcznie na rodzinę – co jest wielkością odpowiadającą mniej więcej trzykrotnemu użyciu pralki automatycznej) wyłącza się po prostu dopływ prądu bez względu na to, czy w rejonie podlegającym sankcji znajduje się szpital czy też nie. Opieka lekarska podlega bowiem normom socjalistycznym, wśród których ciekawostką jest dekret zabraniający przyjmowania do szpitali ludzi powyżej 65 lat. O godz. 21.00 kraj zamiera, pogrąża się w ciemności i zimnie – kończą działalność teatry, kina, restauracje; co 200 metrów tli się niemrawo jedna latarnia uliczna, zapewne po to, by nocne patrole milicji mogły rozróżnić, w jakiej znajdują się dzielnicy. Obrazu dopełnia nadzwyczaj sprawna policja, wyjątkowo „sprawiedliwe” i szybko działające sądy oraz dobrze zaludnione więzienia. Z demografii Ceausescu nie jest jednak zadowolony i postanowił zaludnić także inne pomieszczenia mieszkalne w Rumunii. Opracowano odpowiedni plan, według którego obywatele Rumunii powinni się tak mnożyć, by w roku 2000 osiągnąć okrągłą liczbę 30 milionów (obecnie: 22,7 milionów). Pamiętano też o opornych: bezdzietne małżeństwa obciążono dodatkowymi podatkami, a w fabrykach przeprowadzono przymusowe badania ginekologiczne kobiet po to, by „Conducator” uzyskać mógł lepszy wgląd w problem niskiego przyrostu naturalnego.

Na Zachodzie Rumunów nazywa się „narodem cierpliwym” tzn. takim, który cicho siedzi, pozwala się maltretować i nie wymaga od drugiej połowy Europy (jakimiś strajkami czy demonstracjami) zajęcia wyraźnego stanowiska wobec popełnianych nieprawości. Nota bene wygląda na to, że dla zachodnich demokracji każdy naród nie podnoszący krzyku w obliczu gwałtu jest „cierpliwym i wyrozumiałym” — „cierpliwi” byli Węgrzy do 1956 r., Czesi i Słowacy do 1968 r., Polacy do 1980 r. (z małymi przerwami); permanentnie „wyrozumiali” są Bułgarzy, narody ZSRS oraz właśnie Rumuni. Niedawno okazało się, że społeczeństwo prowadzone do komunistycznego raju przez Ceausescu straciło cnotę cierpliwości.

15 listopada ub. roku na ulice drugiego co do wielkości miasta Rumunii — Brasova wyszło 1500 robotników fabryki traktorów „Steagul Rosu” (czerwony sztandar). Bezpośrednim powodem protestu było obcięcie premii. Gdy w niedzielę rano nocna zmiana skończyła pracę, robotnikom nie pozwolono pójść do domów, lecz kazano im wsiadać do przygotowanych ciężarówek, mających zawieźć ich do urn rozpoczynających się właśnie wyborów komunalnych, w których naród potwierdzić miał zaufanie do władzy. Tłum ciężarówki zignorował (parę nawet przewrócił) i ruszył w kierunku centrum miasta.



Conducator

Sprawna dotychczas policja rumuńska nie interweniowała. Demonstrację wzięto bowiem za jak najbardziej legalną i nikt nie dziwił się, iż w niedzielę o szóstej rano robotnicy po nocnej zmianie manifestują swoje poparcie dla polityki Ceausescu. Dopiero gdy rozpoczął się dymieć miejscowy komitet partyjny oraz biuro burmistrza, policja wsparta czołgami zaczęła wypełniać swoje obowiązki. Tłum wzrósł do 5000 osób. Doszło do walk ulicznych, w których według nie potwierdzonych informacji zginęły dwie osoby, byli też liczni ranni (szczególnie w bitwie o miejski ratusz). Demonstranci rozbili magazyn z żywnością przeznaczoną dla „równiejszych”, znajdując tam od lat nie widziane w sklepach dla „równych” smakołyki: wędliny, sery, pomarańcze, czekolady. Dopiero po sześciu godzinach czołgom i policjantom udało się rozgonić demonstrantów. Aresztowano ok. 400 osób.

Informacje na temat zasięgu rozruchów w Rumunii do dnia dzisiejszego są niepełne. Według zachodnich dyplomatów do podobnych protestów doszło również w innych miastach Rumunii. Także w samym Bukareszcie nie było spokoju: w trakcie ulicznych zamieszek podpalono pomnik Lenina. Wiadomo także o studenckich demonstracjach w Temeswarze na początku grudnia. O zasięgu protestów świadczy też fakt, iż skąpy zazwyczaj w krytyczne informacje dotyczące spraw wewnętrznych serwis rumuńskiej agencji prasowej podał (dwa tygodnie po fakcie) wiadomości o zajściach!

Zaskoczeni byli nie tylko zachodni dyplomaci, ale także rząd Rumunii, a szczególnie sam „Conducator”. Cechą charakterystyczną tych rozruchów było to, iż większość „wrogich okrzyków” zaadresowana była osobiście do I Sekretarza, a nieobecne prawie były zwyczajne wśród narodów obozu przy takich okazjach slogany antysowieckie i antykomunistyczne. Wynika to zapewne z faktu, iż wszystko, co w ostatnich latach zbudowano, zmarnowano, znowu zbudowano i ponownie spieprzono kojarzone jest nieodmiennie w Rumunii z osobą Wielkiego Przywódcy. I nie bez racji. Ceausescu jest podręcznikowym przykładem przywódcy komunistycznego rządzącego krajem „cierpliwych”. Wszystkie jego projekty, „strategiczne pociągnięcia na polu ekonomiki”, usprawnienia gospodarcze, nowe metody rządzenia i bardzo szczególne prawodawstwo okazały się „obiektywnymi trudnościami” na drodze do dobrobytu, czyli mówiąc po ludzku, przekroczyły

nawet poziom głupoty dopuszczalny w komunizmie.

Historia doprowadzenia jednego z krajów europejskich w drugiej połowie XX wieku do stanu państwa niedorozwiniętego jest równie prosta jak mentalność komunistycznego przywódcy o stalinowskich ciągotkach. Na początku lat sześćdziesiątych Ceausescu postanowił (tak jak reszta kolegów po fachu) zrujnować we własnym kraju rolnictwo, a dochód narodowy wyrównać inwestycjami w przemyśle ciężkim — głównie stalowym i petrochemicznym. Gigantomania Ceausescu przybrała w tym przypadku rozmiary porównywalne jedynie z szaleństwami Stalina w latach jego najpłodniejszej działalności. Ideą „Conducatora” było przerobienie kraju rolniczego w przemysłowy z perspektywą dojścia do samowystarczalności. W samym roku 1969 zbudowano w Rumunii ponad 200 obiektów przemysłowych, nie inwestując ani jednej bani w rolnictwo. Nowopowstające ośrodki przemysłowe połykały niesamowitą ilość pracowników, z których większość pochodziła ze wsi. W ciągu trzech lat produkcja stali wzrosła o milion ton.

Drugim hobby „Conducatora” stał się przemysł petrochemiczny. Postawiono olbrzymie zakłady przetwórcze ropy, których możliwości prze-

robowe trzykrotnie przekraczały możliwości wydobycze kraju. Wszystko zaważyło się tak, jak w podręcznikach antykomunistycznych napisano. Produkty przemysłu stalowego były bardzo niskiej jakości i prawie nikt nie chciał ich kupować, a przemysł petrochemiczny uwiądnął z braku surowca. Zaczęto sprowadzać bardzo drogą ropę z zagranicy (w tym od Wielkiego Brata — za dolary bądź żywność). Nie trzeba wspominać, że większość elektrowni nastawiona była — wobec świetlanych perspektyw przemysłu petrochemicznego — na ropę, w związku z czym w państwie rumuńskim robiło się coraz ciemniej i zimniej. „Conducator” postanowił jednym pociągnięciem, zlikwidować narosłe „przejściowe trudności” i rozkazał przestawienie kraju na elektrownie węglowe i wodne. Z równym rozmachem jak poprzednio rafinerie, zaczęto budować kopalnie i zapory wodne. Niestety, węgiel okazał się bardzo podłej jakości, a niezbyt logicznie rozlokowane zbiorniki wodne wysychały w upalne lata bądź musiały być używane do nawadniania pól. Pozostał tylko jeden sposób wyjścia z kryzysu, sposób bardzo popularny w krajach na wschód od Łaby: **oszczędności**.

Jednak genialne pociągnięcie Wielkiego Przywódcy zlikwidowania kryzysu w przemyśle poprzez ograniczenie ilości jajek do 9 na miesz-



Gmach Republiki — ku chwale Wodza Ceausescu



Kolejki na ulicach Bukaresztu

kańca miesięcznie nie przyniosło spodziewanych efektów. By utrzymać na chodzie przestarzałe i niewydajne owoce własnej gigantomanii, Ceausescu zaczął brać pieniądze zza granicy. Kredyty jak zwykle płynęły warko i bez koniecznych warunków czy ograniczeń. Jednak „Conducator” nie dał się ponieść euforii, jakiej ulegają zazwyczaj wobec miliardów dolarów z Zachodu inni przywódcy krajów socjalistycznych i nakazał jak najszybsze spłacenie kredytów, nawet za cenę jeszcze drastyczniejszych oszczędności. Powód tak niezwykłego kroku wyjaśnił sam Przywódca: długi zagraniczne osłabiają pozycję Rumunii na świecie i uzależniają ją od zachodnich kredytodawców, co w sumie może ograniczyć możliwości oddziaływania rumuńskiej polityki zagranicznej, która jest nie tylko ozdobą i chlubą naszego kraju, ale także, czy raczej: przede wszystkim głównym hobby „Conducatora”. Kredyty z Zachodu spłacane są w oszałamiającym tempie; wierzyciele zaproponowali nawet Ceausescu, by przestał się tak gorączkować i spokojnie rozplanował dalsze spłaty, w ten sposób, by gospodarka mogła nieco odetchnąć, ale dla „Conducatora” hobby jest ważniejsze i nadal spłaca on długi kosztem wewnętrzne-

go zaopatrzenia (wszystko idzie na eksport) i modernizacji przemysłu. Między rokiem 1981 a 1985 Rumunia zmniejszyła zadłużenie w zachodnich bankach z 10,5 mld dolarów do 7 mld. Pod koniec roku 1987 było tego już tylko ok. 5 mld.

„Conducator” wie jednak co czyni. Jego zagraniczne hobby jest jedynym polem, na którym Rumunia otrzymuje pozytywne cenzurki od świata. Zachwyty na niezależnością rumuńskiej polityki zagranicznej rozbrzmiewają nie tylko wśród demokracji parlamentarnych. Także ośrodki opozycyjne w Europie Wschodniej wypowiadały się z podziwem o hobby przywódcy Rumunii, nie bardzo zdając sobie sprawę, jakim kosztem owa niezależność jest utrzymywana oraz czemu służy ów parawanik niesubordynacji wobec Sowietów. Ceausescu nie tylko chce być widoczny na arenie międzynarodowej, ale usilnie zabiega jeszcze o miano dobroczyńcy narodów. Raz po raz słychać z Bukaresztu i różnych międzynarodowych spotkań wezwania „Conducatora” do pojednania między zwaśnionymi krajami. Energia Przywódcy jest niewyczerpana i w równym stopniu troszczy się on o pokój na Bliskim jak i na Dalekim Wschodzie, nie zapominając też o Ameryce Środ-

kowej. Ostatnim apelem Ceausescu było wezwanie do Reagana i Gorbaczowa, by jak najszybciej spotkali się i załatwili problem zbrojeń w Europie. Niestety obydwa mocarstwa nie doceniły wysiłków „siewcy pokoju” i nawet mu nie podziękowały za wkład w układ. Ceausescu poczuł się bardzo dotknięty i, jak plotka polityczna niesie obraził się; nie pojechał do Berlina Wschodniego na spotkanie przywódców obozu z Gorbaczowem. „Conducator” potrafi jednak być też bezinteresowny. Po rozruchach w Brasowie i Bukareszcie, po ogłoszeniu paru apeli do narodu o zwiększenie tempa oszczędności pojechał do Egiptu siać pokój i przy okazji udzielił Mubarakowi pożyczki w wysokości 200 mln dolarów – na rozwój gospodarki.



Państwo Ceausescu adoptowali 3000 sierot.

Szaletstwa Ceausescu nadal są oklaskiwane na wszystkich krajowych konferencjach i wieczornicach ku pamięci, telewizja nieustannie transmituje objawy zachwytu nad „dobroczyńcą”, jednak po rozruchach w Brasowie i innych miastach obserwatorzy życia w Rumunii coraz częściej mówią o zmianie atmosfery w tamtejszym społeczeństwie. Coraz więcej ludzi wyraża swoje niezadowolone z poziomu życia i braku widoków na wyj-

ście z głębokiego kryzysu. Coraz więcej Rumunów przełamuje strach przed kontaktem z cudzoziemcami i udziela krytycznych odpowiedzi na pytania o sytuację wewnętrzną.

Nęcza w Rumunii ma dwa oblicza polityczne: z jednej strony służy reżimowi w niedopuszczeniu do rozwoju opozycji; antagonizuje ludzi, a także ułatwia możliwości ugłaskania niezadowolonych byle czym. Z drugiej jednak strony tam, gdzie nic nie ma, nie ma też nic do stracenia i możliwość wybuchu ogólnego buntu przeciwko reżimowi staje się coraz bardziej prawdopodobna. Ceausescu zareagował na obie strony alternatywy: po rozruchach kazał wypłacić wszystkim pracującym Rumunom jednorazową premię oraz zapłacił na chwilę sklepy w większych miastach; posunięciem tym towarzyszyła zwiększona aktywność policji, tajnej i mundurowej.

Jednak owe manewry zapobiegawcze robią coraz mniejsze wrażenie na Rumunach. Społeczeństwo (a także niektórzy czołowi komuniści) zdają sobie sprawę z beznadziejności sytuacji wewnętrznej pod rządami rodziny Ceausescu. Odzywają się głosy żądające reform oraz ustąpienia klanu „Conducatora”.

Równie silnie zaczynają być akcentowane hasła narodowościowe (na pomniku Lenina w Bukareszcie przed podpaleniem napisano: „Oddajcie nam nasz kraj!”). Jednak głównym problemem jest nęcza! O rozpacz ludzi wobec braku jakichkolwiek perspektyw na poprawę świadczy to, iż wielu pozytywnie przyjęłoby nawet interwencję sowiecką, gdyby to mogło coś zmienić, a przede wszystkim odebrać władzę „Conducatorowi”. Ceausescu zbyt zaniepokojony nie jest i nadal spokojnie uprawia swoje hobby, a w przerwach opracowuje nowe plany rozwoju Rumunii (na przykład zażądał, by w przyszłym roku zbiory zbóż wzrosły do 35 mln ton – w roku 1985, określonym jako dobry, zebrano poniżej 20 mln ton, itd. itp.). I chociaż nadal jego przemówienia, tak jak to wyłoszone na konferencji partyjnej po rozruchach w Brasowie („Dzisiaj stwierdzić możemy, że wybraliśmy właściwą drogę”), przerywane są po kilkadziesiąt razy burzliwymi oklaskami (ostatni rekord z połowy grudnia 1987: 50 razy) Rumunia powoli przestaje być „krajem cierpliwych”.

Niedaleka wydaje się przyszłość, w której przewagę zdobyć mogą „gniewni”, a wtedy „najbiedniejszy barak obozu” stać się może najbardziej zapalnym.

Polska opozycja polityczna



Przez pojęcie ugrupowania politycznego rozumiemy tu organizacje, które same określiły się jako takie, a opublikowały swój program bądź deklarację polityczną oraz posiadają struktury organizacyjne.

Porozumienie Partii i Organizacji Niepodległościowych: w dn. 3 maja 1987 r. ogłoszono w Polsce powołanie pierwszego sojuszu politycznego o tej nazwie, łączącego kilka ugrupowań. W jego skład wchodzi: Organizacja Liberalnych Demokratów „Niepodległość”, Organizacja Wolność-Sprawiedliwość-Niepodległość (WSN), Polska Partia Niepodległościowa (PPN), Ruch Polityczny „Wyzwolenie” (RPW) i Grupa Polityczna „Samostanowienie”.

Programy tych ugrupowań różnią się od siebie, niekiedy dość znacznie, ale łączy je bliskość lub zbieżność aktualnej postawy politycznej i podobna taktyka działania. Wspólnymi elementami programowymi są: 1) dalekosiężny cel polityczny — odzyskanie niepodległości przez Polskę; 2) stosunek do reżimu komunistycznego — ów traktowany jest jako narzucony i utrzymywany przemocą przez ZSRS (a więc nielegalny i pozbawiony społecznego mandatu), zaś PRL — jako sowiecki twór administracyjny, czuwający nad realizacją celów politycznych i ekonomicznych ZSRS w Polsce; 3) stosunek do Jaltę i Teheranu — wszystkie ugrupowania PPION odrzucają je jako nieważne od samego początku; 4) zasada samostanowienia narodów — traktowana jest jako podstawowa zasada stosunków międzynarodowych; 5) ciągłość prawnopolska państwa niepodległej II Rzeczypospolitej — wszystkie ugrupowania PPION uznają tę ciągłość, a we władzach RP na Obczyźnie widzą symbol Polski Niepodległej.

CHARAKTERYSTYKA POSZCZEGÓLNYCH UGRUPOWAŃ PPION

Ruch Polityczny „Wyzwolenie” powstał na przełomie 1983/84. Utworzyli go działacze NSZZ „Solidarność” z różnych środowisk, którzy pragnęli przejść od działań w ramach masowego, opozycyjnego ruchu związkowego do działań bezpośrednio politycznych. Program RPW postuluje demokratyczny ustroj państwowy w niepodległej Polsce oparty o wolne wybory parlamentarne, sprawny system władzy wykonawczej, całkowitą równoprawność wszystkich form własności i system gospodarki wolnorynkowej oraz niezbędny zakres polityki społecznej państwa. RPW zmierza do obalenia ustroju komunistycznego w PRL, w obecnym okresie działając wyłącznie metodami politycznymi.

RPW określa swoją pozycję polityczną w bieżących działaniach. Wypowiadała się m.in. na rzecz zwolnienia więźniów politycznych, likwidacji represyjnego ustawodawstwa PRL, przeciw zniesieniu sankcji USA wobec reżimu PRL, za współpracą z innymi narodami zniewolonymi przez ZSRS, za bojkotem tzw. „wyborów” do rad narodowych i do sejmu PRL, a następnie — przeciw udziałowi w referendum.

RPW traktuje system polityczny jako niezdolny do reform i zmian o trwałym charakterze. Obecne projekty reform w PRL uważa za aktywność o charakterze propagandowym lub za działalność o nietrwałym, doraźnym znaczeniu. Podobny jest stosunek RPW do tzw. „pierestrojki” i „głasności” w ZSRS.

RPW wydaje miesięcznik polityczny *Wyzwolenie*, a wydawnictwo o tej samej nazwie rozpoczęło wydawanie książek. Wydaje ono także mie-

sięcznik *Myśl Niezależna*, redagowany w środowisku WSN.

RPW aktywnie działa na rzecz integracji niepodległościowej opozycji politycznej. Wraz z WSN tworzy federację. Posiada sformalizowane struktury organizacyjne. Przewodniczącym RPW jest Karol Wit.

Organizacja Wolność-Sprawiedliwość-Niepodległość. Utworzona w środowisku inteligencji twórczej. Sformułowała program przemian demokratycznych w niepodległej Polsce z silnym podkreśleniem roli samorządu terytorialnego i pracowniczego oraz znaczenia polityki społecznej państwa. Program pozostaje pod silnym wpływem nauki społecznej Kościoła katolickiego. Wraz z RPW tworzy federację.

WSN sformułowała rozwinięty program współpracy narodów podbitych przez ZSRS. Wskazuje on na historyczną zbieżność celów narodowych Polski, Ukrainy, Białorusi, Litwy, a także Węgry, Czechosłowacji i innych krajów obozu sowieckiego. Wzywa te narody do współpracy w celu obalenia sowieckiej przemocy, do wyzwolenia narodowego. Wypowiada się za bliską współpracą narodów tego regionu po odzyskaniu przez nie niepodległości. Idee te, przyjęte wspólnie z RPW, propagowane są m.in. na łamach kwartalnika *Nowa Koalicja*, który oba ugrupowania zainicjowały w 1986 r. Przewodniczącym WSN jest Franciszek Milwid.

Polska Partia Niepodległościowa powstała w 1985 r. na skutek rozłamu w Konfederacji Polski Niepodległej. Część kierownictwa i działacze KPN uznała wówczas, iż wygasły możliwości uprawiania politycznej działalności jawnie i w ramach porządku prawnego PRL, co było i jest podstawą poglądów przywódcy KPN – Leszka Moczulskiego. Na tym tle działacze wystąpili z KPN i utworzyli PPN.

Program PPN akcentuje przywiązanie do demokratycznego ustroju niepodległego państwa polskiego, określa PPN jako nową pravicę polską (tzn. nie nawiązuje do dawnych, tradycyjnych partii prawicowych w Polsce, jak np. Narodowa Demokracja). Program PPN podejmuje liczne wątki społecznej nauki Kościoła katolickiego. Propaguje postulat przygotowywania kadr do aktywnej akcji na rzecz przyszłego wyzwolenia Polski.

PPN posiada silnie rozbudowaną organizację w kilku ośrodkach kraju. Wydaje miesięcznik

Polska Niepodległa oraz kilka innych pism.

Jak podaje prasa PPN, komunistyczna Służba Bezpieczeństwa utrzymuje, iż czołowymi działaczami PPN są Romuald Szeremietiew i Tadeusz Stański oraz Tadeusz Jańdziszak, który przebywa na emigracji.

Organizacja Liberalnych Demokratów „Niepodległość”. Bezpośrednio po ogłoszeniu stanu wojennego grupa działaczy powołała redakcję miesięcznika *Niepodległość*. Głosił on postulat zajęcia się działalnością polityczną. Na czoło swego programu wysunął hasło aktywnego działania na rzecz odzyskania niepodległości i zarzucenia – jako bezskutecznych – usiłowań zmiany ustroju komunistycznego na „lepszy”. Ostra publicystyka *Niepodległości*, mocno krytykująca taktykę przywódców „Solidarności”, zwłaszcza w stanie wojennym, znalazła w Polsce szerokie echo i znacznie przyczyniła się do krystalizacji polskiej opozycji politycznej.

Wokół redakcji zaczęły skupiać się liczne środowiska, które w 1985 r. utworzyły Liberalno-Demokratyczną Partię „Niepodległość”. Partia ta przyjęła idee współczesnego konserwatyzmu z USA i z Europy Zachodniej. LDPN silnie rozwinęła się organizacyjnie i utworzyła oddziały w kilku miastach Polski.

Na tle różnic wewnątrzorganizacyjnych już w 1986 r. doszło w LDPN do rozłamu pomiędzy grupą pisma *Niepodległość* a licznymi nowymi działaczami. Ci ostatni po rozłamie zachowali nazwę LDPN, zaś środowisko skupione wokół dawnej redakcji *Niepodległości* (która ukazuje się nadal) przyjęło nową nazwę Organizacja Liberalnych Demokratów „Niepodległość”.

Organizacja ta od kilku lat współpracuje aktywnie z innymi ugrupowaniami politycznymi w Polsce, w tym z RPW, WSN i „Solidarnością Walczącą”.

Grupa Polityczna „Samostanowienie”. Ugrupowanie, które powstało w 1985 r. przyjęło za zasadniczy cel swego istnienia propagowanie zasady samostanowienia narodów oraz legalizmu prawnopañstwowego II Rzeczypospolitej, wyrażającego się w trwaniu urzędu Prezydenta RP i Rządu RP na Obczyźnie dzięki Konstytucji z 1935 r.

Wydaje pismo *Samostanowienie*, którego pierwszy numer ukazał się w 1985 r.

INNE UGRUPOWANIA POLITYCZNE

Solidarność Walcząca. Organizacja założona w 1982 r. w początkowym okresie stanu wojennego. Główny ośrodek SW – Wrocław. Skupiła wielu działaczy „Solidarności” zaliczających się do nurtu konsekwentnych przeciwników systemu komunistycznego. Program SW opiera się o hasła solidaryzmu klasowego, na czoło celów politycznych wysuwa kwestię walki o odzyskanie niepodległości kraju; wzywa do postawy oporu wobec reżimu komunistycznego. Formułuje prawo użycia siły w samoobronie. Zasadniczym jednak środkiem działania SW są metody polityczne.

Główna działalność SW skupiła się na wydawaniu ok. 30 pism w różnych miastach Polski, o różnej objętości i częstotliwości.

Przywódcą SW jest Kornel Morawiecki, pracownik naukowy Uniwersytetu Wrocławskiego. K. Morawiecki ukrywał się od 13 grudnia 1981 przez prawie sześć lat. Aresztowany w listopadzie 1987 r.

Konfederacja Polski Niepodległej. Organizacja utworzona w 1978 r. przez Leszka Moczulskiego, autora książki „Rewolucja bez rewolucji”. Na przełomie lat 70/80-tych Konfederacja rozrosła się do rozmiarów organizacji kilkudziesięciotysięcznej. Program KPN przewidywał działania jawne, w ramach porządku prawnego PRL. Celem działalności są mające stopniowo następować zmiany prowadzące do upadku systemu komunistycznego w PRL i przekształcenia jej w państwo niepodległe.

Dwukrotne aresztowanie L. Moczulskiego i innych przywódców KPN oraz wieloletni ich pobyt w więzieniu, a także jawność działań KPN doprowadziły do sparaliżowania jej działalności przez SB na przeciąg kilku lat. Po wyjściu L. Moczulskiego na wolność w 1986 r. KPN częściowo odrodziła swe struktury. Obecny zasięg wpływów KPN nie jest znany. Różnice na tle programowym doprowadziły w 1985 roku do rozłamu w KPN – (patrz PPN – przyp. T.S.).

KPN wydaje kilkanaście pism periodycznych w kilku największych miastach Polski. Główny organ to pismo *Droga*. Obecnie L. Moczulski działa jawnie, pozostałe struktury KPN są utajnione.

Kongres Solidarności Narodu. Niewielkie ugrupowanie niepodległościowe manifestujące

swe przywiązanie do historycznych tradycji walki o niepodległość, głównie z okazji rocznic historycznych. Wydaje nieregularnie pismo *Solidarność narodu*. Nie jest pewne, czy KSN posiada strukturę organizacyjną. Czołowym działaczem KSN jest Wojciech Ziemiński.

Liberalno-Demokratyczna Partia „Niepodległość”. Ugrupowanie powstałe w wyniku rozłamu (patrz Organizacja Liberalnych Demokratów „Niepodległość” – przyp. T.S.). LDPN posiada oddziały w kilku miastach Polski, wydaje pismo o nazwie *Niepodległość* (takiej samej jak organ OLDN) oraz kilka pism regionalnych. Program polityczny nawiązuje do współczesnych tendencji konserwatywnych na Zachodzie.

LDPN przejawia dużą aktywność w dystrybucji ulotek. Dąży do współpracy z KPN i „Solidarnością Walcząca”. Była inicjatorem „Dnia solidarności z Afganistanem” (1 maja).

Polska Partia Socjalistyczna. 15 listopada 1987 r. ogłoszone zostało wznowienie działalności Polskiej Partii Socjalistycznej. Dokonała tego grupa działaczy z Warszawy i kilku innych miast polskich, działających dotąd bądź jawnie, bądź w konspiracji w różnych strukturach organizacyjnych. Ogłoszona deklaracja polityczna nawiązuje do tradycji przedwojennej PPS. Stwierdza ona, że PPS zamierza przywrócić właściwe znaczenie pojęciu socjalizm, znieszczałonemu przez komunistów i że partia zamierza działać – podobnie jak KPN – jawnie i w ramach porządku prawnego PRL, tj. powołując się na konstytucję PRL. Pierwsze zebranie i pierwsza konferencja prasowa PPS zostały przerwane przez SB, zaś sama PPS – podobnie jak wszystkie inne organizacje opozycji – ogłoszona została przez władze reżimowe za nielegalną. (Przewodniczącym jest Jan Józef Lipski – przyp. red.).

Pominięto tu inne ugrupowania polityczne, których działalność bądź wygasała, bądź przybrała inne formy (np. działalności społecznej), jak np. Grupy Polityczne „Wola” czy Grupy Polityczne „Robotnik”.

W-wa, grudzień 1987

**Redakcja «Poglądu»
poszukuje kolportera
we Frankfurcie**

„Wolność i Pokój” czyli w imię ludzkiej solidarności

Rozmowa z Janem Minkiewiczem, oficjalnym reprezentantem WiP-u na Zachodzie oraz przedstawicielem brukselskiego Biura „Solidarności” w Holandii.

Andrzej Nadziej: „Wolność i Pokój”, niezależny polski ruch pokojowy, o którym od początku głośno tak w Polsce jak i na Zachodzie, powstał by „propagować i pozyskiwać jak największe rzesze Polaków dla prawdziwej, niczym nie zafałszowanej idei pokoju”. Tak stwierdzają w deklaracji założycielskiej jego twórcy. Ale o ruchach pokojowych mówi i myśli się różnie, i w kraju i tutaj...

Jan Minkiewicz: WiP próbuje obalać tezę, że zachodnie ruchy pokojowe służą Moskwie. Czyni to swymi akcjami, niezależnymi kontaktami. Myślę, że skutecznie. Powyższa teza, nieufność, była przyczyną ostrej kontry, jaką ruchy zachodnie otrzymały od „Solidarności” próbując nawiązać kontakt z naszym Związkiem w 1980 roku. A szkoda.

Stało się tak m.in. z powodu niezrozumienia skomplikowanej struktury i zasady organizacji ruchów pokojowych. Tworzą one luźne federacje jak END (European Nuclear Disarmament – Europejskie Rozbrojenie Nuklearne) z sekretariatem w Nottingham, którego znany apel z 1981 roku mówi o Europie nienuklearnej od Portugalii po Ural. END grupuje wiele ruchów, stowarzyszeń pokojowych, ale wstąpienie doń ostatnio węgierskiej oficjalnej Rady Pokoju oraz kontakty z oficjalnymi radami pokoju i partiami komunistycznymi Wschodu, na co statut tej otwartej federacji pozwala, wywołało i wywołuje zdenerwowanie,

zwłaszcza ze strony wschodnich ruchów niezależnych.

– Trudno się dziwić. Słowo „pokój”, tak chętnie używane przez propagandę wschodnią znaczy tam niewiele, podobnie jak „wolność”. Udział komunistycznych „działaczy pokoju” w zachodnich gremiach pokojowych wzbudza więc tylko podejrzenie co do intencji tych ostatnich... Ale wróćmy do kontaktów zachodnich ruchów pokojowych ze Wschodem.

– Swobodne działanie END utrudniają też rosnące wpływy członków zachodnich partii politycznych. Stąd też zaistniała potrzeba nowej wspólnoty, bardziej niezależnej struktury. I tak w Perugii, we Włoszech powstała w 1984 roku Sieć Dialogu Wschód-Zachód. Wolne zrzeszenie poszczególnych osób, organizacji, ruchów, których celem jest pokój, wolność i sprawiedliwość społeczna. Zrzeszenie mówiące mniej niż END o deraketyzacji, a więcej o polityce. „Wolność i Pokój” od początku należy do Sieci, tak jak od początku swego istnienia współpracuje z END i jest zapraszana na jego konferencje. WiP uczestniczy w pracach Sieci obok czechosłowackiej „Karty 77”, grup węgierskich, ruchu jugosłowiańskiego, współpracując na codzień z tymi ruchami wschodnimi. Podczas sympozjum Sieci w Berlinie Zachodnim, w roku 1985 dyskutowano o podziale Europy, w 40 lat po podpisaniu umowy jałtań-

skiej; w rok później w Mediolanie wydano memorandum na temat polepszenia realizacji umów helsińskich — byłem tam członkiem Komisji Redakcyjnej. Teraz, w listopadzie, ma się odbyć symposium Sieci w Budapeszcie, tematem będzie „Głasność a przyszłość Europy”. 20-lecie wydarzeń w ČSRSto kolejny proponowany temat.

Warta odnotowania jest propozycja WiP-u, potwierdzona podczas ostatniej konferencji federacji END w Coventry (Wlk. Brytania), a mówiąca o organizacji konwencji pokojowych ruchów niezależnych w Warszawie w roku 1989. Propozycję przedłożoną w Coventry przez delegata WiP-u przyjęto z ogromnym aplauzem. Spotkanie to odbyłoby się w 50 rocznicę wybuchu wojny i wówczas, gdy właśnie w Warszawie ma się odbyć kolejna konferencja helsińska. Gdyby udało się doprowadzić do konwencji w Warszawie, byłby to — uważam — przełom polityczno-psychologiczny w dialogu Wschód-Zachód.

— **Przypomnijmy jak WiP powstał, kto doń należy i jaki program reprezentuje...**

— Ruch „Wolność i Pokój” powstał w kwietniu 1985 roku, tuż po akcji protestacyjnej w Podkowie Leśnej, przeciw uwięzieniu działacza NZS, Marka Adamkiewicza za odmowę złożenia przysięgi wojskowej. Protestujący, głównie członkowie NZS i działacze „Solidarności” z całego kraju stwierdzili, iż brak jest w Polsce autentycznego ruchu pokojowego, zajmującego się też prawami człowieka. Ruch powstał w Krakowie, wkrótce potem dołączyła Warszawa.

Obecnie WiP funkcjonuje w trzynastu dużych ośrodkach miejskich, m.in. w Bydgoszczy, Gdańsku, Gorzowie Wielkopolskim, Wrocławiu, Poznaniu. Jest to ruch masowy, należą do niego studenci aktywiści z NZS, robotnicy, inteligencja, uczniowie szkół średnich. Niektóre nazwiska są już znane, np. Jacek Czaputowicz czy Piotr Niemczyk. Grupy w poszczególnych ośrodkach miejskich działają niezależnie, nie ma centralizacji. Wrocław np. zajmuje się mniejszościami narodowymi i kontaktami z Czechami, Poznań ekologią i współpracą z rolnikami indywidualnymi. Decyzje strategiczne, stanowisko oficjalne WiP-u ustalane są podczas wspólnych seminariów i spotkań. Blisko 200 profesjonalnych uczestników ruchu jest dostępnych non-stop, służą zainteresowanym pomocą, informacjami etc. Istnieje 10 wydawnictw WiP-u, jak warszawski serwis informacyjny czy wydawany w języku polskim biuletyn Amnesty International.

WiP akceptowany jest przez wszystkie ugrupowania opozycyjne w Polsce, działają w nim lub współpracują m.in. J.J. Lipski, W. Lamentowicz, J. Kuroń, J. Szymanderski z Prezydium Regionu Mazowsze, J. Onyszkiewicz...

— **A więc i „Solidarność”...**

— „Solidarność” poparła WiP, popiera jego cele i działania. Uznano, że WiP wypełnia lukę, zajmując się sprawami, którymi „Solidarność” jako związek zawodowy zająć się nie może czy nie powinien: WiP ma swoje miejsce, my mamy swoje — mówią działacze „Solidarności”. „Solidarność” może mieć zdanie na temat pokoju ale nie musi na temat służby wojskowej; winna i działa na rzecz poprawy warunków socjalno-bytowych, nie musi na rzecz ekologii (choć temat ten też ją zajmuje).

Działacze WiP-u, z reguły znacznie młodszy od „solidarnościowców” to niemal kolejne już, walczące pokolenie, wyłaniające się z „Solidarności”, wychowane przez swych starszych kolegów, ale i starające się unikać ich błędów. Rozwiązują problemy często w inny sposób, co niektórym „starszym” z „Solidarności” czasem się nie podoba. Gdy podpisywano Umowę Gdańską, oni mieli przeważnie 12-14 lat... Teraz są niezależni, wiedzą, czego chcą, mają swój program, wypracowali w krótkim czasie kontakty międzynarodowe. Są świadomi, że idąc w pierwszej linii ataku, są taranem. Przez demonstracje, petycje zwracają uwagę na problem. Wiedzą, że za nimi winni iść specjaliści z raportami, umacniającymi zdobyte pozycje, wyciągający wnioski i opracowujący dalsze działanie. I tego WiP-owcy pilnują, zdając sobie sprawę, że dopiero wtedy można mówić o pełnym, sensownym programie.

— **Właśnie program WiP-u przyprawia o bezsenność Andrzeja Jeżewskiego z Żołnierza Wolności i jego zachych kolegów, a przede wszystkim pryncypałów...**

— Program ten nigdy nie był ani nie jest antypolski, co tak ochoczo oficjalna prasa w kraju lubi powtarzać. Bo nie można przecież określić „antypolskimi” działań na rzecz obrony, czy raczej wprowadzenia praw człowieka w Polsce, na rzecz wolności religijnej i niezależności narodowej. Nie jest chyba antypolską chęć współdziałania w powyższych tematach oraz w zakresie ochrony naturalnego środowiska z ludźmi myślącymi podobnie i chcącymi tego samego, zamieszkałymi tak w krajach wschodnich jak i zachodnich? A może przeciw Polsce skierowany jest apel WiP-owców o likwidację głodu — hańby współczesnej ludzkości,

1952 i mowa tam m.in. o lojalności względem rządu PRL, o braterskim sojuszu z Armią Radziecką przeciw apetytom imperializmu. Od tego czasu minęło 35 lat i okres ten dał Polakom moralne prawo do wątpliwości, przynajmniej wątpliwości co do uczciwości władz komunistycznych względem obywateli, wątpliwości, czy rzeczywiście mamy przyjaciół, a jeśli, to gdzie oraz kto i na co ma apetyt.

Grupa ekspertów Wydziału Prawa Uniwersytetu Warszawskiego stwierdziła w swym raporcie, że tekst wydanej kilkadziesiąt lat temu przysięgi jest niewłaściwy i wymaga poprawek, oraz że trudno zaakceptować, iż odmowa powiedzenia kilku zdań, zwłaszcza w tym przypadku, prowadzić może do długoterminowego więzienia.

— **Odmowa pełnienia służby wojskowej. Tu władze wprost stwierdzają, że WiP „namawiając do takiej odmowy dąży do zmniejszenia siły obronnej PRL”, że wspomaga NATO swą antypolską i antypatriotyczną postawą. To mocny zarzut!**

— „Wolność i Pokój” nie prowadzi kampanii „namawiającej ludzi”. Gdy zgłaszają się oni do nas po informacje (ja też otrzymuję sporo listów), mówimy najpierw o konsekwencjach (m.in. o tym, że odmowa pełnienia służby grozi wieloletnim więzieniem). To musi być indywidualna, przemyślana, świadoma decyzja. Informujemy gdzie i jak się odwoływać. Nie chcemy, by każdy odmawiał. Ale uważamy, że każdy polski obywatel ma prawo do swych poglądów i przekonań i jeśli pełnienie służby wojskowej czy złożenie przysięgi jest z tymi przekonaniami niezgodne, ma prawo do odmowy.

— **Tym bardziej, że — bądźmy szczerzy — trudno mówić o ciągłości kontynuacji wspaniałych i niezaprzeczalnych tradycji polskiego wojska po roku 1945 w PRL. Trudno dłużej mówić o szacunku i miłości do żołnierzy i dowódców, którzy strzelali do swych rodaków w Grudniu 1970 i 1981, którzy kierowali broń przeciw sąsiadom, wkraczając do Czechosłowacji. Powiem wprost — uważam, że polski mundur został w powojennej Polsce zhańbiony i odmowa włożenia go jest dla mnie w pełni zrozumiała.**

— Tak, i to właśnie skłania młodych ludzi do innego patrzenia na wojsko. Niemniej dalecy jesteśmy od negowania potrzeby istnienia służby wojskowej. Uważamy jednak, że w krajach ONZ winna zostać wprowadzona zunifikowana ustawa określająca kryteria, którym zgłaszający sprzeciw wobec pełnienia służby wojskowej ma odpowiadać, co wykluczałoby nadużywanie prawa do od-

mowy. W przypadku zaakceptowania odmowy, osoby te kierowane winny być od służby cywilnej.

Występujemy i występować będziemy w obronie więźniów sumienia. W sierpniu rozpoczęliśmy akcję protestacyjną, która trwa: w obronie Oskara Kasperka, Piotra Różyckiego i Macieja Wijasa, więzionych za sprzeciw wobec służby wojskowej. Domagamy się ich niezwłocznego uwolnienia, umożliwienia odbycia służby zastępczej w instytucjach nie podlegających wojsku i uregulowania kwestii prawnych, związanych ze służbą zastępczą. W ramach protestu przeprowadzamy demonstracje uliczne i głódówki, ostatnia odbyła się w Bydgoszczy. Odsyłamy książeczki wojskowe, zbieramy podpisy pod petycjami do władz, podejmujemy akcje informacyjne i ulotkowe, wysyłamy do uwięzionych listy z wyrazami solidarności. Wzywamy wszystkich w Polsce do udziału w naszych akcjach, wzywamy do poparcia inne ruchy pokojowe.



Poznań 23. 10. 1967

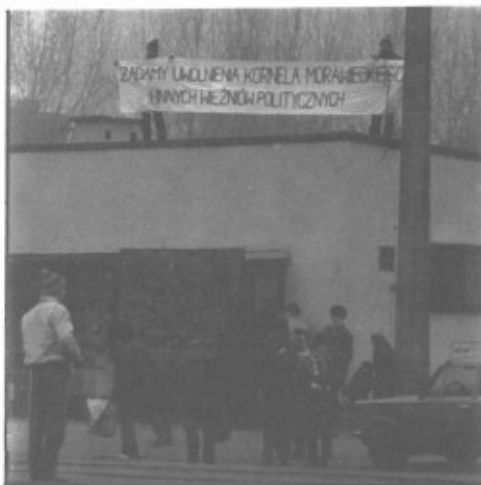
Dwa razy w roku urządzamy spotkania-seminaria w Machowej koło Tarnowa — ostatnie w maju z udziałem gości z krajów zachodnich, na grobie Ottona Schimka, żołnierza Wehrmachtu, rozstrzelanego przez Niemców za odmowę służby wojskowej w czasie wojny. Stał się on symbolem odwagi, przeciwstawiania się przemocy, uznany przez kościół austriacki za męczennika i bohatera.

— **Represje wobec działaczy WiP-u?**

— Nasilają się. Za ostrymi i pozbawionymi rzeczowych argumentów atakami w prasie, poszły od ubiegłego roku aresztowania WiP-owców za to, że w Ruchu działają, że otwarcie wypowiadają swe poglądy. Jacek Czaputowicz — matematyk i Piotr Niemczyk — student prawa, przesiedzieli w areszcie śledczym siedem miesięcy, do amnestii we wrześniu zeszłego roku. Represjonowani są też inni działacze. Dostęp do nazwisk i adresów jest

**Akcje „WiP” o uwolnienie
więźniów politycznych
Wrocław 14.12 – 22.12.87
demonstrują:**

**Grzegorz Francuz, Jerzy Żurko
Marek Muszyński, Krzysztof Wojtyczko,
Tomasz Waćko, Leszek Michalik
Paweł Kacprzak, Przemysław Kopeć,
Wacław Giermek, Sławomir Niećko**



łatwy, gdyż Ruch działa całkowicie jawnie, nie ma żadnych zakonspirowanych działań.

— W jaki sposób Ty trafiłeś do WiP-u, jak stałeś się jego reprezentantem na Zachodzie?

— Zaczęło się od *Kos-u*, wydawanego w Warszawie już w stanie wojennym, pisma o ogólnokrajowym zasięgu, informującego o działaniu zachodnich ruchów pokojowych. Byłem jakby nieoficjalnym reprezentantem *Kos-u* na Zachodzie, potem pośredniczyłem też pomiędzy brukselskim Biurem „Solidarności” a ruchami pokojowymi, służąc zwłaszcza informacjami z punktu widzenia praw człowieka. Opozycja w kraju wiedziała o tym, *Kos* zwrócił WiP-owcom uwagę na moją osobę. I tak się zaczęło.

— WiP od początku szukał szerokich kontaktów z zachodnimi i wschodnimi ruchami pokojowymi, z federacjami tych ruchów, z Amnesty International, z zachodnimi działaczami i ekspertami...

— I dlatego też żadna grupa opozycyjna w Polsce nie wypracowała dotąd tego co „Wolność i Pokój”. Zważywszy przy tym tak krótki okres działania Ruchu jak i intensywne wysiłki władz PRL, aby wbić klin pomiędzy WiP a zachodnie ruchy pokojowe. W myśl polskiej propagandy komunistycznej te ostatnie akceptują politykę Gorbaczowa, podczas gdy WiP służy i popiera Amerykanów...

Można bez przesady powiedzieć, że WiP powitano na Zachodzie z entuzjazmem, do którego teraz, po blisko dwóch latach współpracy doszedł szacunek i uznanie. Mówiłem na początku naszej rozmowy o organizacji ruchów pokojowych i miejscu WiP-u w tej organizacji. Jest faktem, choć bardzo się to polskim władzom w PRL nie podoba, że „Wolność i Pokój” widziana jest przez Zachód jako pierwszy autentyczny, niezależny ruch na Wschodzie, alternatywa dla oficjalnej Rady Pokojowej. Z uwagi na szeroki, konkretny program działania staje się WiP pomostem współpracy Zachodu z opozycją demokratyczną w Polsce

— współpracy, która ma pomóc w ustanowieniu w kraju systemu sprawiedliwości społecznej.

— Czy przeciętny śmiertelnik, tu na Zachodzie, czyta, słyszy coś o WiP-ie — a jeśli tak, to gdzie i skąd?

— W wielu krajach zachodnich jak Wlk. Brytania, Francja, Włochy czy RFN, działacze tamtejszych ruchów pokojowych informują o WiP-ie, o jego akcjach i propozycjach w swych biuletynach, podczas swych spotkań. Są informacje o aresztowaniach, głodówkach, seminariach. Informuje prasa, informują rozgłośnie Radio Wolna Europa, BBC. Wiadomo o WiP-ie tyle, co o innych ruchach pokojowych. Trochę gorzej jest w Holandii, prasa łapie głównie sensacje, a z międzykościelnym ruchem pokojowym (IKV) kontakty są raczej luźne. Ale niedawno młodzi dziennikarze holenderscy byli w Polsce, interesowali się działaniem WiP-u.

Nasz ruch pokojowy jest lepiej zorganizowany od ruchów czy grup na Węgrzech, w Czechosłowacji, Jugosławii oraz ZSRS i tak też jest oceniany na Zachodzie. Zwraca się tu uwagę na jego ogólnokrajowy charakter, stałe działanie, nowe inicjatywy, ciągłość organizacyjną i programową. Czasem nawet możliwości WiP-u są przeceniane, zbyt mało znane są polskie realia. Otrzymuję np. od dziennikarzy pytania — dlaczego nie zorganizujecie w Warszawie półmilionowej demonstracji przeciw zbrojeniom sowieckim? Albo: dlaczego nie przygotujecie protestu przy ogrodzeniach baz sowieckich? I jak tu wytłumaczyć, że samo zbliżenie się do takiej bazy, jest po pierwsze praktycznie niemożliwe, a po drugie, że gdyby nawet, jakimś cudem, to grozi to natychmiastowym aresztowaniem... No i proszę, znów wracam do praw człowieka!

— Dziękuję za rozmowę. O działaniu ruchu „Wolność i Pokój” informować będziemy na bieżąco.

Wywiad autoryzowany

ADAM MICHNIK
POLSKIE PYTANIA

Zeszyty Literackie — Cahiers Littéraires

Cena 110 FF; US \$ 20

s. 288

Data publikacji: grudzień 1987

ZAMAWIAĆ W: Zeszyty Literackie, 44, rue Tiquetonne, 75002 PARIS

Kalendarium — Międzyrzecz

Władze PRL rozpoczęły budowę elektrowni jądrowych w Żarnowcu i Klepicyz nie mając rozwiązanego problemu składowania odpadów radioaktywnych. Pod uwagę brany jest Międzyrzeczki Rejon Umocniony jako **najtańszy** z projektów. Ponadto zaadaptowanie bunkrów na składowisko możliwe jest w dość krótkim czasie. Inwestycja ta niesie za sobą duże zagrożenie dla mieszkańców Wielkopolski (i nie tylko) i środowiska naturalnego, gdyż:

1. MRU (Międzyrzeczki Rejon Umocniony) leży w sferze ruchów glacytonicznych (powinno to automatycznie wykluczyć lokalizację składowiska), na terenie których często występują tąpnięcia, ciekły wodne i kurzawka.

2. Głębokość planowanego składowiska będzie kilkunastokrotnie mniejsza od bezpiecznej (określenie umowne).

3. MRU znajduje się na terenie Pojezierza Lubuskiego (104 akwenu połączone ze sobą) — w przypadku skażenia katastrofa ekologiczna może objąć znaczny obszar.

4. Wody podziemne z okolic Międzyrzecza przenikają przez koryto Odry i łączą się z systemem Łaby — ewentualna katastrofa może mieć wymiar międzynarodowy.

5. Bunkry MRU są stare i „zmęczone”, mają popękane ściany, a korytarze są częściowo zalane wodą. Skomplikowany system odwadniający, jakim były zabezpieczone jest obecnie zniszczony i całkowicie niesprawny.

6. Beton pod wpływem promieniowania radioaktywnego starzeje się sześciokrotnie szybciej — a tym samym wzrasta zagrożenie zawaleniem.

7. Problem składowania nigdzie na świecie nie został rozwiązany w sposób zadowalający i całkowicie bezpieczny dla środowiska.

8. Metoda „bębnow”, przy pomocy której

mają być składowane odpady w Polsce została na Zachodzie zarzucona — jako nieskutecznie zabezpieczająca przed przedostawaniem się odpadów do środowiska.

9. Zlokalizowanie składowiska w MRU spowoduje zagładę unikalnego, największego w Europie rezerwatu nietoperzy „Nietoperek”, zlokalizowanego w bunkrach.

10. Nie ma żadnej gwarancji, że składowane będą w MRU odpady mało i średnioaktywne — jak zapewniają pomysłodawcy. W istniejących warunkach społeczno-politycznych w naszym kraju nie jest możliwe zaistnienie niezależnego ośrodka kontroli społecznej, mającej rzeczywisty wpływ na przebieg składowania.

Ostatni punkt potwierdza fakt, że od początku prac prowadzonych w MRU władze starały się o pełną dyskrecję, o to, aby projekt ten nie został rozpoznany przez najbardziej zainteresowanych tą sprawą, czyli mieszkańców Międzyrzecza i okolicznych wsi. Tylko przypadkowi zawdzięczają oni dość wczesną możliwość wpływu na sytuację.

1983 — w Międzyrzeczu rozpoczynają badania naukowcy z Ośrodka Badawczo-Rozwojowego Górnictwa „Chemkop”.

1985, styczeń — pod wpływem nacisku opinii publicznej z Międzyrzecza informacja o planach utworzenia w MRU składowiska odpadów radioaktywnych pojawia się w prasie oficjalnej.

1985, luty — pierwszy oficjalny protest przeciwko tym planom wystosowany przez Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze w Międzyrzeczu.

1985, marzec — w Kaławie i innych wsiach wokół MRU zbierane są podpisy przeciw składowisku. Patriotyczny Ruch Odrodzenia Narodowego w Międzyrzeczu podejmuje uchwałę o „niedopuszczeniu do utworzenia składowiska odpadów ra-

dioaktywnych w bunkrach MRU". Sukcesywnie wysyłane są do Sejmu i władz wojewódzkich petycje protestujące mieszkańców Międzyrzecza.

1986, 17 stycznia — odbyło się spotkanie atomistów z mieszkańcami Międzyrzecza zorganizowane przez międzyrzecki PRON. Naukowcy zignorowali całkowicie nastroje i argumenty wysuwane przez mieszkańców.

1986, 28 kwietnia — wizyta 50 mieszkańców Międzyrzecza w Instytucie Energii Atomowej w Świerku, a potem w Warszawie, gdzie w Sejmie zostaje przekazana petycja przeciwko składowisku w MRU'.

Sejmu PRL.

1987, 12 kwietnia — rozprawdzenie po Międzyrzeczu 4 tys. ulotek, nawołujących do manifestacji przeciwko składowisku, mającej odbyć się 3 maja i w każdą pierwszą niedzielę kolejnych miesięcy.

1987, kwiecień — do Urzędu Gminy w Międzyrzeczu złożone zostało pismo informujące o powstaniu Obywatelskiego Komitetu na Rzecz Zagospodarowania Międzyrzeckiego Rejonu Umocnionego. W skład Komitetu Założycielskiego weszli: Anna Augustyniak — nauczycielka, Władysław Biernat — farmaceuta, Stanisław



Ofiary zatrucia środowiska naturalnego — zdjęcia z archiwów amerykańskich

1986, 10 czerwca — spotkanie członków międzyrzeckiego PRON-u z władzami wojewódzkimi w Gorzowie. Wojewoda Stanisław Nowak określił pronowców mianem „krzykaczy”.

1986, listopad — ostatnie otwarte spotkanie PRON-u z mieszkańcami Międzyrzecza.

1987, styczeń — spotkanie mieszkańców Międzyrzecza i okolic z Naczelnikiem Miasta i Gminy i Wojewódzkim Konserwatorem Przyrody. Naczelnik zobowiązał się przekazać Wojewodzie Gorzowskiemu społeczny projekt powołania w MRU Pomnika Przyrody (ze względu na istniejący w MRU rezerwat nietoperzy).

1987, 15 marca — wysłanie petycji liczącej ponad 2.500 głosów mieszkańców Ziemi Międzyrzeckiej, głównie rolników, popierających protest Wydziału Biologii UAM (Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza) w Poznaniu przeciwko energetyce jądrowej i składowaniu odpadów radioaktywnych w MRU z dn. 24.10.86 skierowany do

Bożek — rolnik, Jerzy Hawran — lekarz, inż. Piotr Kołodziej, Eugeniusz Pihan — nauczyciel, Władysław Salej — rolnik, Maciej Sieciechnowicz — prawnik, Irena Sinicka-Szeja — lekarz, Marek Zaborowski — prawnik. W kilka tygodni później władze zakazały działalności Komitetu radząc jego członkom wstąpienie do Ligi Obrony Przyrody — Oddział Międzyrzecze. Decyzja ta była niezgodna z obowiązującym w Polsce prawem dotyczącym stowarzyszeń zwykłych.

1987, 3 maja — przed ratuszem w Międzyrzeczu o godz. 13.00 zebrało się kilka tysięcy mieszkańców miasta i okolicznych wsi. Obecni byli również funkcjonariusze SB i ZOMO. Liczny tłum mieszkańców przeszedł spokojnie chodnikami do Osiedla Cetrum, gdzie wszyscy rozeszli się w spokoju. Po manifestacji 3-majowej została ukarana grzywną w wys. 20 tys. zł przez Kolegium d/s Wykroczeń p. Krystyna Bożek — żona jednego z założycieli Komitetu.

1987, 7 czerwca — zgromadzona przed ratuszem ludność (tym razem niewiele, bo ok. 700 osób) ruszyła w kierunku Osiedla Centrum, gdzie wszyscy rozeszli się do domów. Tym razem SB zatrzymała trzech obecnych na demonstracji gorzowian — Jarosława i Grzegorza Sychłów oraz Aleksandra Popiela, których zwolniono po ok. dwóch godzinach.

1987, lipiec/sierpień — odbyły się dwie manifestacje, w każdej uczestniczyło ok. 500 osób. Mimo licznego udziału w nich funkcjonariuszy SB i ZOMO, obyło się bez zatrzymań.

1987, 2 września — o godz. 15.00 na dach międzyrzeckiego baru w centrum miasta weszli Marek i Waldemar Rusakiewicz, Jarosław Wojewódzki, Krzysztof Sobolewski, Kazimierz Sokółowski i Dariusz Bernacki, uczestnicy gorzowskiego Ruchu „Wolność i Pokój”. Rozwinęli 3 transparenty: „Choroba popromienna nie wybiera”, „Zostawcie bunkry nietoperzom” i „Nie chcemy śmietnika atomowego” i rozrzucili 9 tys. ulotek nawołujących do udziału w demonstracjach przeciwko składowisku. Demonstracja „na dachu” zgromadziła ok. 1000 osób. Miejscowa Straż Pożarna odmówiła zdjęcia z dachu demonstrantów na polecenie SB. O godz. 17.00 zakończono akcję przejściem wraz z transparentami przez miasto do kościoła św. Wojciecha, gdzie demonstranci oddali się dobrowolnie w ręce milicji. Zostali przetrzymani w areszcie przez 48 godzin.

1987, 6 września — ok. 4 tys. mieszkańców Międzyrzecza i okolic wzięło udział w comiesięcznej demonstracji. Demonstrację prowadził chłopiec w masce przeciwigazowej i ochronnej pelerynie. Milicja i SB aresztowały 32 osoby, spośród nich 15 zostało pobitych w areszcie. Zarządzone zostało 25 kolegiów za udział w demonstracji.

1987, 27 września — w kościele św. Wojciecha w Międzyrzeczu rozpoczął się protest głodowy przeciwko represjom wobec uczestników słusznego w opinii wszystkich mieszkańców Międzyrzecza protestu. Głodujący domagali się anulowania wezwania przed kolegią i uniewinnienia już skazanych. W proteście głodowym uczestniczyli: Hanna Augustyniak — nauczycielka, Stanisław Bożek — rolnik, Władysław Biernat — farmaceuta, Bożena Sieciechowicz — dietetyczka, Władysław Zajac — rolnik, Jan Witeczak — rolnik, Józef Ganczarski — rolnik, Wiesław Zaliwski — emeryt, Andrzej Kołakowski — student KUL-u (po dwóch dniach liczba głodujących zwiększyła się do 15

osób) — w ogromniej większości mieszkańcy Międzyrzecza i okolicznych wsi. Protest głodowy trwał do 4 października, a w czasie jego trwania zebrano ok. 2 tys. podpisów pod petycją do Naczelnika domagającą się uniewinnienia skazanych przez kolegią.

1987, 1-2 października — władze przeprowadziły kolegią karne zasądzając 21 osób na łączną sumę ponad 600.000 zł grzywien. Cztery sprawy odroczone.

1987, 4 października — o godz. 13.00 przed kościołem św. Wojciecha w Międzyrzeczu zebrali się ok. 5 tys. osób, chcących zademonstrować swoje negatywne stanowisko wobec składowiska. Wraz z uczestnikami głodówki, niosąc transparenty o treści „Nie chcemy śmietnika atomowego”, „Zostawcie bunkry nietoperzom”, „Nie chcemy umierać na choroby popromienne”, „My chcemy żyć” demonstranci przeszli wzdłuż głównej ulicy miasta, by w umówionym miejscu rozejść się bez przeszkód do domów. Obecna SB i milicja tym razem „nie zakłóciła porządku publicznego”.

1987, 7 października — uczestnicy protestu głodowego wystosowali do Miejsko-Gminnej Rady Narodowej w Międzyrzeczu zbiorową petycję obywatelską z żądaniem anulowania kar nałożonych przez kolegium, wskazując na ich niesprawiedliwość wobec tych, którzy wystąpili w obronie swojej ziemi. Petycja podpisana została przez ok. 2 tys. obywateli międzyrzeckiej gminy.

1987, 30 września — Miejsko-Gminna Rada Narodowa w Międzyrzeczu na posiedzeniu trwającym do godz. 4.00 nad ranem podjęła uchwałę sprzeciwiającą się lokalizacji składowiska odpadów radioaktywnych w bunkrach MRU.

W świetle tej uchwały grzywny nałożone na demonstrujących w słusznej sprawie wydają się być jeszcze bardziej niesprawiedliwe. Zasadzeni złożyli odwołania od decyzji kolegium do wyższej instancji. (...)

Manifestacje zostały zawieszane do kwietnia przyszłego roku.

Przez cały czas trwania międzyrzeckiego protestu władze pod naciskiem SB stosowały różnorodną presję na osoby biorące udział w demonstracjach. Między innymi w miejscowych szkołach niektórzy nauczyciele pod naciskiem SB przeprowadzali szeroką akcję „przekonywania” i zastraszania młodzieży, by nie brała udziału w demonstracjach... (A.G.)

Za: *Wielkopolski Informator Ekologiczny*, nr 5, Poznań

Związek po 6 latach

Rozmowa z Andrzejem Gwiazdą — jednym z przywódców strajku w Gdańsku w Sierpniu 1980, członkiem Komisji Krajowej „Solidarności”.

Kamil Wilczyński: Co u Ciebie? Nie wchodzisz w skład żadnych oficjalnych gremiów Związku...

Andrzej Gwiazda: Ostatnio bywam tygodniami na budowie elektrowni w Ciechanowie. Pracuję jako malarz budowlany. Daje się na tym nieźle zarobić.

— Czy Związek „Solidarność” Twoim zdaniem jeszcze istnieje? Inaczej mówiąc, w całym tym „krajobrazie po bitwie” — jak go nazwał Kuroń — po sześciu latach niepowodzeń i rozczarowań, jak widzisz teraźniejszość i możliwości funkcjonowania Związku?

— Nie widzę. Z unoszącego się nad tym pojowiskiem dymu nic mi się nie układa. Rozległe obszary życia społecznego, na które ocalałe po grudniu ogniwa Związku powinny być wejść z koncepcją, z inspiracją, z pomocą — stopniały, skurczyły się. Nie ma ich, albo społeczeństwo przestało się interesować naszą na nich obecnością. „Solidarność” powstała jako związek zawodowy i tych 10 milionów ludzi, którzy wkrótce do niej napłynęli, odczuwało potrzebę nie innej organizacji, ale właśnie związku zawodowego. Po zniesieniu legalnych struktur „Solidarności” ta potrzeba stała się nie mniej, ale jeszcze bardziej żywa. Władza wykorzystwała bowiem stan wojenny nie tylko dla celów politycznych, lecz również do zwiększenia wyzysku ekonomicznego, poprzez pogorszenie warunków pracy i płacy — czego skrajnym, choć bynajmniej nie marginesowym



przejawem były zakłady zmilitaryzowane.

Niestety, warunkami pracy i płacy w okresie stanu wojennego, ani później, nie zajmowały się w dostatecznym stopniu ani tymczasowe władze „Solidarności”, ani nawet prasa podziemna. W każdym razie pisała o tych sprawach mniej niż prasa oficjalna, interesowała ją głównie polityka. A przecież ludzie oczekiwali, że Związek się tym zajmie. Jeszcze, gdy wracałem z więzienia latem 1984, załogi na to czekały. Przechodziła wówczas przez kraj fala strajków, robionych zresztą niesły-

Rozległe obszary życia społecznego, na które ocalałe po grudniu ogniwa Związku powinny być wejść z koncepcją, z inspiracją, z pomocą — stopniały, skurczyły się.

chaniem mądrze. W drugiej połowie 1984 i pierwszych miesiącach 1985 było tych strajków paręset, w tym znane strajki kobiece — w Róży Luksemburg i w Żyrardowie. Mądrość polegała na tym, że niemal we wszystkich przypadkach nie strajkowały całe załogi, rzecz odbywała się w skali wydziałów, które miały najtrudniejsze problemy.

Zazwyczaj nie wiedziały o tych akcjach komitety wojewódzkie partii, ani nadrzędne władze gospodarcze. Od dyrekcji zakładów wymagano spokoju w załogach ze względów politycznych, a

za niepokoje groziły kary. Więc dyrektorzy, jeśli tylko załatwienie postulatów strajkowych nie przekraczało poziomu ich kompetencji – ulegali. W Gdańsku m.in. Prototypownia w Centrum Techniki Okrętowej zastrajkowała w związku z niesprawiedliwym podziałem premii. Kierownik tego wydziału był jednocześnie sekretarzem partii w zakładzie, więc nie ustępował. Ale gdy wiadomość o proteście rozeszła się po całym przedsiębiorstwie, dyrekcja ustąpiła. Do Prototypowni w krótkim terminie przyjechał płatnik wynagrodzeń, a kierownika odwołano. Niektóre protesty były nawet ukrywane przed Tajnymi Komisjami Zakładowymi „Solidarności”, żeby one swoim udziałem nie nadawały sprawie politycznego charakteru, co by prowadziło do nieprzejednania po stronie władz i do represji. Niestety, Tymczasowa Komisja Krajowa traktowała te strajki jako dzikie. Nie identyfikowała się z celami ich uczestników, wobec czego i z nią się nie identyfikowano.

– A gdyby traktowała te akcje inaczej? Przecież od TKK naprawdę niewiele zależało...

– Można było podpowiadać ludziom, że ich przeciwnikiem w danej sytuacji nie jest ani Kreml, ani KC, ani komuniści w ogóle – bo o tych przeciwnikach mówiono – tylko dyrektor albo kierownik w zakładzie. Jeśli da im się szansę załatwienia konkretnej sprawy, to ją załatwią, chroniąc interes przecież nie komunistów, ale własny. Ponieważ kierownicze czynniki „Solidarności” niczego takiego ludziom z poziomu zakładów nie sugerowały, zabrakło wspólnego języka i ludzie ci po prostu przestali przywiązywać do istnienia TKK czy komisji regionalnych jakąkolwiek wagę. Wpływanie przez Związek – czy raczej to, co z niego pozostało, na sytuację w zakładach spadło w okolice zera.

– A założmy, że komisje podpowiadałyby załogom formy sprzeciwu, a załogi by z tych podpowiedzi korzystały – co by z tego mogło wyniknąć na dłuższą metę?

– Nawet jeżeli nic, to obowiązkiem statutowym działaczy „Solidarności” jest niesienie pomocy ludziom w rozwiązywaniu ich problemów.

– Ale na dalszą metę?

– Każdy sukces integruje grupę, a to otwiera drogę do wystąpienia o zdobycze większe i ważniejsze, stwarza pozycję wyjściową dla dalszych sukcesów, czy to ekonomicznych czy politycznych. A w ogóle nie należy sądzić, że jak coś się dobrego robi, to zaraz Pan Bóg obyspie nas diamentami. Gdyby strajki tego rodzaju, o jakich

mówiłem były przez Związek zalecane, wspomaganie i poszłyby szerzej, oddziaływałyby mobilizując na całe pracujące społeczeństwo, miały szansę zepchnięcia władzy do defensywy, stworzenia innej atmosfery. A że zdecydowanie popłaca – mam jeszcze jeden przykład: w moim „macierzystym” Elmorze. W tamtym okresie 3 zmiany na galwanizerni – wszystko wysoko kwalifikowani fachowcy – solidarnie złożyli wypowiedzenie z pracy. Zaoferowano im po 5 tys. podwyżki, ale oni nie przyjęli. I dostali więcej!

– Kierownictwo Związku podjęło jednak próbę wywołania masowego strajku w 1985 r., na tle podwyżek cen.

– Za późno. Hierarchiczny układ struktur podziemnych najpierw sprawił, że nie dostrzegli one, co się dzieje w terenie, w zakładach. Struktury te powinny mieć charakter usługowy, a nie miały. Ich hierarchiczność popychała je raczej do przypisywania sobie kompetencji władczych. Więc wtedy – w 1985 r. – wzywały do strajku, mimo że ich orientacja w nastrojach była znikoma. Z rezultatem wiadomym: w całym kraju na wezwanie do strajku powszechnego pozytywnie odpowiedziały może 3, a może 4 zakłady. Jednakże nie wyciągnięto z tego wniosków. Komisja Krajowa i regionalne tym bardziej chciały się wykażać jakimś działaniem. Stąd całe mnóstwo

... obowiązkiem statutowym działaczy „Solidarności” jest niesienie pomocy ludziom w rozwiązywaniu ich problemów.

przedsięwzięć i akcji pozornych, które nie miały innego sensu poza wykazaniem obecności Związku, bez żadnych celów merytorycznych, konkretnych. Załogi wyczuły to nastawienie instancji i chęć udziału w widowiskowych akcjach zewnętrznych, poza zakładami – w manifestacjach – wygasała w nich szybciej niż woła walki. Stąd – poza poszczególnymi przypadkami w głównych ośrodkach „Solidarności” (Wrocław, Warszawa, Kraków) mieliśmy w ostatnich latach zamiast manifestacji same rytuały przykościelne. Najświeższym przykładem akcji pozorowanej, obliczonej na efekt, bez treści merytorycznych, jest tworzenie komitetów założycielskich „Solidarności” w skali zakładów. Inspirowane i wspierane przez działa-

czy TKK, czy teraz KKW, ma ono niewiele wspólnego z rzeczywistymi interesami załóg.

— Można by przyjąć Twój zarzut w odniesieniu do niektórych np. świnoujskich komitetów założycielskich, których przedstawiciel Możejko twierdzi, że nie powinny podejmować żadnych konkretnych zadań, by nie kompromitować swojej legalności, powinny czekać niejako „z bronią u nogi”, aż władze zdecydują się na ich rejestrację. Owszem, jest taki nurt. Ale inne komitety...

— Wiem, masz na myśli np. Ursus, czy wrocławski Predom-Polar. Tam istotnie komitety wyszły z programami rzeczowego działania. Jednak one również postawiły się właściwie poza NSZZ „Solidarność”.

— Dlaczego?

— Bo złamały statut Związku. On przecież zakazuje przynależności do innej organizacji związkowej. Zaś występując o rejestrację na poziomie zakładu, tworzy się przecież nową organizację.

— Czy można jeszcze dziś tak rygorystycznie trzymać się statutu? W sześć lat po grudniu? Moim zdaniem komitety te są znakomitym pomysłem: w ogólnym zastoju, czy zgoła cofaniu się Związku, wywołały w zakładach pewien ruch; tam, gdzie powstały, doprowadziły do pewnego ożywienia całych załóg.

— Ostatecznie, podobnie jak w stosunku do samorządów, mógłbym przyjąć, że widocznie jest już tak źle, że trzeba się uciekać do kręctw, do

Jednak związki zawodowe, w przeciwieństwie do innych organizacji powinny zaczynać działalność, zanim zostaną uznane.

kombinacji z władzą, do naruszania statutu, byle tylko podtrzymać jakieś gasnące resztki ruchu „Solidarność”. Ale nie umiem być aż takim pesymistą. Rozumiem, że ożywienie w załodze, o jakim mówisz, wznowienie niezależnej pracy związkowej łatwiej jest osiągnąć przez wniosek o rejestrację, zapewniający grupie założycielskiej legalny status i minimum bezpieczeństwa. Jednak związki zawodowe, w przeciwieństwie do innych organizacji, powinny zaczynać działalność zanim zostaną uznane. W tej fazie związek jest nawet skuteczniejszy, nieskrępowany układami z pracodawcą.

Zaczynając działanie staje się dla pracodawcy tak niewygodny, że on ustępuje, by nie ponieść strat; nie czekając na skutki niezadowolona załogi. Takie są w każdym razie moje doświadczenia z gdańskich, przedsierpniowych wzz. A nawet w czasach, gdy nikomu jeszcze nie śniło się o wzz, więc tym bardziej o „Solidarności”, dyrektor w moim zakładzie zawsze wiedział, do kogo przyjść i zapytać, co załoga zrobi, jeśli on postąpi tak a tak. I chociaż zgadzam się, że ujawnienie nazwisk

... jestem za zwołaniem KK. Niech takie spotkanie ustali kryteria i przyjmie zasady konstrukcji Związku.

ułatwia robotę tym nowym komitetom założycielskim, to jednak formalna anonimowość, jak widzisz, wcale nie musi być przeszkodą. W tamtych czasach wystarczyło, że w zakładzie ukazało się 20 ulotek z jakimś postulatem i podpisem „załoga”, by mieć pewność, że jedna dotrze do dyrekcji, która udzieli odpowiedzi przez głośnik.

— Jednak czasy są inne. Ulotka z podpisem „załoga” nikogo nie przestraszy, bo takich ulotek było już tysiące, a dyrektor i tak wie swoje; że ów podpis kryje małą grupkę działaczy.

— Statutowa droga odbudowy organizacji Związku w zakładach — droga oddolnego nacisku jest zapewne dłuższa i trudniejsza, ale w sumie skuteczniejsza i szybciej prowadziłaby do celu. Natomiast obecny kurs, zamiast utrwać w zakładach zdolność do działań niezależnych od władzy, uczy kręctwa, uczy kombinacji z władzą.

— Skoro mowa o statucie Związku: jesteś sygnatariuszem listu 22 działaczy „Solidarności”, głównie członków Komisji Krajowej, którzy — bez skutku, jak dotychczas — domagali się zwołania tej Komisji. Wymienia się Ciebie w dokumentach tzw. Grupy Roboczej KK, która wyłoniła się spośród sygnatariuszy, jako uczestnika tej Grupy...

— Na mocy statutu, KK jest najwyższym organem Związku, wniosek skierowany został — również zgodnie ze statutem — na ręce Przewodniczącego. Moim obowiązkiem było więc poparcie wniosku, zwłaszcza, że jest wiele spraw trudnych i spornych, który wymagają zabrania głosu przez KK.

— Ale minęło już 6 lat, kadencja władz miała

trwać tylko 2, a niejeden z mandatariuszy na pewno utracił kompetencji, by wypowiadać się w zasadniczych kwestiach.

— Co więcej, funkcjonują dziś inne władze, niestatutowe. To jest jakby sytuacja sporna, a § 43 statutu zastrzega, że w sprawach spornych decyduje Komisja Krajowa.

— Rzecznik prasowy obecnych władz „Solidarności”, Janusz Onyszkiewicz, twierdzi, że wchodzi w grę partykularne interesy niektórych sygnatariuszy listu i uczestników Grupy, którzy nie mając żadnej realnej bazy ani wpływów chcą podtrzymać swoją rolę społeczną przez reaktywowanie KK w dawnych kształcie...

— Pomijając nawet styl wystąpienia rzecznika i przyjmując, że mogą się zarysować interesy partykularne — jestem za zwołaniem KK. Statut poddaje kontroli takie interesy — to jedna z głównych jego funkcji. Nie dziwię się więc, że mamy do

czynienia z oporem wobec rozwiązania statutowego. Z drugiej strony dopuszczam oczywiście, że to rozwiązanie ma zwolenników, którzy są nimi również ze względów partykularnych. Skoro jednak ci ostatni występują zgodnie ze statutem, to trzeba nad ich motywami przejść do porządku i zwołać Komisję.

Zwołajmy ją. Niech się zbierze i nawet zaakceptuje obecny układ władz „Solidarności”. Zwołajmy ją nawet z udziałem tych działaczy, którzy nie są mandatariuszami. Niech takie spotkanie ustali kryteria i przyjmie jasne zasady konstrukcji Związku. W ten sposób pogodzimy wymagania życia i sytuacji — które przecież rozumiem — z wymaganiami statutu i utrzymamy prawowitość niezbędną, by „Solidarność” pozostała „Solidarnością”, by zachowała swoją tożsamość.

— Dziękuję za rozmowę.

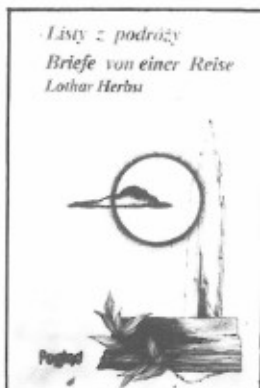
W-wa, grudzień 1987

Nowości wydawnicze

»Poglądu«



cena 25,- DM



cena 8,50 DM



cena 5,-DM

Lex Urban

Wszyscy wstają, gdy wchodzi sąd i siadają na znak dany przez przewodniczącego. Szum na sali gwałtownie cichnie. Płoną reflektory, kamery telewizyjne idą w ruch. Rozpoczyna się jeden z najciekawszych procesów ostatnich lat. Przed chwilą pewien zagraniczny korespondent wyraził aprobatę dla faktu, że w PRL można przed sądem postawić ministra. Pozwany, Jerzy Urban, nie jest jednak ministrem w pełnym znaczeniu tego słowa, a tylko rzecznikiem prasowym rządu w randze podsekretarza stanu. Czy toczący się przeciw niemu proces jest rzeczywiście zapowiedzią demokracji, wykażą najbliższe dni.

Na razie do sądu nie przyszedł. Jego miejsce świeci pustką. Interesy nieobecnego reprezentują dwaj warszawscy adwokaci — Mirosław Brych i Jacek Kondracki, ci sami, którzy przed Sądem Najwyższym bronili kapitana SB Grzegorza Piotrowskiego, zabójcy ks. Jerzego Popiełuszki. Za to powodowie stawili się w komplecie. W pierwszej ławce siedzą: prof. Klemens Szaniawski, prof. Magdalena Sokołowska, doc. Bronisław Geremek i dr Janusz Onyszkiewicz. Obok nich adwokaci: adw. Edward Wende, pełnomocnik rodziców ks. Jerzego Popiełuszki z tamtego pamiętnego procesu, reprezentujący obecnie K. Szaniawskiego, B. Geremka i J. Onyszkiewicza oraz adw. Ryszard Siciński, pełnomocnik M. Sokołowskiej. Rozpoczyna się proces o ochronę dóbr osobistych czterech znanych w Polsce przedstawicieli nauki, które naruszył rzecznik prasowy rządu Jerzy Urban wiosną ubiegłego roku.

Informacja czy manipulacje?

Sprawa bierze swój początek z konferencji prasowej J. Urbana dla dziennikarzy krajowych i zagranicznych w dn. 22 kwietnia 1987 r., transmitowanej następnie częściowo przez telewizję. Treść jej podała również cała prasa. Społeczne-

stwo było w owym czasie poruszone historią płk. Ryszarda Kuklińskiego. Jego wywiad opublikowany w paryskiej *Kulturze* wydały natychmiast w dość dużych nakładach aż trzy wydawnictwa podziemne. Kto wie, czy Urban nie postanowił przyćmić sensacji, jaką niewątpliwie wywołały zwierzenia R. Kuklińskiego. Przedstawił bowiem Urban sprawę dyplomaty-szpiega, jak to określił, Alberta Muellera, drugiego sekretarza ambasady amerykańskiej w Warszawie, przyłapanego rzekomo na gorącym uczynku przekazywania akcesoriów szpiegowskich polskiemu obywatelowi.

Wydarzenie to nastąpiło 18 kwietnia wieczorem, na jednym z podwórek w okolicy ul. Grójeckiej. Następnego dnia, A. Mueller opuścił PRL, zaś polska opinia publiczna aż do dnia dzisiejszego nie dowiedziała się, kim był ów tajemniczy obywatel polski przyjmujący wyposażenie szpiegowskie wraz z dolarami. Następnie nieoczekiwanie padły nazwiska ogólnie znanych i szanowanych przedstawicieli polskiej nauki. „A. Mueller — oświadczył Urban — jako agent wywiadu USA, choć oficjalnie dyplomata, utrzymywał kontakty z takimi osobami, jak Klemens Szaniawski, Bronisław Geremek, Janusz Onyszkiewicz, Magdalena Sokołowska. Mógłbym podać jeszcze inne nazwiska naukowo utytułowanych osób, ale na razie starczy.” Z dalszej części wypowiedzi wynikało, że działalność wywiadowcza A. Muellera „równocześnie obejmowała zagadnienia obronności Polski i współdziałanie z nielegalnymi strukturami politycznymi...” „Rezydenci wywiadu amerykańskiego łączą nielegalne zainteresowanie naszą obronnością z jawnymi i tajnymi kontaktami z wewnętrznymi przeciwnikami socjalistycznego państwa polskiego, by wpływać na działalność tak zwanej opozycji. Swym kontaktom z panami Geremkiem i Onyszkiewiczem nadają przy tym pozor kontaktów politycznych.” Rzecznik rządu wymienił też dokładnie, gdzie i kiedy kontakty owe

miały się odbywać, następnie zaś zademonstrowano zebranych dziennikarzom sprzęt szpiegowski znaleziony rzekomo przy A. Muellerze, instrukcje szpiegowskie, fotografie, szyfry itd. Aby wprowadzić dreszczik emocji na konferencji, wyświetlono film z ujęcia A. Muellera, pokazywany również w telewizji. Wszystkie prezentowane hojnie przez rzecznika rządu „dowody” nie miały jednak najmniejszego związku z osobami czterech pomówionych przez niego naukowców.

Rewelacje ogłoszone na konferencji sprawiły, że środowiska akademickie i opozycyjne zarwały. Pomówienie o współpracę z rzekomym agentem ludzi ogólnie szanowanych, cenionych i cieszących się powszechnym autorytetem wywołało zdumienie i oburzenie. Wątek „szpiegowski” wskutek pytań korespondentów zagranicznych powracał na następnych konferencjach prasowych. Rzecznik nie zamierzał jednak wycofać się ze swych insynuacji, pogłębiając swą niewiarygodność dodatkowymi wyjaśnieniami. Mówił o ustronnych uliczkach, skwerach, podwórkach, na których rzekomo dochodzić miało do „kontaktów” z amerykańskim dyplomatą. Szczególną wymowę miało też wyjaśnienie J. Urbana, które ukazało się w całej prasie w parę dni po sławetnej konferencji. Rzecznik uspokajał Magdalенę Sokołowską, silnie zdenerwowaną jego wypowiedziami, iż nie ją miał na myśli, lecz Marię Magdalенę Sokołowską, profesora z Polskiej Akademii Nauk, dodając dobrotliwie, że zamieszcza swe wyjaśnienie, by uspokoić „osoby noszące to samo nazwisko i lękające się infamii”. Sformułowanie to świadczy najlepiej, że J. Urban zdawał sobie w pełni sprawę, iż ściąga niesławę na wymienione przez siebie osoby. Swym wyjaśnieniem pragnął ją tylko przypiecztować.

Dwaj panowie z wąsem

W parę dni po konferencji, w dniu 22 kwietnia rozpoczęło się „śledztwo”. Prof. M. Sokołowską, prof. K. Szaniawskiego, doc. B. Geremka i dr. J. Onyszkiewicza wzywano kolejno do prokuratury wojskowej, następnie zaś do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, gdzie poddawano ich przesłuchaniom. Wszyscy czworo oświadczyli stanowczo, iż nie znają Alfreda Muellera i nie zetknęli się z nim nigdy. Wszyscy przyznali też, że znają niektórych dyplomatów amerykańskich, podobnie jak przedstawicieli innych państw, co nie jest wszak niczym szczególnym w warszawskim śro-

dowisku intelektualnym.

Wyjątkowo interesująco przedstawia się historia pierwszego przesłuchania prof. Magdaleny Sokołowskiej. W prokuratorze wojskowej przedstawiono jej zdjęcia dyplomatów amerykańskich, wśród których rozpoznała mężczyznę podobnego do Davida Pozorskiego, swego długoletniego znajomego. Prokurator poinformował jednak M. Sokołowską, że D. Pozorski jest w rzeczywistości szpiegiem, A. Muellerem. Pani Profesor zawałała się. Mężczyzna z fotografii był ciemny jak D. Pozorski, nosił również wąsy i okulary. W dniu wymienionym przez Urbana, prof. M. Sokołowska istotnie jadła lunch z D. Pozorskim w restauracji hotelu „Europejskiego”. Muellera jednak nigdy nie widziała na oczy. Przesłuchujący zadawał sobie wiele trudu, by wmówić jej, że Pozorski i Mueller to ta sama osoba.

Z prof. K. Szaniawskim, doc. B. Geremkiem i dr. J. Onyszkiewiczem postąpiono inaczej. Gdy oświadczyli kolejno, że nie znają A. Muellera, konfrontowano ich z fałszywymi świadkami, funkcjonariuszami SB, którzy rzekomo obserwowali owe dyskretne spotkania z dyplomatą amerykańskim. Naukowcy kolejno wszystkiemu zaprzeczali, ale esbecy powtarzali w kółko wyuczoną lekcję. Znaczenie później, już w czasie procesu, zapytany o tę „konfrontację” doc. B. Geremek oświadczył wręcz, że został postawiony wobec fałszywego świadectwa. „Sytuacja ta stanowi w moim przekonaniu nadużycie prawa — powiedział dosłownie. — Wiedziałem, że to nieprawda, on (funkcjonariusz SB — przyp. autora) też.” Prof. K. Szaniawskiego i dr. J. Onyszkiewicza o konfrontacje na procesie nie pytano, wyglądały one jednak podobnie.

Wszyscy czterej pomówieni przedstawiciele nauki zdecydowali się wytoczyć przeciwko J. Urbanowi procesy cywilne o ochronę naruszonych dóbr osobistych, do których należy opinia i dobre imię. Nie mieli zresztą innej możliwości obrony przed znieślawiającymi insynuacjami rzecznika rządu. W PRL dostęp do prasy i telewizji jest ograniczony wyłącznie do kręgu osób, które przed kamery lub na łamy prasy zechce dopuścić władza. Wyjaśnienie prof. M. Sokołowskiej wysłane do PAP powędrowało zapewne do kosza. Gdy *Polityka* ogłosiła wreszcie jej list do redakcji, pozew był już w sądzie. Czterej powodowie domagali się odwołania dyskredytujących ich zarzutów na konferencji prasowej rzecznika Urbana, podania treści owego odwołania do publicznej

wiadomości za pośrednictwem PAP przez rzecznika, ponadto zaś prof. A. Sokołowska zażądała zapłacenia przez Urbana nawiązki na rzecz Czerwonego Krzyża w wysokości 100 tys. zł.

Czerwone krzyżyki

Mniej więcej w tym samym czasie zaszły jeszcze dwa godne odnotowania wydarzenia. W dniu 13 maja ub. roku Senat Uniwersytetu Warszawskiego, poruszony nieuzasadnioną napaścią



rzecznika rządu, podjął uchwałę w tej sprawie. „Senat UW wyraża głębokie oburzenie — czytamy — wobec podjętej przez rzecznika prasowego rządu PRL próby zdyskredytowania czterech pracowników naukowych... Senat uważa, że publiczne stawianie zarzutów bez ich udowodnienia obywatelom naszego kraju przez przedstawiciela rządu jest sprzeczne z dobrymi obyczajami i obowiązkiem poszanowania godności człowieka... Przypisywanie powiązań z obcymi ośrodkami wywiadowczymi osobom reprezentującym poglądy polityczne różne od oficjalnych poglądów władz ma w naszym kraju określoną i mieliśmy nadzieję, że dostatecznie skompromitowaną przeszłość. Mamy podstawy wierzyć oświadczeniom naszych kolegów, iż stawiane im przez rzecznika zarzuty są

nieprawdziwe i oczekujemy odwołania tych zarzutów.”

Jednym z paradoksów peerelowskiej rzeczywistości jest fakt, iż uchwała ta, która nigdy nie dotarłaby do prasy oficjalnej, została spopularyzowana dzięki... rzecznikowi Urbanowi. Ten bowiem postanowił na jednej ze swych cotygodniowych konferencji dać ostrą odprawę Senatowi UW, a także nie skąpić pouczeń gronu uczonych. Przy okazji uchwałę szeroko rozpowszechniono w prasie. Przyjmując swą arogancją, dobrze znaną

postawę, rzecznik stwierdził: „Nie sądzę, aby powołaniem Senatu uniwersyteckiego było orzekanie, czy ustalenia państwowych władz śledczych są prawdziwe czy nie. Podobnie nie należałoby do kompetencji władz śledczych orzekanie o regulach ruchu ciał niebieskich...” I w innym miejscu: „Reakcję większości członków Senatu (uchwała była jednorodna — przyp. autora) spowodowało, jak sądzę, swoiście pojmowane koleżeństwo i w rezultacie nie była ona w pełni przemyślana.”

Sprawa zniesławienia czworga naukowców była też poruszona wiosną na jednym z posiedzeń Rady Konsultacyjnej. Wystąpił z nią rektor UW prof. Grzegorz Białkowski i prof. Andrzej Tymowski. Gen. Jaruzelski wysłuchał ich zarzutów przeciwko rzecznikowi, po czym zarządził prze-

rwę. Po wznowieniu obrad na sali znaleźli się dwaj panowie w cywilu, których generał przedstawił jako podpułkowników MSW. Gentelmeni, ku zdziwieniu członków Rady, rozwiesili mapę z zaznaczonymi na niej czerwonymi krzyżykami (niektórzy członkowie szacownego grona utrzymywali, że były to kółka). Owe czerwone punkty umieszczono w miejscach, gdzie, jak poinformowali podpułkownicy, naukowcy spotykali się ze „szpiegiem”. Ponadto po sali krążyć zaczął drugi druzgocący dowód winy zniesławionych: była to fotografia prof. K. Szaniawskiego otwierającego bagażnik własnego samochodu! Członkowie Rady Konsultacyjnej byli tak poruszeni, że żaden z nich nie wydobył z siebie głosu. Na tym posiedzenie zakończono, ku chwale ojczyzny.

Świadek ze słyszenia

Proces przeciwko Jerzemu Urbanowi rozpoczął się dopiero jesienią, a sam rzecznik nie troszczył się przez długie miesiące o ustanowienie swego pełnomocnika. Z tego też powodu termin pierwszej rozprawy, wyznaczony na dzień 21 października, stał się, jak się to nazywa w gwarze sądowej, „pustym terminem”. Adwokaci pozwanego nie zdążyli przygotować odpowiedzi na pozew (obowiązkowej w procesie cywilnym) i dostarczyli ją dopiero na posiedzeniu sądu. W swym piśmie procesowym autor dzieła adw. M. Brych domagał się oddalenia pozwu, a także zasądzenia od pozwów na rzecz Urzędu Rady Ministrów opłat z tytułu zastępstwa adwokackiego swego mocodawcy. Wywodził też, że o zdarzeniach tego rodzaju (jak sprawa A. Muellera — przyp. autora) kompetentne agendy rządowe informują opinię publiczną. Wiążąc zaś „działalność wywiadowczą dyplomaty amerykańskiego z osobami powodów Rzecznik Prasowy Rządu niczego nie insynuował, niczego nie imputował, nie rzucał podejrzeń, ani nie podsuwał myśli czy też sugerował (...)”.

Proces rozpoczął się więc na dobre dopiero w dniu 25 listopada. Sądowi przewodniczył sędzia Sądu Wojewódzkiego w Warszawie E. Sadowski, znany ze swych zasług w sądzeniu wybranych spraw. W skład kompletu orzekającego weszli ławnicy — S. Liszczyk i M. Sadowski. Kamery telewizyjne aż do końca nie opuszczały sali. Przewodniczący sądu nie poinformował strony o tym dodatkowym filmowym zapisie rozprawy, do czego był zobowiązany. Stało się to potem przyczyną utarczki słownej pomiędzy nim a adw. E.

Wendem. W gruncie rzeczy, nieustanna obecność kamer była zupełnie niepotrzebna z punktu widzenia TV, która nadała dwie migawki i 15-minutowy program z rozprawy trwającej w sumie ponad dwadzieścia godzin. Stąd też uzasadnione są przypuszczenia, że przebieg procesu nakreślono na użytek zupełnie innej instytucji.

Od razu wynikły też inne poważniejsze kwestie sporne. J. Urban nie pojawił się na sali sądowej, a jego obecności domagali się obaj pełnomocnicy powodów. Adwokaci rzecznika ze swej strony uważali, że przesłuchanie ich klienta nie wniesie nic nowego do sprawy, do czego przychylił się sąd. Adw. adw. R. Siciński i E. Wende oponowali też przeciwko przesłuchaniu jako świadka dyrektora Biura Śledczego MSW J. Karpacza, zgłoszonego przez stronę pozwaną, stawiając wniosek o zbadanie dwóch funkcjonariuszy SB, Waldemara Mielczarka i Janusza Okonia, którzy mieli śledzić A. Muellera i widzieć na własne oczy jego spotkanie z czwórką powodów. Wysoki Sąd, nie oddalając na razie tego wniosku, dopuścił jednak do przesłuchania J. Karpacza, który w chwili potem, jako pierwszy i jedyne zresztą świadek, wkroczył na salę sądową.

Dyrektor Biura Śledczego miał istotnie sądowi wiele do powiedzenia. Długo i rozwlekle opowiadał o działalności A. Muellera, co jednak nie miało żadnego związku z osobami czterech powodów. Oświadczył też, że nazwiska i numery telefonów M. Sokołowskiej, J. Onyszkiewicz i innych znajdowały się w notatniku A. Muellera, zaś na odebranej mu mapie Warszawy figurował adres prof. Sokołowskiej i dr. Onyszkiewicza, co miało wspierać pomówienia Urbana. W milicyjnym zakładzie kryminalistyki zrobiono ekspertyzę, z której wynikało, że istnieje wysokie prawdopodobieństwo, iż A. Mueller sam robił zapiski we własnym notatniku i na własnej mapie (rzecz nie do sprawdzenia, kto je robił. Mueller był już wtedy poza granicami kraju). Dyr. Karpacz zaprezentował też sądowi sprzęt szpiegowski należący rzekomo do A. Muellera, a po jego zeznaniach na sali wyświetlono znów znany już z TV film z ujęcia dyplomaty-szpiega, co jednak ani o milimetr nie posunęło sprawy naprzód.

Trzy razy tak

O faktach najważniejszych, a mianowicie o spotkaniach powodów z A. Muellerem, J. Karpacz bezpośrednio nie wiedział nic i opierał się je-

dynie na raportach dwóch funkcjonariuszy SB, Okonia i Mielczarka. Obaj funkcjonariusze byli przesłuchiwani w śledztwie toczącym się przeciwko A. Muellerowi i jego tajemniczemu polskiemu współpracownikowi. Pełnomocnicy rzecznika złożyli sądowi wyciągi z protokołów owych przesłuchań, wyjątkowo drętych i pełnych sprzeczności. Jak z nich wynika, dwaj esbecy podzieliли się rolami. Okoń śledził Muellera w dniach, kiedy ów miał się spotkać z doc. B. Geremkiem, a także w dniu 20 października 1980 roku, w którym Mueller poszedł na obiad z prof. M. Sokołowską. Tylko tyle, że M. Sokołowska w tym dniu była właśnie na obiedzie z D. Pozorskim (stanowi to okoliczność bezsporną, potwierdzoną listem dyplomaty, który napisał do M. Sokołowskiej, dowiedziawszy się, jakie ją spotkały przykrości), a nie z A. Muellerem, co przekreśla wiarygodność tego funkcjonariusza. Jak można bowiem wnioskować z tej istotnej bądź co bądź omyłki, J. Okoń niezbyt dokładnie wiedział, kogo śledzi. Z kolei W. Mielczarek obserwować miał amerykańskiego dyplomatę podczas jego kilkakrotnych spotkań z prof. K. Szaniawskim i dr. J. Onyszkiewiczem.

Dla symetrii, każdy z trzech naukowców rzekomo spotkał się z A. Muellerem trzy razy, przy czym każdego z nich obserwował ten sam funkcjonariusz, co brzmiało niezbyt prawdopodobnie. J. Karpacz, typowy „świadek ze słyszenia”, utrzymywał jednak, iż zeznania jego ludzi są absolutnie wiarygodne i niepodważalne. Zapytany przez pełnomocników powodów, dlaczego owych dyskrecyjnych kontaktów nie dokumentowano przy pomocy filmów lub zdjęć, spiesznie zasłaniał się tajemnicą śledztwa. Próbował też ratować reputację funkcjonariusza J. Okonia utrzymując, iż w dniu 20 października prof. Sokołowska spotkała się w godzinach rannych na lunchu z D. Pozorskim, potem zaś, ok. 13-tej z A. Muellerem i wówczas to widział ją J. Okoń. Niezbyt się to wszystko ze sobą zgadzało, ale sąd słuchał z należytą rewerencją.

Stronie pozwanej świadectwo J. Karpacza potrzebe było nie tylko po to, aby umocnić podejrzenia skierowane przeciwko powodowi, ale również by przynajmniej częściowo eskułpować rzecznika prasowego rządu. J. Karpacz oznajmił mianowicie, iż to jego biuro przesłało J. Urbanowi notatkę o ujęciu rzekomego szpiega, w której wymieniono również nazwiska czterech naukowców. Innych nazwisk jednak w notatce nie było, choć Urban na swej konferencji zapewnił dwukrotnie, że jest w ich posiadaniu. Można to uznać za inte-

resujący przyczynek do oceny jego prawdomowości, albo uznać, że rewelacje ogłoszone na konferencji spełnić miały dodatkowe zadanie: zasiać niepokój w środowisku naukowcom.

Po złożeniu zeznań przez J. Karpacza znów na sali sądowej rozgorzał spór. Pełnomocnicy powodów upominali się o wezwanie na salę w charakterze świadków funkcjonariuszy J. Okonia i W. Mielczarka, a także o dołączenie do akt sprawy dokumentów śledztwa toczonego się w prokuraturze wojskowej. Domagali się również, aby J. Urban stawiał się osobiście na następny termin rozprawy. Wnioski te torpedowali adw. adw. Brych i Kondracki.

Sąd uznał jednak stawiennictwo pozwanego za zbędne, choć w dalszym ciągu rozprawy przewidziane było przesłuchanie stron, które miało ograniczyć się tylko do strony powodowej. W ten sposób sąd naruszył przepisy kodeksu postępowania cywilnego, który stanowi wyraźnie o równości stron procesowych, łamiąc również po raz wtóry zasadę bezpośredniości.

Na kolejnej rozprawie doszło więc do przesłuchania czterech powodów, z pominięciem pozwanego. Przybrały one nietypowy charakter, żywo przypominając przesłuchania oskarżonych w procesie karnym. Przewodniczący E. Sadkowski nie pozwolił wypowiedzieć się swobodnie żadnemu z powodów, ograniczając ich wypowiedzi i sprawdzając je na tory nie mające związku ze sprawą. Sądowi nie interesowały zbytnio szkody, jakie ponieśli czterej przedstawiciele nauki wskutek pomówień Urbana, zaś uwaga jego koncentrowała się niemal wyłącznie na ich kontaktach z amerykańskimi dyplomatami. Gdy w pewnym momencie składania swoich zeznań J. Onyszkiewicz zauważył, że zadane pytanie nie ma żadnego związku z tocącym się procesem, przewodniczący poutczył go surowo, że o tym, co wiąże się ze sprawą, decyduje sąd. Pełnomocnicy rzecznika natomiast, zastępując prokuratora, wypytywali kolejno K. Szaniawskiego, G. Geremka i J. Onyszkiewicza, co robili w czasie, kiedy to funkcjonariusze SB mieli widzieć ich w towarzystwie szpiega. Sąd nie uchylał tych pytań, przeciwnie — nalegał na udzielenie odpowiedzi. Doc. B. Geremek odmówił jej jednak — jak to określił — ze względów pryncypialnych.

Zamykając przewod sądowy, przewodniczący E. Sadkowski oznajmił, że wnioski adw. adw. E. Wendego i R. Sicińskiego o wezwanie dwóch bezpośrednich świadków — funkcjonariuszy SB — są

niecełowe, sprawa bowiem została wszechstronnie wyjaśniona. Akt z prokuratury wojskowej też nie można było uzyskać, na przeszkodzie stanęła tym razem tajemnica państwowa, czyli tabu.

Co wolno rzecznikowi...

Nagle przewodniczący zaproponował stronom zawarcie ugody, co powinien był uczynić na początku procesu. Uchybienie to wytknął wcześniej sądowi adw. E. Wende, który zwrócił również uwagę na łamanie przez sąd podstawowych zasad procesowych. W odpowiedzi pełnomocnicy powodów, chcąc okazać dobrą wolę swych klientów zrezygnowali z przeprosin ze strony rzecznika, domagając się jednak nadal publicznego odwołania zarzutów. Pełnomocnicy powoda, skontaktowawszy się ze swym mocodawcą podczas przerwy zarządzonej na ich prośbę, oświadczyli, iż rzecznik uważa proponowane warunki ugody za nie do przyjęcia.

Do przemówień stron doszło w dniu 7 grudnia ub. roku. Adwokaci R. Siciński i E. Wende nadal popierali powództwo, podkreślając bezpodstawność pomówień Urbana oraz wskazując, iż celem ich było zdyskredytowanie przedstawicieli nauki, których poglądy nie znajdują aprobaty w oczach władz. Adw. E. Wende zwrócił uwagę, że wymienienie nazwisk powodów w kontekście, w jakim to nastąpiło, stanowiło przekroczenie uprawnień rzecznika rządu i pozostawało w sprzeczności z obowiązującymi w PRL przepisami.

Wystąpienie adw. E. Wendego było parokrotnie szorstko przerywane przez przewodniczącego, a gdy adwokat zaczął omawiać nieprawidłowości i manipulacje w toczącym się procesie — do czego miał pełne prawo — przewodniczący zagroził mu dyscyplinarką za nadużycie wolności słowa. Pełnomocnicy rzecznika Urbana nie mieli oczywiście takich kłopotów, sąd słuchał ich wywodów z uwagą. Tu jednak pojawiło się pewne novum. Adw. adw. M. Brych i J. Kondracki przyznali, że ich klient dopuścił się naruszenia dóbr osobistych powodów. Obaj jednak starali się dowieść, że wypowiedź J. Urbana nie była bezprawna, rzecznik działał zgodnie z przysługującymi mu uprawnieniami i w interesie społecznym, a więc ważniejszymi niż indywidualne dobro powodów. Działał też w dobrej wierze, ponieważ informacje, jakimi się posłużył, pochodziły z Biura Śledczego MSW i zasługiwały na pełne zaufanie.

Tego samego dnia sąd ogłosił wyrok, który dla osób obserwujących sposób prowadzenia procesu nie był zaskoczeniem. Powództwo oddalono, sąd podzielił bowiem całkowicie poglądy wyrażone przez pełnomocników J. Urbana. Informację o zatrzymaniu Muellera i jego kontaktach z naukowcami przekazała mu wiarygodna agenda rządowa, jaką jest Biuro Śledcze MSW, a rzecznik nie miał obowiązku sprawdzić jej prawdziwości. — Rzecznik miał prawo powiedzieć, to co powiedział — dosłownie oświadczył sąd. Pozwany dopuścił się wprowadzenia naruszenia dóbr osobistych powodów, ale nie uczynił tego bezprawnie. Działał dla uchronienia dobra wyższego rzędu, jakim było ostrzeżenie społeczeństwa przed kontaktami z obcym wywiadem. Każdy obywatel polski powinien pamiętać o tym, że jego kontakty z dyplomataami mogą być wykorzystane w różnych celach, co dotyczy w szczególności dyplomatów amerykańskich.

Tak to w sprawie na pozór oczywistej i prostej zapadł wyrok, który usankcjonował niepisane dotąd prawo „lex Urban”. Rzecznikowi rządu wolno bezkarnie rzucać kalumnie na ludzi i szargać ich dobre imię, z czego w pełni korzysta. Zwłaszcza gdy wspiera go swoją wiedzą najpotężniejsze w PRL Ministerstwo Spraw Wewnętrznych.

Na proces przeciwko J. Urbanowi skierowano grupę studentów prawa odbywających właśnie praktyki w sądzie, aby mogli wyciągnąć z niej pożądaną naukę na przyszłość. Rezultat był jednak odwrotny. Młodzież nie ukrywała swego oburzenia i rozczarowania. — Może jeszcze dociągnę do końca roku — powiedział do mnie jeden ze studentów — ze względu na rodziców. Ale potem rozjrzy się za czymś innym. Takie prawo to nie dla mnie. ■

Redakcja dysponuje numerami »Poglądu« z lat 1982-87, przy sprzedaży których udzielamy 50% rabatu

Muzyka (nie)chciana

Muzyka rockowa trzyma się w Polsce nieźle. Minęły już czasy, gdy każdy niemal koncert stawał się wydarzeniem – towarzyskim, artystycznym, niekiedy też politycznym. Muzycy, którzy przetrwali tempo i napięcie początku lat osiemdziesiątych, złapali dłuższy oddech, publiczność masowa zaakceptowała wielu spośród dawnych outsiderów, choć... młode zespoły nie mają przez to o wiele lepszych warunków startu.

Za czas boomu rockowego w Polsce zwykło się uważać początek obecnego dziesięciolecia. To wtedy stały się ogromnie popularne takie formacje jak „Perfect”, „Maanam” czy „TSA”, przyciągające na koncerty tysiące sympatyków. Zaś w okresie stanu wojennego przypadła tej muzyce rola „wentyla bezpieczeństwa” – ściąganie młodzieży z ulic do klubów. Wtedy właśnie można było przeczytać w *Szpilekach* słowa Klaksona (autora, używającego również okazjnie pseudonimu Jan Rem), który po wielkich demonstracjach trzeciomajowych w 1982 roku pisał: „jeśli (młodzi ludzie) nie chcą być czerwoni, pozwólmy im być zielonymi, czy jakimi tylko chcą, byle tylko nie stawali się czarni.”

Trzeba stwierdzić, że ten ideologiczno-kolorystyczny łamaniec przyniósł rezultaty nie zawsze wygodne dla władzy (ruch pacyfistyczny „Wolność i Pokój”, ruch ekologiczny „Wolę być”).

Mówiąc jednak o obecnej sytuacji muzyki rockowej w Polsce, nie sposób nie wspomnieć choćby w skrócie jej rozwoju w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Jak wiadomo zawsze – a „zawsze” w tym wypadku to okres powojenny, zawsze więc istniała w Polsce młodzieżowa alternatywa dla oficjalnej kultury masowej. W latach czterdziestych i pięćdziesiątych – jazz, ymciarze, bikiniarze; lata sześćdziesiąte i początek siedemdziesiątych – to również nieakceptowany długo big-beat i długowłosi, w końcu psychodelic i hippisi.

Każdy, kto mieszkał w Polsce w drugiej połowie lat siedemdziesiątych, pamiętać musi głęboki zastój w kulturze, zwłaszcza w odniesieniu do dźwiękowo-obrazowych mediów, tj. do telewizyjno-radiowej papki. Szczególnie nieciekawa była sytuacja młodzieży – jako formę wyżycia się i rozwoju duchowego ofiarowano jej głównie dyskotekę. Trzeba przyznać, że większości nie trzeba było zbyt natarczywie do tej formy rozrywki namawiać.

Rewolucję rozpoczynają zawsze nieliczni. Punk rock, który przywedrował do Polski po roku 1976, na drodze prywatnego importu nagrań i pism, stał się dla nas – ówczesnych nastolatków – taką rewolucją. Muzyka, która w latach jej największego rozkwitu była całkowicie nieobecna w oficjalnych środkach masowego przekazu, zdomowała się, po rozmaitych perypetiach, głównie w klubach studenckich, dających muzykom możliwość dodatkowych zarobków. Entuzjastów nowych rytmów brakowało natomiast wśród decydentów wszelkich szczebli, od redaktorów radia i TV, po kierowników osiedlowych domów kultury, dysponujących salami i sprzętem do prób.

Cóż, młodzi muzycy mieli określony stosunek do lansowanych oficjalnie haseł z poprzedniej dekady, jak np. „Polska młodzież śpiewa polskie piosenki”:

I don't mind
I don't care
What they say
all the day
I fuck it all

I'm a victim of a safety pin.*
(Deadlock, Gdańsk, 78)

Pierwszy warszawski zespół punkowy, Walek Dzedzej „Pank Bend”, również rozpoczął swą jednokoncertową karierę w błyskotliwym stylu. Zebranych w warszawskim klubie „Hybrydy”

gości, a wśród nich śmietankę „młodzieży socjalistycznej”, powitał wokalista Walek w połowie włosów ostrzyżony na jeża, w drugiej połowie zaś długich, piosenką o homoseksualnej miłości dzielnicy i sekretarza partii. „Bramkarze” wykopali zespół z klubu, sam zaś Walek, „poeta przejść podziemnych”, widziany był potem ze swą gitarą na ulicach Wiednia, Madrytu, a ostatnio i Nowego Jorku.

Okres „burzy i niepokoju” polskiego punk rocka przypada na rok 1979, kiedy to działały m.in. znane jedynie w wąskich kręgach zwolenników zespoły jak „Tilt”, „Kryzys”, „Atak”, „Forint”, „Poland”.

W styczniu owego roku oglądałem również w „Hybrydach” zespół „Maanam” (jeszcze z długowłosym Johnem Porterem), który granymi wówczas utworami w innej, „ostrzejszej” aranżacji zyskał sobie popularność w roku następnym po występie na festiwalu opolskim. Ba, w czasach tych (79/80) każdy jeszcze koncert był wydarzeniem, niekiedy bywało nim także zgromadzenie na ulicach grupek „nietypowo” ubranych młodych ludzi.

Sierpień roku 1980, obok innych ważnych wydarzeń w naszym kraju, przyniósł również pierwszy festiwal nowej fali w Kołobrzegu (piosenka żołnierska). Uczestnicy tej imprezy do dziś wspominają klimat owego przeglądu „muzyki młodej degeneracji” (na marginesie wypada tu wspomnieć, że tzw. Muzyka Młodej Generacji, lansowana wówczas oficjalnie nie miała z młodą generacją wiele wspólnego — wiekowo, muzycznie, tekstowo). Natomiast w Kołobrzegu zespół „Forint” został wydalony administracyjnie za refren „lepszka kiła od Iła” w piosence „Lataj LOT-em (i czuj się bezpiecznie)”, poświęconej ówczesnej katastrofie lotniczej.

Pierwszymi, którym w roku 1980 udało się „wypłynąć” na szersze wody, byli muzycy z zespołu „Kryzys”. Wtedy to zostali oficjalnie zauważeni po występie na imprezie w Sopocie, gdzie przyjechali na własny koszt i ryzyko — „jedyne zespoły, grających muzykę młodych w Polsce” — pisal potem recenzent fachowego miesięcznika *Non Stop*.

Debiutancki koncert tego zespołu, znanego jeszcze jako „The Boors” półtora roku wcześniej, przyciągnął do małego klubu w podwarszawskim Aninie ponad sto osób — nic dziwnego, był to jedyny wówczas działający w miarę regularnie zespół w stolicy. Np. towarzyszący „Boorsom” tego wieczoru „Adam” i „Smoki”, z którymi miałem

osobliwą przyjemność wydzierać się przez kilka minut do niesprawnego mikrofonu, przetrwały tylko ten jeden koncert.

Rok 1981, obok różnych niezaprzeczalnych wartości („po raz pierwszy poczułem się wtedy obywatelem swojego kraju” — stwierdził jeden z moich przyjaciół) przyniósł powstanie i rozwój szeregu zespołów, z których kilka funkcjonuje do dziś (np. „TZN Xenna”, „Rejestracja”, „Dezserter” — znany początkowo jako „SS-20”), inne pozostawiały po sobie tylko nieoficjalne nagrania bądź doczekały się LP’s („Kryzys”, „Deadlock” — płyty wydano we Francji). Łatwy dostęp do kserokopiarek umożliwił publikację intelektualnego zaplecza dla powstających działań pozamuzycznych.

O roli „kanalizacyjnej” rocka w stanie wojennym wspominałem we wstępie. Podobną rolę odegrały zresztą wszystkie audycje oficjalnego radia, w których atrakcją, najnowszą muzyką anglosaską, nadawano w porach emisji wiadomości po polsku przez radiostacje zachodnie, bądź przedzielano nią materiały o charakterze indoktrynalnym (przykładem takich działań, określanych przez fachowców jako „czarna propaganda”, jest do chwili obecnej istniejący popołudniowy magazyn radiowy „Zapraszamy do Trójki” — bądź „Trujki”, jako wołą złośliwi).

Młodym muzykom trzeba jednak przyznać, że sprostali próbie czasu i w większości oparli się manipulacji. Za najlepszy przykład posłużyć tu może sprawa występu dwóch najlepszych w owym czasie (koniec roku 1982) warszawskich zespołów punk „TZN Xenna” i „Dezserter” z towarzyszeniem kilku „dinozaurów” spod znaku MMG w Sali Kongresowej Pałacu Kultury. Program ich, szczególnie „Deutera”, znakomicie opracowany muzycznie, wywoływał dreszcz na plecach (u niektórych mógł go również wywołać towarzyszący w ilustracji filmowej gen. Jaruzelski — w jednej z głównych ról). A na ostre ingerencje cenzury w teksty zespołów odpowiedzią był chóralnie śpiewany z „Xenną” tekst jednej z piosenek:

Pierdoleni politycy, pierdolona polityka
Co za głupi teatr, bardzo kiepscy gracze
A nam wioślawo, a nam wioślawo...

Niekiedy za bezkompromisowość przychodziło płacić — anulowane koncerty, eksmisje z sal prób, grzywny, zakaz występów — to stopnie tych szykan. Jako były manager zespołu „Dezserter”, znanego z utarczek z cenzurą (ściślej: ignorowania zaleceń GUKPPIW), mógłbym długo o tym opowiadać, jest to jednak osobna historia...

Stopniowo, wraz z ogólną „normalizacją”, unormowała się również sytuacja w rockowym świecie. Po okresie dominacji „gwiazd”, takich jak „Perfect”, „Maanam”, „Lady Punk”, „Lombard”, „Republika”, dla wielu młodszych wykonawców, znanych uprzednio niewielkim, przyszedł czas na wyjście z cienia. Choć wielu z „ortodoksów” zdobyło popularność jedynie przez występy klubowe bądź sporadyczną prezentację nagrań na antenie radiowej, to niektórzy zdecydowali się na pokazanie w TV (jak np. zespół „Kult”, nie tak dawno jeszcze ignorowany, obecnie „znany i lubiany”, szanowany przez wielu dawnych zwolenników), szeregu innym wykonawcom udało „dopchać się” w końcu do studiów nagraniowych i wydać płyty w firmach państwowych lub prywatnych. Do głosu doszło młodsze pokolenie dziennikarzy muzycznych, z uporem nieraz lansujących ulubione przez siebie utwory i zespoły. Zawyżono wymagania, co wpłynęło dodatnio na poziom wykonywanej muzyki oraz ogólny poziom kultury muzycznej debiutantów. A jest ich gdzie posłuchać — festiwal w Jarocinie, największa tego typu impreza w Europie Wschodniej, przyciągająca corocznie tysiące młodzieży, przeglądy „Nowa Scena” (Gdańsk), „Poza Kontrolą”, „Róbrege” (Warszawa) — to tylko najważniejsze z wydarzeń muzycznych, których organizatorzy nie narzekają na brak chętnych do zajmowania miejsc na scenie i widowni.

Nie oznacza to rzecz jasna, że debiutanci życie usłane mają różami — tak zresztą nie jest i nie było nigdy i nigdzie. Przyzwyczajone instrumenty i wzmacniacze kupić można tylko za dewizy, a stawki za koncerty dla tzw. amatorów (nie posiadających weryfikacji Ministerstwa Kultury i Sztuki) są niezwykle niskie, zaś kłopoty z miejscami do mieszkania, a nie tylko grania, są powszechnie znane.

Na szczęście jednak młodzi artyści, poza zdolnościami, obdarzeni są nierzadko również tzw. siłą przebicia oraz znajdują sojuszników. Np. w „Rozgłośni Harcerskiej” systematycznie prezentującej nowe nagrania wykonawców, odrzucających przez rozmaite „komisje artystyczne” innych programów radiowych. Również w TV pojawił się w roku bieżącym program „Non Stop Kolor”, który nieregularnie wprowadza, lecz z uporem pokazuje obok wykonawców ze sceny krajowej, „o których się mówi”, również zachodnie obrazy z udziałem klasyków rocka.

Nie ma obecnie na naszym firmamencie „gwiazd” — są jednak poważne szanse, że wielu

„młodych zdolnych” pozostanie zdolnymi, nie popadając w gwiazdorską manierę. Ze starszych nieco godzi się wspomnieć Lecha Janerkę (ex-„Klaus Mitfoch”), Tomasza Lipińskiego (ex-„Tilt”), Wojtkę Wąglewskiego, może jeszcze Grzegorza Ciechowskiego (ex-„Republika”).



Jędrzej Kodymowski, lider gdynskiego zespołu „Apteka”, jednego z ciekawszych obecnie w Polsce.

Młodszych jest stanowczo zbyt wielu, by wymienić ich wszystkich. Może jednak o części obecnych prawie-debiutantów będzie się za kilka lat pisać jako o klasykach polskiego rocka. Takie zespoły jak „Apteka”, „Armia”, „One Million Bulgarians”, „She”, „Marylin Monroe”, „Aurora”, „Stan Zvezda” i wiele innych mają spore szanse. Może ich nie zmarnują — i nikt im w tym nie dopomoże.

PS. Gdybyście mieli okazję obejrzeć angielsko-polski film dokumentalny z 1986 roku pt. „My Blood, Your Blood”, szczerze polecam. Nie jest to może szczytowe osiągnięcie, lecz dobra okazja do posłuchania kilku zespołów i wczucia się w klimat.

Kilka ciekawych dużych płyt z ubiegłych paru miesięcy: „Historia podwodna” — Lech Janerka, „Obywatel G.C.” Grzegorz Ciechowski, „Tilt” — Tilt, składanka „Jak punkt to punk”, „Kult”, 2 płyty VOO-Voo Wojciecha Wąglewskiego. Napiszcie do rodziny lub znajomych, może Wam przyślą!

Warszawa, listopad 1987

* Nie ważne/wszystko mi jedno/co gadają cały dzień/pierdoleć/padam ofiarą agrafki — tłum P.K.

Kto w Polsce pije, ile i dlaczego?

Pijaństwo i nadużywanie alkoholu stały się trwałym elementem socjalistycznej rzeczywistości w PRL. Obok coraz powszechniejszego poczucia ogólnej apatii, totalnej niemocy i niewiary w powodzenie jakichkolwiek zmian czy reform, właśnie alkoholizm wyznacza ramy codziennego bytowania statystycznego Polaka. Pijaństwo zazwyczaj zapuszczało swoje macki w żywą tkankę życia społeczeństwa w momentach dla niego najbardziej krytycznych. Rozpasanie alkoholowe rozpowszechniło się w Polsce mniej więcej na dwa pokolenia przed nastaniem Sasów, a swoje apogeum osiągnęło tuż przed rozbiorami. Propinacja* w Polsce szlacheckiej, celowa polityka wynaradawiania, upadek ducha narodu po nieudanych zrywach niepodległościowych sprawiły, że Polska wręcz dymiła oparami alkoholu. W 1844 r. spożycie alkoholu (100%-wego) w przeliczeniu na jednego mieszkańca wynosiło w Królestwie Kongresowym 9,6 l, a w niektórych powiatach dochodziło do zawrotnej ilości 38 litrów! Śladami Bismarcka i batuszki Mikołaja próbował iść – z dużym powodzeniem – Adolf Hitler. Mroki okupacji kojarzą się wszak nie tylko z terrorem, łapankami, obozami zagłady, ale również z masową ucieczką... w bimber.

Współzależność pomiędzy wolnością, niezależnością i suwerennością narodu i państwa a alkoholową patologią jest dość oczywista nawet dla

laika. Najniższe spożycie alkoholu na głowę odnotowano w Polsce w dwa lata przed wybuchem II wojny światowej. Wyniosło ono wówczas 1 litr czystego spirytusu na statystycznego Polaka! Poniżej tej granicy nie udało się zejść ani wcześniej, ani nigdy później. Owszem, bywało że alkohol wykreślano z polskiej rzeczywistości obyczajowej w czasie kolejnych pielgrzymek do ojczyzny Ojca Świętego, w czasie sierpniowych strajków, ale takiej tendencji do niemal całkowitego wyeliminowania alkoholu z życia społecznego, jaka zarysowała się w Polsce przedwojennej, nie udało się już powtórzyć.

W 1937 r. ilość wypitego alkoholu przypadającego na statystycznego Polaka wynosiła – jak wspomniano 1 litr, w 1959 r. – 4 litry, a po dalszych dwudziestu latach, w 1980 r. – 8,4 litra! Wzrost spożycia następował więc w postępie geometrycznym, a dane z ostatnich lat wcale nie napawają optymizmem. W 1981 r. zanotowano co prawda znaczną tendencję zniżkową – do 6,4 litra, a w 1982 r. – nawet do 6,1 litra, podyktowane to było jednak głównie okresową dezorganizacją rynku, zakazami sprzedaży alkoholu, wprowadzaniem, a następnie zniesieniem reglamentacji i cen tzw. komercyjnych, wreszcie trzykrotną znaczną podwyżką cen, zwłaszcza wódki (marzec i grudzień 1981 r., styczeń 1983 r.). Niestety, od 1982 r. ilość wypitych trunków znowu systematycznie rośnie, by w 1986 r. osiągnąć 6,9 l 100%-wego alkoholu w przeliczeniu na jednego mieszkańca.

Obok spożycia rejestrowanego występuje tzw. spożycie nierejestrowane, ustalane na podstawie pewnych szacunków (liczby zatruczeń, psychoz alkoholowych, umieralności na marskość wątroby, statystyk przestępczości itp.), a także na pod-

* Propinacja [łac.], w dawnej Polsce wyłączne prawo pana feudalnego do produkcji i sprzedaży trunków w obrębie jego dóbr; w niektórych dobrach z góry wyznaczano na każdego chłopą obowiązek zakupu określonej ilości wódki lub piwa w dworskiej karczmie; często pan feudalny pobierał opłaty od chłopów w zamian za prawo warzenia trunków na własne potrzeby.

stawie badań ankietowych. Znaczący przedmiot zgodnie przyjmowali, że do roku 1980 nielegalna produkcja spirytusu osiągnęła 5-10% zarejestrowanego spożycia wódki. Tak więc w 1980 r. globalne spożycie alkoholu wynosiło w rzeczywistości nie 8,4l, lecz 8,9-9,3 litra na jednego mieszkańca! Z kolei w 1983 r. trzeba przyjąć — wg tych samych źródeł — że nielegalna produkcja i spożycie alkoholu osiągnęły 30-50% całości zarejestrowanego spożycia, przy czym na spożycie nielegalne składały się nie tylko przysłowiowy samogon, ale denaturat, wino domowej roboty, alkohol pochodzący z kradzieży w produkcji i transporcie itd. Wg danych Komisji Episkopatu Polski d/s Trzeźwości ilość wypitego alkoholu w tym przykładowym 1983 r. wynosiła nie 6,2 litra, jak podawał Główny Urząd Statystyczny, lecz 8,2 litra, a być może nawet 12 litrów na głowę! Jeśli nic się nie zmieni w dotychczasowych tendencjach, w 2000 r. należy się liczyć ze spożyciem 16 litrów czystego spirytusu na statystycznego obywatela PRL!

Wprawdzie Polska nie plasuje się jeszcze na światowych listach najgorzej (gdzieś pod koniec pierwszej dziesiątki), niebezpieczeństwo wypływa jednak nie tyle z zajmowanego miejsca w świato-

wych statystykach, ile z czołowego miejsca w spożyciu alkoholu wysokoprocentowego oraz z powszechnie przyjętego modelu picia. Dominują bowiem u nas alkohole wysokoprocentowe (wódka), pite szybko i w bardzo dużych ilościach, jednorazowo. Zwyczaj ten, zwany skandynawskim, jest stokroć bardziej niebezpieczny od modelu romańskiego (dominacja wina, spożywanego do wszystkich posiłków), czy anglosaskiego (dominacja piwa i tzw. long-drinków). Akceptacja „polskiego” wzoru sprawia, że spożycie jednego litra alkoholu 100%-wego przez Polaka wywołuje o wiele większe spustoszenie w organizmie, niż wypicie tej samej ilości alkoholu, powiedzmy przez Włocha. Spożycie napojów alkoholowych w roku 1986 w rozbięciu na poszczególne rodzaje potwierdza utrzymywanie się w praktyce wspomnianego wyżej wzorca. Na 6,9 litra 100%-wego alkoholu spożytego — wg danych GUS — przez statystycznego mieszkańca PRL składa się 4,7 litra wódki (11,8 litra bez przeliczenia na 100%-wy alkohol), 1 litr win i miodów o zawartości do 12,5% alkoholu (8,2 litra) i 1,2 litra piwa (29,7 litra).

Kto w Polsce najczęściej sięga po kieliszek? Przeważnie mężczyźni — pijących mężczyzn jest 4-7 razy więcej niż kobiet. Większość z nich sy-



Stosunek do pijaka jest względnie pobłażliwy

tuuje się w przedziale wieku od 21-29 roku życia.

Ogólną populację pijaków i alkoholików szacuje się na co najmniej 5 mln osób. Mniej więcej co siódmy obywatel PRL, wliczając w to niemowlęta i ludzi starych, jest pijakiem, względnie alkoholikiem. W tej licznie 1 mln osób to ludzie uzależnieni, czyli chorzy na chorobę alkoholową. Choroba alkoholowa polega z grubsza na utracie kontroli nad piciem oraz konieczności wprowadzenia do organizmu coraz większych dawek alkoholu. Metabolizm (tj. przemiana materii) ustroju osoby uzależnionej przystosowuje się do alkoholu, bez niego organizm nie może normalnie funkcjonować. Uzależnieniu fizycznemu towarzyszy uzależnienie psychiczne chorego. Alkohol staje się z czasem jedynym przedmiotem zainteresowania osoby uzależnionej. Rozbudzona potrzeba

kochołu nie ma odwrotu. Chory wcześniej czy później kończy w zakładzie psychiatrycznym, albo w ryszotoku, chyba że stać go na narzucenie sobie wymuszonej abstynencji, co udaje się bardzo nielicznym.

Pozostałe 4 mln to ludzie nadużywający alkoholu w sensie wybuchu obyczajowego, sięgający po kieliszek z byle okazji, albo i bez okazji. Kieliszek zastępuje im kino, gazetę, kulturę... Piją w większości codziennie, w pracy i poza pracą, w domu, w knajpie i pod przysłowiową chmurką. To pogranicze nałogu i sposobu spędzania wolnego czasu stwarza glebę, z której wyrastają wszystkie inne postaci społecznej patologii. Nie ma właściwie dziedziny życia społecznego wolnej od ujemnego wpływu alkoholu. Absencje w pracy są 2-5 razy wyższe w wypadku osób nadmiernie pijących niż w przypadku osób zachowujących wstrzeźliwość; 11-18% wypadków przy pracy — to efekt picia; wydajność pracy u osób nadużywających alkoholu jest 30-70% niższa od wydajności osób unikających picia. Mniej więcej co czwarte przestępstwo popełniane jest przez osobę nietrzeźwą. 70-80% najpoważniejszych zbrodni kry-



5-milionowa armia osób nadużywających alkohol i alkoholików wzrosła w roku 2000 do ok. 17 mln.

ciągłego picia równoznaczna jest z początkiem postępującej izolacji, odrębności i samotności alkoholika. Jest też alkoholizm chorobą zakłamania. Alkoholik fałszuje obraz otaczającej go rzeczywistości i stosunków łączonych go z innymi. Sytuuje się w roli osoby przegranej, prześladowanej, niedocenianej, skrzywdzonej, tylko po to, by uzasadnić sięganie po kieliszek. Jest on ucieczką od piętrzących się kłopotów, zmartwień, trudności, najczęściej świadomie produkowanych. Od al-



Pijących mężczyzn jest 4-7 razy więcej niż kobiet...

minalnych ma swe źródło w alkoholu. Rozwody, dezorganizacja rodziny, kalekie dzieci alkoholików, sieroctwo społeczne, stały wzrost nieletnich, objętych postępowaniem sądowo-opiekunicyjnym, to nazbyt dobrze znane pozycje w bilansie ujemnych następstw nadużywania alkoholu. Obraz smutnego dziecka z plakatów propagandowych komitetu przeciwalkoholowego urasta do rangi jednego z symboli dnia dzisiejszego w PRL. O śmiertelnych ofiarach wypadków drogowych, motoryzacji itd. nie ma właściwie co wspominać. Zagrożeniom w makroskali odpowiadają tragedie w czterech ścianach rodziny alkoholika, względnie pijaka. Ich swoiste dowartościowywanie się znajduje bowiem także wyraz w biciu żony i dzieci, w demolowaniu i niszczeniu mieszkania, w ciągłych awanturach, w wulgaryzacji obyczajów i języka. Nieszczęściu składającemu się na całość zjawiska odpowiadają więc tysiące nieszczęść jednostkowych, dotyczących rozliczne układy rodzinne i małżeńskie.

Według wspomnianych już wyżej prognoz Komisji Episkopatu Polski d/s Trzeźwości, owa 5-milionowa armia osób nadużywających alkohol i alkoholików wzrosnie w 2000 r. do ok. 17 mln!!! Tragiczne wizje załamania się życia biologicznego narodu nie są więc pozbawione podstaw.

Najbardziej chyba niepokojącym aspektem zjawiska jest to, że ponad 80% dzieci i młodzieży w wieku 16 lat i więcej już używa alkoholu, że stale odbiża się próg wieku, w których dochodzi do pierwszego kontaktu z trunkiem. Kontakt ten zazwyczaj ma miejsce za pośrednictwem rodziny albo grupy rówieśniczej. Alkohol jest sam przez się nośnikiem najpoważniejszych dla narodu zagrożeń, a najmłodsze pokolenie, wkraczające w życie jest obarczone tym balastem.

Co sprzyja picciu? Lista możliwych odpowiedzi na to pytanie jest długa. W części populacji mogą to być cechy genetyczne; niektóre cechy charakterologiczne stanowiące następstwo wychowania, nawyki, tradycje, obyczaje, wzory popularyzowane w środkach masowego przekazu, ogólna atmosfera życia rodzinnego, społecznego, politycznego; wadliwy system obrotu alkoholem, ceny alkoholu i brak substytutów, błędy polityki społecznej i dziesiątki innych czynników, bardzo ważnej zresztą natury. Świadomość społeczna jest dotknięta na przykład zatrważającym infantyлизmem i faryzejską obłudą. Istnieje w Polsce fatalna kultura picia, a właściwie brak jakiegokolwiek kultury. Wyraża się ona w swoistym terrorze w stosun-

ku do osób stroniących od alkoholu, zmuszaniu innych do picia, przekazywaniu najgorszych wzorów pokoleniu wkraczającemu dopiero w życie. Picie przy każdej okazji, fetowanie wszelkich sukcesów i niepowodzeń alkoholem ma charakter niejako rytualny. Stosunek do pijaka jest względnie pobłażliwy. Natomiast alkoholik, który stoczył się na dno i zaryzykował podjęcie leczenia staje się natychmiast przedmiotem powszechnej pogardy. Formalnie każdy w Polsce potępia alkoholizm. Mało kto potrafi jednak odróżnić jeszcze pijaka od alkoholika, mało kto wie, czym jest choroba alkoholowa i na czym polega dramat chorych, jednocześnie jednak mało kto odrzuca i wznosi się ponad owe praktyki czczenia wszystkiego kieliszkiem i namawiania innych, aby mu w tym towarzyszyli.

Deklaracje, apele, nawoływanie do umiarkowanego picia płyną z wielu stron. Przeciwdziałanie alkoholizmowi, podcinanie jego korzeni ma stanowić platformę porozumienia wszystkich Polaków, wierzących i niewierzących, tych „dobrych”, skupionych wokół PRON-u i tych „gorszych”, którzy jeszcze do „porozumienia narodowego” nie przystąpili. Władze państwowe, choć wielokrotnie „wyciągały rękę” do Kościoła, do bezimiennej, milczącej opinii publicznej, nieraz wytykały im też bierność w tak żywotnej dla państwa i społeczeństwa sprawie. Zagadnienie alkoholizmu i pijaństwa jest znakomitym parawanem, neutralnym politycznie, który w zależności od koniunktury można wykorzystać dla doraźnych celów propagandowych. W ślad za deklaracjami nie idzie bowiem nic. Wygodnie jest od czasu do czasu zaapelować o aktywność na szerokim froncie przeciwalkoholowym – każdy przecież przytaknie takim apelom – albo obłudnie utyskiwać nad rzekomymi niepowodzeniami kościelnych akcji typu „sierpień bez alkoholu”. Żadne posunięcie władz nie przyniosło – jak dotąd – oczekiwanych rezultatów.

Z dniem 13.05.1983 r. weszła w życie ustawa z dn. 26 października 1982 r. o wychowywaniu w trzeźwości i przeciwdziałaniu alkoholizmowi. Jej istota sprowadza się do deklaracji, pobożnych życzeń, za którymi bynajmniej nie idzie praktyka. Po roku obowiązywania, ustawę znowelizowano, m.in. poprzez likwidację wyspecjalizowanego przedsiębiorstwa, które miało zmonopolizować (na wzór Szwecji) obrót alkoholem i uzależnić go od marż handlowych i zysków, oraz poprzez zwrot w kierunku wyszynku piwa od rana, a nie od godzi-

ny 13-tej, jak głosiła ustawa. Stworzono też możliwość nabywania za dolary alkoholu przez cały dzień. Tak jawne odejście od podstawowych założeń ustawy nie ma precedensu.

Autentyczną działalność na rzecz trzeźwości prowadzą bractwa kościelne, a w szczególności Ruch im. św. Maksymiliana Kolbego. Kiedy parokrotnie aktywiści tego ruchu podjęli próby pikietowania sklepów monopolowych właśnie w sierpniu, kościelnym miesiącu trzeźwości, szybko ich „zwijano” i skazywano w kolegiach d/s wykroczeń na wysokie grzywny. Okazuje się, że z alkoholem można walczyć jedynie pod państwowotwórczymi hasłami, zaś stwierdzenie: „W Gdańsku nie pili”, jest tylko politykierstwem i demagogią. Na dłuższy dystans niczego nie przyniosły – i nie przyniosą – podwyżki cen alkoholu, do każdej bowiem z nich rynek nadzwyczaj szybko się przystosowuje.

Przyczyny obłudy oficjalnych deklaracji, jeśli chodzi o walkę z alkoholizmem, nie są dla nikogo tajemnicą. Mniej więcej 1/5 wpływów budżetowych państwa pochodzi z dochodów uzyskiwanych ze sprzedaży alkoholu. Wydatki ludności na ten cel wyniosły w 1981 r. – 189,8 mld zł, 1982 r. – 396,7 mld zł, 1983 r. – 558,9 mld zł, 1984 r. – 659,9 mld zł, 1985 r. – 687,1 mld zł, 1986 r. – 828,7 mld zł. Wszystkie przytoczone wyżej pozycje wyrażone są w cenach bieżących i pochodzą z oficjalnych, dostępnych w Polsce źródeł. Rośnie również sprzedaż dewizowa. W 1981 r. wyniosła ona 192,4 mln dolarów USA, 1982 r. – 110,9 mln, 1983 r. – 77,2 mln, 1984 r. – 83,2 mln, 1985 r. – 113,7 mln, 1986 r. – 131,7 mln. Zapobiegliwość państwa w pozyskiwaniu dolarów z tzw. rynku wewnętrznego idzie tak daleko, że najbardziej chodliwe i popularne w Polsce wódki („Żytniówka”, „Wyborowa”, „Polonez”) można obecnie kupować właściwie wyłącznie w sklepach „Pewexu”. Listę 500 największych – czytaj: najbardziej dochodowych – przedsiębiorstw przemysłu przetwórczego w PRL otwiera warszawski „Polmos”, który w skali roku sprzedaje swe wyroby za sumę większą niż płocka „Petrochemia”, Huta im. Lenina i Huta „Katowice” razem wzięte. Nie trzeba wyjaśniać, że „Polmos” oznacza: Polski Monopol Spirytusowy.

Tak więc, to nawet nie tyle zła wola, ile 20%-wy dochód skarbu państwa uzyskiwany w stosunku rocznym ze sprzedaży alkoholu wiąże władzy ludowej ręce. Mimo, iż ma ona pełną świadomość iluzoryczności tego dochodu. Szacunki naukowe

dokonane w połowie lat 70-tych wykazały bowiem, że globalne straty wywołane alkoholizmem przewyższają dochody osiągnięte ze sprzedaży trunków o ok. 40 mld zł, w 1982 r. analogiczne szacunki operowały różnicą rzędu 100 mld zł. Krótkowzroczność i doraźność cechują politykę państwa nie tylko w gospodarce, gdzie bardziej opłaca się sprzedawać za centy surowce niż za dolary te same surowce po przetworzeniu, bo ten drugi wariant jest przyszły i niepewny, ale także w tak delikatnej sferze narodowego bytu, jaką jest zagrożenie alkoholowe.

Alkohol jest jedynym artykułem w Polsce, którego nigdy nie brakowało na sklepowych półkach. Wprowadzona swego czasu reglamentacja nie wpływała bynajmniej z braku tej używki na rynek, lecz z chęci spektakularnego zademonstrowania przez władze stanu wojennego stanowiska wobec problemu alkoholizmu. Oczywiście reglamentacja doprowadziła do niespotykanego rozkwitu pokątnego bimbrownictwa i spekulacji alkoholem. Mimo, iż 1/5 dochodów budżetowych pochodzi ze sprzedaży alkoholu, na fundusz walki z alkoholizmem przeznaczona jest poniżej 2% dochodów, co wynosi ok. 13 mld zł w bieżącym roku. A i tą kwotą gospodaruje się w przedziwny sposób, zasilając m.in. fundusz rozwoju kultury (15%), czy fundusz rozwoju kultury fizycznej (10%). Odwykówek, łóżek szpitalnych, poradni przeciwalkoholowych – niestety – nie bardzo przybywa, co sprawia, że skuteczność leczenia jest w aktualnych warunkach prawie żadna, zaś odsetek osób objętych specjalistyczną opieką – znikomy.

W sumie obraz rzeczywistości alkoholowej w PRL nie napawa optymizmem, a oficjalne propozycje dróg wyjścia są po prostu zawracaniem głowy. Społeczeństwo polskie pije nadmiernie m.in. z powodu utraty wiary w sens życia, braku perspektyw lepszego jutra, zawiedzionych nadziei, poczucia beznadziejności. Czy możliwe jest wyeliminowanie ze społecznej kondycji tych właśnie elementów?...

W-wa, sierpień 1987

Marian Śmigiełski

nasz drogi ojciec, dziadek, mąż
i przyjaciel obchodzi dn. 21. 01. 1988
70-te urodziny. Serdeczne życzenia zdrowia
składają żona, dzieci, wnuki i przyjaciele.

Żona z kieliszkiem

Gdy poznała Tadeusza, miała już prawie trzydzieści lat. On przeszedł właśnie rozwód i rozstanie z żoną, którą jeszcze kochał, choć nie przyznał się do tego nowej znajomej. Wczasy w Zakopanem służyć miały gojeniu ran, to też starał się jak najczęściej przebywać w towarzystwie kobiet. Ich elegancja i uroda miały zaćmić tę, której nie mógł zapomnieć. Krystyna była rzeczywiście zgrabna i ładna, będąc zaś projektantką mody ubierała się gustownie. Mógł być więc pewny, że gdy się z nią pokaże wśród znajomych, ścigać go będą zazdrosne spojrzenia innych mężczyzn. Chodzili więc wszędzie razem, wieczorami bawili się w lokalach, zakrapiając kolacje wódką. Nie wiedział, że ona od dawna już nie stroni od alkoholu tłumacząc przed sobą pociąg do wódki niepowodzeniami, jakie spotykała ją w życiu. Choć od wczesnej młodości marzyła o założeniu rodziny i własnym domu, zawiodła się na dwóch kolejnych narzeczonych. Topiła więc swe smutki w alkoholu. Poznawszy Tadeusza starała się uważać, by nie dowiedział się o jej nałogu, dwukrotnie jednak upiła się w jego towarzystwie. Winił za to siebie. Sądził, że nie jest przyzwyczajona do alkoholu i mało odporna, takie zresztą wrażenie starała się na nim wywrzeć.

Wczasy minęły szybko, a oni mieli się rozjechać do różnych miast – on do Warszawy, gdzie w pewnym instytucie badawczym kończył właśnie doktorat, ona do Krakowa.

Jeszcze przed wyjazdem doszła do wniosku, że jest on właściwie mężczyzną, jakiego szukała. Był wolny (jej dotychczasowi adoratorzy najczęściej bywali żonaci), miał przed sobą przyszłość. Był przystojny i dobrze wychowany. Przed pożegnaniem wyznała mu, że go kocha. Był zaskoczony, ale i zadowolony. Po rozwodzie potrzebował zresztą pocieszenia, może nawet miłości. Umówili się, że pomimo dzielącej ich odległości będą starali się podtrzymywać kontakt. Raz w miesiącu

jeździł więc w odwiedziny do Krakowa, ona przyjeżdżała niekiedy do Warszawy. Taka sytuacja trwała około dwóch lat. Z czasem ogarnęła ją niecierpliwość i coraz śmiej napomykała o małżeństwie. On ciągle jeszcze nie zdawał sobie sprawy z jej nałogu. Gdy byli razem, pili niekiedy przy obiedzie czy kolacji, ona baczyła jednak pilnie, aby się kontrolować. Pewnego razu przyjechała i oznajmiła, że spodziewa się dziecka. On był człowiekiem wierzącym. Nie chciał nakłaniać jej do przerwania ciąży.

Pobrali się niemal natychmiast i wkrótce zamieszkali wspólnie w Warszawie. Tadeusz był bardzo zajęty, wiele czasu spędzał w instytucie. Ona zostawała w mieszkaniu sama i choć marzyła o wypiciu szklaneczki, nie piła. Hamulcem była chęć urodzenia dziecka i utrzymania nowo założonej rodziny. Pomimo to, gdy wrócił kiedyś wcześniej do domu z podróży służbowej, zastał żonę kompletnie pijaną. W koszu leżało parę pustych butelek po winie. Przeraził się nie na żarty i odbył z nią poważną rozmowę. Przecież była w ciąży! Tłumaczyła mu, że wypiła, bo dowiedziała się o tragicznej śmierci koleżanki, z którą kiedyś w dzieciństwie chodziła do szkoły. Uwierzył! Zresztą ona sama, przerażona swoim, wybrykiem przestała pić. Niedługo potem na świat przyszedł chłopiec. Ucieszył się z dziecka ogromnie, zawsze przecież chciał mieć syna.

Wciąż dużo pracował. Zdarzało się, iż tygodniami był w domu gościem. Parokrotnie jednak, gdy wracał wieczorem, zastanawiała go blyszczące nienaturalnie oczy żony. Kiedyś poczuł od niej zapach alkoholu, który zawsze starała się zneutralizować kawą i miętówkami. Znów doszło do rozmowy, tym razem okazał mniej wyrozumiałości. Ona płakała, mówiła, że smutno jej samej w domu z małym dzieckiem. Postanowili, że zaczną pracować. Domem miała zająć się jego ciotka mieszkająca nieopodal.

Podjęła pracę w biurze podróży. On nawet się nie domyślał, że właśnie tam znalazła się w swoim żywiole. Mogła popijać z dala od domu i od męża. Dość długo udawało się jej zachowywać umiar. Była wciąż ładna i o partnerów do kieliszka nie było trudno. Przeciwnie. Okazje zdarzały się same, a ona miała słabą wolę...

Kilka razy wróciła do domu pijana. Powodowało to niesnaski, zawsze jednak umiała znaleźć pretekst. A to były imieniny szefa, a to wesele młodej koleżanki. On ciągle jeszcze jej wierzył. Zresztą sam nie był abstynentem, pił, jeśli nie miał akurat pilnych zajęć, z okazji spotkań towarzyskich czy uroczystości. Kiedyś jednak, gdy upiła się do nieprzytomności w domu jego kolegi, stracił cierpliwość. Zaczął już podejrzewać, że żona jest alkoholizką. Doradzał jej pójście do lekarza. Wysmiała go.

Wkrótce potem jednak po raz pierwszy „poszła w cug”. Na próżno szukał jej przez trzy dni. Wróciła dnia czwartego, odwieziona przez obcych ludzi, bez torebki i dokumentów. Tym razem miał już dość, zaczął sypiać w oddzielnym pokoju, atmosfera w domu stała się trudna i napięta. Z dawnej serdeczności pozostało niewiele. O rozstaniu jednak nie myślał z uwagi na dziecko. Bacznie przypatrywał się zachowaniu żony. Umiał już odróżnić, kiedy wraca do domu trzeźwa, a kiedy... Zaczęły się sprzeczki, potem awantury. Zarzucała mężowi, że to on nauczył ją pić w początkach ich znajomości. On żądał, aby rzuciła biuro, w którym niewiele się pracuje, a za to dużo pije.

Kiedyś po jakimś pijaństwie zatrąła się alkoholem i zachorowała. Przyszła mężowi, że pójdzie do lekarza. Lekarz tłumaczył jej cierpliwie, że rujnuje życie swoje i rodziny, a potem wręczył tabletki. Początkowo je brała, ale kiedyś w przyпадку głodu alkoholowego wszystkie wyrzuciła. Utrzymywała potem, że to przez niego, bo przestał ją kochać i zaniedbywał. Piła dalej, co w końcu doprowadziło ją do utraty pracy. Przyczyną była awantura z klientem, który zauważył, że jest nietrzeźwa i wezwał dyrektora. Mężowi oczywiście nie przyznała się do niczego, wmawiając mu, że sama odeszła. Był z tego nawet zadowolony, namawiał, by więcej zajmowała się dzieckiem. Musieli jednak żyć skromnie, w domu było mniej pieniędzy. Pić jednak nie przestała. Rano zmuszała się jeszcze, żeby zaprowadzić synka do przedszkola, co dotychczas robiła ciotka, a potem „szła w Polskę”. Pieniądże ciągle jeszcze miała. Pobierała je z książeczki oszczędnościowej męża, który

w pierwszym okresie małżeństwa dał jej upoważnienie do dysponowania swymi oszczędnościami. Kupowała też zawsze butelkę do domu, którą chowała w rozmaitych przemysłnych miejscach: w tapczanie, w szafie z bielizną, w łazience, na półkach za książkami.

Tymczasem on z coraz mniejszą cierpliwością znosił jej pijackie wybryki. Dom był zaniedbany. Gdy wracał z pracy, dowiadywał się, że synek po powrocie z przedszkola godzinami przesiadywał u sąsiadów. Kiedyś, gdy żona znów upiła się do nieprzytomności, odwiózł dziecko do swoich rodziców do Poznania. Matka pijaczka – powiedział jej – nie może zapewnić chłopcu należytej opieki. Przysięgała, że to ostatni raz, obiecywała, że się zmieni, ale już jej nie wierzył. Sytuacja pogorszyła się, gdy dowiedział się, jak bardzo stopniał jego oszczędności, choć ona skrzętnie chowała zawiadomienia z banku. Spędzał teraz wieczory poza domem, traktując ją jak obcą osobę. Podejrzewała, że ma kogoś i nie mogła pogodzić się z tą myślą. Znów odwiedziła lekarza i przez parę tygodni łykała anticol. On zdawał się jednak już tym nie interesować. Kiedyś, gdy długo nie wracał do domu, postanowiła pójść do instytutu, w którym często pracował wieczorami. Z daleka zobaczyła ciemne okna. Portier przyjął ją ze zdziwieniem. – Pan doktor dawno wyszedł – poinformował. Gdy wrócił późnym wieczorem, próbowała z nim rozmawiać. Powiedział, że to świetnie, że już nie pije i go kocha, tyle tylko, że jego przestało to interesować. Sama zniszczyła wszystko, co było między nimi. Rzuciła anticol i znów zaczęła pić. Brakowało jej pieniędzy, sprzedała więc złotą bransoletkę, którą po urodzeniu synka ofiarowała jej jego matka. Potem poszła obrączka i stary obraz, chluba i ozdoba ich mieszkania. On był ciągle w rozjazdach, więc całymi dniami była w domu sama. I piła, piła na umór. Budziła się z kacem i znów sięgała po butelkę. Przestała o sobie dbać, chodziła w starych brudnych rzeczach, rzadko się myła.

Była znów w ciągu alkoholowym, gdy niespodziewanie wrócił Tadeusz. Nagle na jego widok poczuła przypływ uczuć. Podeszła do niego i bełkotliwie próbowała wytłumaczyć, że za nim tęskniła. – Jesteś pijana – powiedział tylko. Chciała się do niego przytulić, odrzucił ją od siebie. Mówił, że cuchnie alkoholem, że się jej brzydzi, że jest odrażająca.

Anonimowi alkoholicy – szansa na wytrzeźwienie

Najpierw przyszła żona, dość atrakcyjna dziewczyna przed trzydziestką. Ktoś ją zapewnił, że – jako prawnik – pomoże jej rozejść się z mężem. Obraz małżeńskich doświadczeń, jakie stały się jej udziałem w ostatnich latach, pozwalał bezbłędnie postawić diagnozę. Czynnikiem sprawczym kryzysu w rodzinie, a jednocześnie autentycznego dramatu mojej rozmówczyni, był alkoholizm męża – alkoholizm w sensie choroby, od której zazwyczaj nie ma odwrotu. Nie miała pojęcia, że chodzi tu o chorobę taką jak każda inna. Sięganie męża po kieliszek, upijanie się do nieprzytomności, wszystkie typowe następstwa tego stanu traktowała jako przejaw i efekt słabego charakteru, braku innych zainteresowań, wpływu kolegów... Oboje pracowali w tzw. prywatnej inicjatywie. Stąd też narażeni byli na ciągłe obcowanie z wódką. Bez wódki, bez przysłowiowego opierania sprawy o bufet, niczego nie dało się załatwić. Na dodatek podpity urzędas zazwyczaj bywał mniej zachłanny, gdy wyciągał rękę po łapówkę. A wszystkie sprawy związane z prowadzeniem interesu załatwiał mąż. I tak to się zaczęło.

Prosiła, błagała, rzucała się przed nim na kolana... „Nie pij, miej litość nad dziećmi, nie zaprzeczaj naszego wspólnego dorobku!” Przysięgał, zaklinał się, że przynajmniej ograniczy picie, ale były to puste deklaracje bez pokrycia. Zresztą uważał, że nie jest z nim jeszcze najgorzej, w rynsztoku jeszcze nie leżał, denaturatu jeszcze nie pił. Od dwóch tygodni żona z dziećmi mieszka u swojej matki. Chce wystąpić o rozwód, gdyż jest nerwowo załamana, wykończona, brak jej sił. Miłość została wyparta zwykłym obrzydzeniem. A on od ponad roku praktycznie nie trzeźwieje. Na szczęście jeszcze nie bije, ale parę cennych rzeczy

zdążył już z domu wynieść.

Typowy obrazek. Milion takich pojedynczych obrazków tworzy w sumie jeden wielki i koszmarny obraz polskiego alkoholizmu – milion osób uzależnionych i cztery miliony nadużywających tej tak niebezpiecznej używki. Spożycie alkoholu na głowę – 7 litrów rocznie w przeliczeniu na czysty spirytus – nie plasuje jeszcze Polski na czołowym miejscu światowego spożycia. Niestety jest tu jednak hołdowanie słowiańskiemu modelowi picia. Dużo i szybko, konieczne wódka, pod papieroska, pod piwko... Żeby się koniecznie zalać w trupa, żeby w głowie dobrze „hajcowało”. Niestety jest też poczucie ogólnego marazmu i powszechna dostępność alkoholu. Choćby niczego nie było na sklepowych półkach, wódka była, jest i będzie na pewno. I te tysiące okazji, to swoiste promieniowanie alkoholowych skłonności i predyspozycji, rozwijających się jak zaraza.

Próbuję uprzytomnić mojej znajomej, że powinna się jeszcze wstrzymać z rozwodem. Skoro mąż nigdy w przeszłości nie próbował się leczyć, to trzeba mu dać tę jedną jedyną szansę. Proponuję, aby przyprowadziła męża. Przyszli po dwóch tygodniach. On na tzw. cyku, ona – ze śladami co najmniej kilku nieprzespanych nocy. Nasz chory ma 28 lat, wyższe studia rolnicze, a w przeszłości duże sukcesy w prowadzeniu wzorcowego gospodarstwa specjalistycznego. Nie muszę go właściwie o nic pytać. Już sam wygląd, przekrwiona twarz, trzęsące się ręce, mówi sam za siebie. Ale jedno pytanie trzeba mu zadać. „Czy pan wie, że jest pan alkoholiczkiem? Czy jest pan zdecydowany podjąć leczenie?” Tak, jest zdecydowany, ale nie wie, czy będzie go na to stać, czy wytrwa.

Co prawda, na leczenie też nie ma co za bardzo liczyć. Tradycyjne metody terapii przeciwalkoholowej — przy takim stopniu zaawansowania choroby — mogą się okazać nieskuteczne. W poradni brak elementarnych leków. Nie ma esperalu, anticolu, nie ma co wszywać. „Walkę z alkoholizmem” prowadzi w Polsce niewiele ponad 400 poradni przeciwalkoholowych, w których zarejestrowano ok. 70.000 pacjentów. W lecznictwie zamkniętym leczy się dalszych kilkanaście tysięcy osób. Zwiedzałem kiedyś odwykówkę w dużym mieście, która po godzinach pracy zmieniała się w pijacką melinę. Nie ma lekarzy-alkohologów z prawdziwego zdarzenia, w ogóle nie ma w Polsce takiej lekarskiej specjalności. Aktualna sytuacja w lecznictwie przeciwalkoholowym niczym nie różni się od ogólnej sytuacji w gospodarce i w państwie. Po prostu sięga dna. Naturalnie nie mówię tego człowiekowi, któremu chcę pomóc. Daję mu adres zaprzyjaźnionego lekarza, informuję go o ruchu Anonimowych Alkoholików.

Ruch AA jest zjawiskiem unikalnym w skali światowej. Stworzony przed 50 laty w Stanach Zjednoczonych oparł się próbie czasu i zrzesza dziś miliony alkoholików w ponad 100 krajach

świata. Nie ma żadnej sformalizowanej struktury organizacyjnej. Nie ma sponsorów ani dotacji, nie ma list obecności. Zasada się on na jednym prostym założeniu: alkoholikowi może pomóc tylko drugi alkoholik, który tym samym pomaga sobie. „Anonimowi Alkoholicy są wspólnotą mężczyzn i kobiet, którzy dzielą się nawzajem swoim doświadczeniem, siłą i nadzieją, aby rozwiązać swój wspólny problem i pomagać innym w wyzwoleniu się z nałogu. Wspólnota AA nie jest związana z żadną sektą, wyznaniem, partią, organizacją lub instytucją. Nie angażuje się w żadne publiczne polemiki. Nie zajmuje stanowiska w jakichkolwiek spornych problemach. Naszym najważniejszym celem jest pozostawać trzeźwym i pomagać innym osiągnąć trzeźwość.”

Program AA został zbudowany w taki sposób, że prowadzi nie tylko do wymuszonej — na zasadzie samodyscypliny — abstynencji, lecz od wewnętrznej przebudowy chorego, do zastąpienia nałogu czymś od niego silniejszym, ale pozostającym do tego nałogu w jakimś stosunku. Program AA pozwala alkoholikowi przełamać poczucie osamotnienia i izolacji. Przede wszystkim jednak demaskuje zakłamanie, które stanowi jeden z zasadniczych objawów choroby alkoholowej. Alkoholik stale przecież oszukuje otoczenie i samego siebie, stwarza całą siatkę pseudouzadnień, po-



Dużo i szybko, koniecznie wódka, pod papieroska...

zwalających mu szukać ucieczki w alkohol. Jeśli nie ma problemów, to stara się je sztucznie tworzyć. We wspólnocie psychoterapeutycznej, jaką jest grupa AA, każde kłamstwo ma krótkie nogi, bo alkoholik alkoholika nie może oszukać. Grupa pracuje w czasie stałych spotkań, na których członkowie grupy mówią o swoich problemach, o tym jak je przezwyciężali, jakich imali się sposobów, aby wytrwać w abstinencji. Praca ta opiera się na specjalnym programie bazującym na tzw. dwunastu stopniach. Pierwszy stopień osiąga się przed samym sobą do bezsilności wobec nałogu, akceptuje swoje status quo i swoją życiową klęskę. Nie jest to takie proste, bo alkoholikowi najtrudniej przychodzi przyznać się do własnego alkoholizmu. Następnie musi uwierzyć, że istnieje potęga silniejsza od niego samego, tylko ona może przywrócić mu zdrowie i trzeźwość, dlatego też trzeba się jej bez reszty podporządkować. Tą potęgą jest zazwyczaj Bóg, absolut, tak jak zainteresowany go pojmuje. Jego głosu trzeba słuchać. Łączy się to z dokonaniem trudnego obrachunku z dotychczasowym życiem, wyliczeniem swoich grzechów i grzeszków, ułożeniem listy poszkodowanych i wyrządzonych im krzywd wraz z programem rekompensaty. Odbywać się to ma przy stałym odwoływaniu się do Boga, absolutu — w pokorze, modlitwie, medytacji.

Realizacja programu AA sprawia, że chory nie tylko odchodzi od nałogu, lecz właściwie rodzi się na nowo i staje się innym, lepszym człowiekiem. Tego, co naprawdę dzieje się w grupie, a zwłaszcza więzi, jaka wytwarza się między członkami grupy, nie da się zwerbalizować — to trzeba po prostu przeżyć. Przy czym wszyscy są tam sobie równi, bo alkoholizm intelektualisty niczym nie różni się od alkoholizmu prostytutki. Jest to najbardziej „demokratyczna” z chorób. AA jest rodzajem formacji i zarazem terapii, najskuteczniejszej ze wszystkich dotychczas sprawdzonych. Ponad połowa alkoholików, którzy dobrowolnie przystąpili do ruchu, przestała pić, przy czym okres od przystąpienia do AA do abstinencji jest inny u różnych osób.

Ruch Anonimowych Alkoholików przeniknął na grunt polski dwadzieścia kilka lat temu. Jego kolebką był Poznań. Międzynarodowe Targi Poznańskie ułatwiły nawiązanie pierwszych kontaktów i przyjaźni z alkoholikami ze Stanów Zjednoczonych i z Europy Zachodniej. Jak wszystko, co nie jest objęte koncesją władzy ludowej, tak i

ruch AA w Polsce był i właściwie nadal jest czymś podejrzanym, dwuznacznym, niepewnym, trzeba go „bacznie obserwować i brać pod lupę”. Problemem jest także brak literatury fachowej, jak też możliwości jej powielania i kolportażu, problemem jest rejestracja ruchu, czy choćby zaakceptowanie przez władze faktu jego istnienia. Ale ruch posiada wielu zwolenników wśród wyleczonych z alkoholizmu, którzy w AA widzą sens swego życia. Powstają coraz to nowe grupy (jest ich już chyba kilkaset), odbyły się dwa ogólnokrajowe zjazdy, coraz więcej miejsca poświęca tej sprawie prasa i propaganda. Zwłaszcza miesięcznik *Problemy Alkoholizmu*, doceniany i chwalony przez fachowców za granicą, stara się przybliżyć problematykę AA zainteresowanym potencjalnym uczestnikom ruchu.

Mówię o tym wszystkim moim gościom. Staram się dodać im otuchy, rozbudzić jakąś nadzieję. Podaję im adresy, telefony. Może ten rodzaj terapii okaże się skuteczny i w tym przypadku.

Pewną szansą dla leczenia skutków alkoholizmu w Polsce są także inne formy ruchu tzw. samopomocy. Chorzy, którzy przeszli przez odwykawkę, przez określony cykl leczenia mogą znaleźć swoje miejsce w całej sieci klubów abstynenckich. Kluby te funkcjonują w taki sposób, by zapewnić alkoholikowi lukę, jaka tworzy się w jego życiu w momencie zerwania z nałogiem. Zapobiegają recydywie nałogu. Pomiędzy rzeczywistymi potrzebami a aktualnymi możliwościami ruchu samopomocy istnieje jednak przepaść. Ruch stwarza szanse dla tysięcy, potrzebujących są miliony. Ale to, co jest też się liczy i daje pozytywne rezultaty, jak wszędzie tam, gdzie nie tłumi się autentycznej inicjatywy i nie nakłada na nią urzędowych kagańców. ■

Dokończenie ze str. 56

Miał też powiedzieć, że wniósł sprawę o rozwód, a może źle go zrozumiała. Potem okazało się, że żadnego pozwu rozwodowego w sądzie nie było. Mówił jeszcze wiele rzeczy, które ją raziły, ale ich nie zapamiętała. Podobnie jak nie mogła przypomnieć sobie momentu, w którym chwyciła za nóż. Oprzytomniała dopiero wtedy, gdy ujrzała Tadeusza leżącego na podłodze w kałuży krwi. Dalszych wydarzeń tego wieczoru nie pamięta. Nawet tego, w jaki sposób znalazła się za kratami. Teraz już po rozprawie sądowej wie tylko, że ma za nimi spędzić osiem nieskończenie długich lat. I że życie nie ma już dla niej wartości. ■

Mirek — alkoholik

Pogląd: Przedstawił mi się pan jako Mirek-alkoholik, dlaczego właśnie tak?

Mirek: Moje nazwisko jest chyba nieważne. W środowisku, w którym się obracam, związanym z klubem Anonimowych Alkoholików, wszyscy się sobie tak przedstawiamy. Mirek-alkoholik, Jan-alkoholik itd.

— Ale dlaczego? Przecież pan już nie pije?

— Nie piję, oczywiście.

— Nigdy? Może jednak od czasu do czasu?

Na przykład z okazji imienin albo świąt?

— Absolutnie nigdy, ani kropli. Widzi pani, alkoholik, który przestał pić nie może sobie już nigdy pozwolić na wypicie ani jednego kieliszka. Bo jeśli to zrobi — wypije drugi, trzeci, czwarty i dziesiąty. To się u nas nazywa „wpadka”, czyli powrót do nałogu. Na tym polega właśnie choroba alkoholowa, że samemu nie sposób się kontrolować ani ograniczyć.

— A mniewał pan „wpadki”?

— Wielokrotnie. Ale nie chciałem o tym mówić.

— Dlaczego? Jeśli dobrze wiem, jedną z metod kuracji stosowanych w klubach A.A. są szczere zwierzenia i rozmowy na temat nałogu.

— To prawda. Kiedy przyszedłem do klubu, opowiedziałem kolegom o sobie wszystko. Nie wstydziałem się ich, oni także byli alkoholikami, którzy chcieli wyleczyć się z picia i na zawsze zerwać z nałogiem. Przyjęli mnie serdecznie, a ja zadowolony. Wstydziałem się ich, a może bardziej jeszcze lekarzy i psychologa, którzy okazali mi wiele życzliwości i pomocy. Ale kiedy po każdym upadku wracałem, znów znajdowali dla mnie wyrozumiałość i życzliwość. Aż naprawdę przestałem pić. Już od trzech lat nie miałem w ustach kropli alkoholu i wierzę, że potrafię wyrzec się go na zawsze.

— Zapewne nie tylko pan miał „wpadki”...

— Oczywiście. To się zdarza i innym. Alkoholizm jest nałogiem, z którym zerwać bardzo trudno. Nawet wtedy, kiedy się jest leczonym.

— Czy są tacy, którzy mają „wpadki” i nie wracają?

— Niestety są. Próbujemy im pomóc, znów przyciągnąć do klubu, ale nie zawsze się to udaje. Gdy wracają do kieliszka, zaczynają od nas stronić.

— Wiemy już, kiedy przestał pan pić. A kiedy pan zaczął?

— Wczesnie, bardzo wczesnie. Miałem szesnaście lat. Straciłem właśnie ojca i wuj wystarał mi się o posadę gońca w jednym biurze. Gdy tylko zacząłem tam pracować, zauważyłem nie bez zdziwienia, że pod koniec dnia pracy urzędnicy zaczynają popijać. Początkowo starali się robić to tak, żebym nie widział. Ale potem zaczęli posyłać mnie po wódkę i częstować alkoholem. Pamiętam, że zakrzusłem się pierwszą wypitą szklaneczką. U nas w domu nikt nie pił, ani ojciec, ani matka. Zaimponowało mi jednak, że ludzie znacznie starsi ode mnie i wykształceni zapraszają mnie, żebym z nimi wypił. Chciałem pokazać, że jestem dorosłym mężczyzną, piłem więc, choć początkowo wódka wcale mi nie smakowała, dopiero po paru miesiącach.

— Długo pan pracował w tym biurze?

— Niecałe dwa lata. Przez ten czas biurowy zwyczaj wspólnego picia był kontynuowany. Kiedy po pierwszej znikali ostatni interesanci, kierownik administracji otwierał szafę, w której obok akt przechowywał butelki z wódką. Gdy jej brakowało, pracownicy robili zrzutkę i biegiem do sklepu po butelkę lub butelki, w zależności od tego, ile się akurat uzbierało. Oczywiście ja ze składek byłem zwolniony. Byłem najmłodszy i miałem naj-

niższą pensję. Potem zacząłem tak załatwiać sprawy na mieście, aby być w biurze, gdy zacznie się popijanie. Kiedyś po wypłacie kupiłem pół litra i począstowałem znajomych chłopaków w naszej kamienicy. Niektórzy z nich byli starsi ode mnie i pili już od dawna. Teraz i oni zaczęli mnie częstować, nie zawsze wódką zresztą, czasem piwem, winem „patykiem pisanym”, bywało, że i denaturatem. Tak się jednak utarło, że po wypłacie stawałem ja. Stawiałem coraz częściej i coraz mniej pieniędzy przynosiłem matce do domu. Aż kiedyś wpadliśmy w ciąg, jeden z chłopaków był akurat przy forsie i stawał. Nie byłem wtedy przez tydzień w biurze i wylali mnie za nieusprawiedliwioną nieobecność. Pamiętam, że bardzo to przeżyłem.

— **Pomimo to pił pan dalej.**

— Tak, piłem. Nauczyłem się pić tak, żeby nie wydawać pieniędzy na alkohol, bo przeważnie byłem bez grosza. To mi się udawało przez pewien czas. Zawsze znalazł się ktoś, kto postawił. A kiedy nie było alkoholu ani pieniędzy, wynosiłem z domu rzeczy i sprzedawałem na pobliskim bazarze. Matka robiła mi awantury, czasem wpadała w rozpacz, ale mnie stało się to obojętne. Potem udało mi się znaleźć pracę na budowie, miałem więc znów pieniądze na wódkę. Tam wszyscy pili począwszy od majstra, byłem więc wśród swoich. Nie zdawałem sobie jeszcze wtedy sprawy, że bez wódki nie mogę się obyć. Po prostu picie sprawiało mi przyjemność, po wódce świat wydawał się lepszy, a życie znacznie prostsze.

— **A kiedy uświadomił pan sobie swoje uzależnienie od wódki?**

— Dopiero po wielu latach. Zresztą już przedtem kilkakrotnie próbowałem się leczyć. Ale bez rezultatu, zawsze znów wracałem do kieliszka. Kiedyś, po jakiejś drace na budowie (podobno rzuciłem się wtedy na kolegę, a byliśmy już zalani), poszedłem do przychodni przeciwalkoholowej. Lekarz odniósł się do mnie surowo, dał mi jakąś pastylkę, a potem kazał wypić kieliszek wódki. Trudno opisać, co się wtedy ze mną działo. Myślałem, że wykorkuję, byłem przerażony. Ta pastylka to był anticol, najczęściej używany lek przeciwalkoholowy. Gdy poczułem się lepiej, lekarz dał mi więcej tych pastylek i powiedział, jak je zażywać. Brałem je przez trzy miesiące i nie piłem, bo się bałem. Ale potem zmieniłem pracę, wyjechałem na Śląsk razem z kolegą, bo tam mogliśmy lepiej zarobić. No i znów się zaczęło. W nowym miejscu musiałem się wkupić, to znaczy po-

stawić, więc przestałem brać anticol i znów zacząłem pić. Pracowałem wtedy w handlu jako konwojent, zdarzało się, że woziliśmy również alkohol, więc zawsze udawało się coś skombinować dla nas i dla kumpli. Często mieliśmy stłuczki, inni konwojenci też mieli stłuczki, pisało się protokół, to była normalna rzecz.

W tym okresie piłem już regularnie, co dzień, coraz częściej od rana. Żeby opanować kaca, trzeba było wypić klina przed pójściem do pracy. To pomagało, przywracało siły i humor. Pilnowałem jeszcze, żeby kierownik nie zauważył, ale przed kolegami nie musiałem się ukrywać, oni robili to samo. Jednego wieczoru, kiedy po pracy piliśmy w pakamerze i chcieliśmy zrobić zrzutkę, zorientowałem się, że nie mam portfela. Ktoś mi go ukraść, i to ktoś z kolegów. Wpadłem w straszną złość, w ogóle w tym czasie byłem okropnie nerwowy. Zrobiłem awanturę, zacząłem łamać i tłuc wszystko co pod ręką. Nie wiem, kto wezwał milicję. Zabrali mnie na komendę, tam się jeszcze awanturowałem, po wódce zawsze czułem się bardzo odważny, ale oni mają na to swoje sposoby. Jeszcze mi się mdło robi na wspomnienie manta, jakie mi spuścili. Miałem podbite oko, złamane trzy żebra, siniaki na całym ciele, głównie od butów. Parę tygodni później stanąłem przed sądem. Dostałem dwa lata za czynną napaść na funkcjonariusza MO, chuligaństwo i nie wiedzieć co jeszcze. A sąd tłumaczył, że to łagodny wyrok, bo byłem dotąd nie karany i miałem dobrą opinię w pracy. Ponad półtora roku przesiedziałem w więzieniu. Potem rozchorowałem się ciężko i zostałem zwolniony.

— **W więzieniu pan chyba nie pił?**

— Nie piłem, oczywiście, ale czułem się fatalnie. Wódka śniła mi się po nocach. A kiedy wyszedłem, od razu poszedłem w cug. Chyba przez tydzień byłem nieprzytomny. Potem wyładowałem w szpitalu. Lekarze wydziwiali nad moją wątrobą, próbowali leczyć, mówili, żebym przestał pić. Nawet chyba to sobie wtedy obiecywałem. Po wyjściu ze szpitala wróciłem do N., do matki. Cztery lata wcześniej wyjechałem z domu bez pożegnania. Matka miała do mnie stale pretensje o to, że piję, że nie daję na dom i jeszcze sprzedaję jej rzeczy. Ale potem, kiedy siedziałem, przebaczyła mi i nawet zapłaciła adwokata. Byłem przecięć bądź co bądź jej synem. Zresztą po pobycie w szpitalu znów przestałem pić i nawet regularnie brałem anticol. Chciałem żyć, byłem młody, miałem zaledwie dwadzieścia cztery lata, a lekarze

mówili, że przez wódkę może być ze mną źle.

W N. znalazłem pracę w magazynie i tam poznałem dziewczynę, w której się zakochałem. Ona nic nie wiedziała o mojej przeszłości i myślała, że w ogóle nie piję. Nawet niezbyt jej się to podobowało. W pracy po robocie koledzy często rozpijali butelkę wódki, ona też brała w tym udział. Przez pierwsze parę miesięcy mówiłem, że nie piję i chociaż wyśmiewali się ze mnie, wychodziłem. A potem zacząłem z nimi pić. Ale jakoś udawało mi się kontrolować. Zależało mi na Ewie. Wtedy już wyznaczony był nasz ślub. Moja narzeczona nie miała pojęcia, że wychodzi za alkoholika. Robiłem wszystko, żeby się przed nią maskować.

— **Nawet założenie rodziny nie powstrzymało pana od picia?**

— Powstrzymało na pewien czas. Póki Ewa pracowała razem ze mną w magazynie, trudno było mi pić, tak żeby nie widziała. Ale potem ktoś z rodziny załatwił jej lepszą pracę w sklepie. Z magazynu wracałem więc sam i mogłem po pracy wypić z kolegami. Piłem niewiele, tak, żeby tego nie zauważyła, ale matka, u której mieszkaliśmy, od razu zorientowała się, że moja abstynencja się skończyła. Nigdy jednak nie robiła mi wyrzutów przy żonie, nie chciała popsuć naszego małżeństwa. Ewa była wtedy w ciąży. Kochałem Ewę i cieszyłem się, że będziemy mieli dziecko, a przecież nie potrafiłem powstrzymać się od kieliszka. Tylko tyle, że teraz postanowiłem oszczędzać. Nie chodziłem już z kolegami po barach, tylko kupowałem butelkę wódki i wypijałem ją samotnie w drodze powrotnej do domu. W ładną pogodę siadałem na jakiejś ławce, w zimno i deszcz wchodziłem do bram. Towarzystwo już wtedy nie było mi do picia potrzebne.

Moja żona zaczęła jednak orientować się, co się święci. Nie wiedziała, że piję od dawna, myślała, że to coś nowego w moim życiu i błagała, żebym przestał, bo popadnę w alkoholizm. Początkowo zawsze znajdowałem jakieś usprawiedliwienie: a to wypilem, bo były imieniny kolegi, a to piłem, bo musiałem coś załatwić przez bufet, a to spotkałem starego kumpla, który mnie zaprosił. Raz jednak, kiedy wypilem znacznie więcej niż zwykle, a ona zaczęła swoje, znów wpadłem w nerwy, nie wytrzymałem i pobilem ją. Nazajutrz przepraszałem, ale Ewa nie przebaczyła mi i wyniosła się do swego brata. Po trzech miesiącach urodził się nasz syn. Z tej okazji tak się upiłem, że przez kilka dni nie chodziłem do pracy. Kierownik chciał mnie zwolnić, ale jakoś rozeszło się po ko-

ściach. Przestraszyłem się, że stracę pracę, a przecież chciałem odzyskać żonę i cieszyłem się z przyjścia na świat syna. Znów poszedłem do lekarza i pozwoliłem wszyć sobie esperal. Ewa oczywiście o tym nie wiedziała, ale uwierzyła w moje przysięgi, że nie wezmę więcej do ust alkoholu. Ze szpitala wróciła do domu i zaczęło się normalne życie. Cóż, kiedy nie wytrzymałem...

— **Pił pan pomimo wszytego esperalu?**

— No nie. Spotkałem starego kumpla, który tak jak ja, był alkoholikiem. Powiedziałem mu o mojej rodzinie i o esperalu. Wyśmiał mnie. Sam miał już kilkakrotnie wszywany esperal i zawsze go wydhubywał. Zrobił to i mnie. Po sześciu miesiącach unikania alkoholu. Naturalnie upiliśmy się razem jeszcze tego samego dnia. No i potem można powiedzieć, że wszystko wróciło do normy.

Po dawnemu piłem codziennie, rodzina jakby przestała mnie obchodzić. Żona robiła mi wymówki, coraz częściej dochodziło do awantur, również o to, że nie daję pieniędzy na życie. Ewa po urlopie macierzyńskim powróciła do pracy, matka miała emeryturę, ale to nie wystarczało. Mnie na wódkę też ciągle było mało, kiedyś więc wyciągnąłem pieniądze schowane na życie. Ewa płacząc zapytała, co będziemy jedli do końca miesiąca. Zdenerwowało mnie to i znów ją uderzyłem. Nazajutrz ode mnie odeszła. Zawsze miała oparcie w swojej rodzinie.

Teraz ja wpadłem w rozpacz, poszedłem do lekarza i wszyłem esperal. Tak było jeszcze kilkakrotnie. Żona odchodziła, ja przestawałem, przysięgałem poprawę, udawało mi się skłonić ją do powrotu, bo przecież i jej zależało na utrzymaniu rodziny i po jakimś czasie wszystko zaczynało się od nowa. W końcu doszło do tego, że straciłem pracę, najpierw tę w magazynie, potem drugą w prywatnym zakładzie malarskim. Kiedyś tak pobilem żonę, że pogotowie zabrało ją do szpitala ze wstrząsem mózgu i złamaną ręką. Gdy wyzdrowiała, wystąpiła o rozwód. Matka też nie chciała już ze mną mieszkać. Pojechała na wieś do swojej siostry, której miała pomagać w gospodarstwie. Zostałem sam w mieszkaniu, bez pieniędzy, dręczony tęsknotą do alkoholu i chorobą. Moja wątroba znów dała znać o sobie. Wtedy zrozumiałem, że ginę i postanowiłem się ratować. Poszedłem do lekarza, a on powiedział mi o istnieniu klubów Anonimowych Alkoholików.

Dokończenie na str. 70

O kondycji narodowej Białorusinów

Trwa martwota na polskim forum w kwestii białoruskiej. Żaden to, oczywiście, fenomen. Jakkolwiek jednak w polskich oczach wyglądałaby ta kwestia, i jakie by tam nie były w niej obiektywne i subiektywne utrudnienia z obu stron, przemilczanie sprawy do niczego prowadzić nie może. A właśnie z białoruskiej strony jawi się konkretny prowokujący by owo milczenie przerwać. Po publikacji zbiorowej krajowego „drugiego obiegu” – „Argumenty do dialogu polsko-białoruskiego” („Przedświt”, 1985, s. 186) – druga to jaskółka, która zwiastuje tu, być może, wiosnę.

Ów konkretny prezentuje nam Sokrat Janowicz książką „Białoruś, Białoruś” wydaną nakładem „Iskier” (1987). Autor jest białoruskim pisarzem z Białegostoku. Tytuł – jakby zawołanie czy nawoływanie? – dobrze odpowiada treści. Stanowi ją jeden wielki krzyk patriotyzmu białoruskiego. Brzmi autentycznie. Zmusza, by nastawić ucha. Jest prowadzony na jednej nucie – narodowych łęków po krawędź przerażenia i rozpacz – trudno więc dziwić się, że krzykowi owemu nie zbywa na melodyjności i harmonii.

Używam słowa „patriotyzm”, aby z góry wyeliminować rozpowszechnioną polską praktykę pojęciową, iż patriotami to bywamy my, inni zaś – a w szczególności Białorusini, Litwini i Ukraińcy – jeśli są rozbudzeni narodowo, stają się z definicji nacjonalistami... Otóż stwierdza Janowicz wprost, acz dopiero po dobrej połowie swych rozważań: „...moją religią jest białoruskość; jestem na nią chory! Znajduję ją w kamieniu i w drzewie, w napotkanym człowieku i wyrazie jego twarzy. Niełatwo mi pisać o niej wprost, o Białorusi; jest z tym trochę tak, jak z próbą opisu śmierci mego ojca; każda sekunda je-

go konania jest dla mnie tak wielką świętością, że nie potrafię zdobyć się na opis, chociaż nieraz próbowałem...” (s. 92) I w innym miejscu (s. 75): „Czasami aż dziw mnie bierze, że w tym samym ujęciu owo ciągłe dumanie o Białorusi. Jest w nim jakaś darwinowska fascynacja kłębiącą się wokół walką – słabeusze przeklinają siebie za porażkę, zwycięzcy słusznie nie są zupełnie pewni zwycięstwa, biedni nienawidzą nędzy, a każdy żywi jakąś nadzieję. Białoruskie życie narodowe po dziś dzień dąży do całkowitego spełnienia...” (podkr. wszędzie moje – K.P.). A w ślad za deklaracjami biegną w książce, strona po stronie i akapit po akapicie, egzemplifikujące epizody oraz refleksje.

Są one z reguły gorzkie, skarżące się; nawet tam, gdzie w słowach pobrzmiwia optymizm czy satysfakcja białoruska, polskie ucho odbiera je dwuznacznie... Średniowieczne rody, plemiona, księstwa i grody – białoruskie – miały żyć i rozwijać się, jak wszędzie w Europie. Być może, ale jako zbyt gładko opanowali to wszystko zbrojnie i politycznie Litwini, jeszcze pogańscy, przecież nie nazbyt liczni, a cywilizacyjnie z pewnością ustępujący Rusinom; i później ekspansja polska (i katolicka), kulturowa przede wszystkim, zagarniająca bezkrytycznie białoruskie elity po średnią szlachtę włącznie i zmagająca się o tę ziemię – tu już nie zawsze na kulturowe jedynie argumenty – z ekspansją Moskwy oraz Tatarów. Nasz autor pracowicie i z sercem wyszukuje w tym wszystkim okrucichów i śladów białoruszczyzny. Nie ma powodu mu zaprzeczać: Ale to jest narodowa archeologia; temat z natury rzeczy smutny, jak każda pamiątka po tym, co dawno przeminęło, nie dając z siebie – także zdaniem Janowicza – dość żywotnych i

silnych nowych generacji. Ale nie mówmy już tylko o średniowieczu. Takie samo wrażenie martwych s k o r u p wywołują janowiczowskie wspominki o białoruskich próbach niepodległościowych z 1918 roku, o największym, jak dotąd, i j e d y n y m masowym ruchu społeczno-politycznym Białorusinów, „Hromadzie” w międzywojennej Polsce, ruchu opanowanym przez komunistów, a rozbitym przez polski kontrwywiad i policję... Wrażenie — jakby wręcz sugerowane janowiczowską gawędą; oto przychodzi II wojna światowa i dzieją się rzeczy olbrzymie i straszne; np. ginie co p i ą t y mieszkaniec Białorusi, ale żadnych spraw białoruskich już nie ma, jeśli książce tu... wierzyć.

A sprawy białoruskie dzisiaj? Oczywiście, pamiętajmy o szczególnej delikatności cenzuralnej tematu. „Białorusini — czytamy (s. 27) — chorują na niedorozwój n a r o d o w y.” Nie przeoczmy, iż autor stosuje czas teraźniejszy. I pisze dalej: „...Naród mój białoruski, żywcem pogrzebany przez macoszą mu Historię... powstał z grobu, tu i ówdzie powodując wśród swych nieprzyjaciół pogański wrzask!... Nie wypada, panowie, dokucać mu, że s ł a b u j e nieprzywoicie p r z e w l e k l e.” Nie oglądajmy się — my, Polacy — za siebie, szukając adresata tych słów; to mowa do nas i o nas. Podejmiemy ten temat niżej nieco. Tutaj podkreślmy autorskie przekonanie o współczesnym białoruskim „niedorozwoju” i „stłowaniu” oraz spróbujmy je ubrać w jakie takie konkrety.

„Nasza, Białorusinów, sytuacja emocjonalna — pisze Janowicz — na dobrą sprawę pozostała nie zmieniona. Owszem, zaszły zmiany w samopoczuciu nowoczesnych patriotów ...o ileż pewniej poczynają sobie obecnie, czując grunt, jaki stanowi ukształtowana wreszcie kultura wszechbiałoruska. To nie, że nosi ona ciągle ...znamię chłopskości... W Mińsku, Wilnie czy Białymstoku p o m i m o r e w o l u c j i społecznej sprawa wygląda identycznie, a różnice nie wykraczają poza specyfikę regionalną. Tu i tam obrzydłe gadanie: Pan stałe tak, po białorusku? Jest pan pewnie z wiochy, albo tutejszy artysta?...” (s. 167-168).

Gorzko to brzmi. Gorzko tym bardziej, że w innych partiach janowiczowskiego pisania aż roi się od faktów bądź iluzji, które stawiają poważny znak zapytania nad twierdzeniem o ukształtowaniu się „kultury wszechbiałoruskiej” dziś, u schyłku XX wieku. „Bez j ę z y k a nie ma kul-

tury — stwierdza autor w innym miejscu — Gdzie istniała mowa białoruska, tam można mówić o kultywowaniu ducha tego narodu.” (s. 94). A jak ta „mowa” egzystuje teraz?

Można tego łatwo samemu doświadczyć np. w Białymstoku — na ulicach, targowiskach, w sklepach, knajpach — jeśli się wie, iż żyje tutaj, najskromniej licząc, kilkadziesiąt tysięcy etnicznych Białorusinów (co piąty mieszkaniec!), a łatwiej usłyszeć „mowę” Goethego czy Szekspira, aniżeli Janki Kupały. Dlaczego? Tłumaczy to epizodem sam Janowicz. Kolega-świądek z rodzinnych, nadgranicznych Krynek rozmawia z nim w „cztery oczy” po białorusku, ale p r o t e s t o w a ł b y, gdyby autor przemówił tak na gromadzkim zebraniu.

Jest gorzej, a tendencja zmian rysuje się jednoznacznie i ponuro. Na białostockożyźnie ledwie kilka tysięcy dzieci uczestniczy w szkolnej nauce języka białoruskiego na poziomie podstawowym, ledwo kilkadziesiąt — na poziomie średnim; z najostrzej szacowanego potencjału demograficznego Białorusinów wynika, że powinno być takich dzieci przynajmniej d z i e s i ę ć razy więcej. Nie dziwota więc, iż wśród tamtejszych Białorusinów znajomość w ł a s n e j kultury jest minimalna, poniżej krytycznego progu jakiegokolwiek w tej kulturze w s p ó ł u c z e s t n i c t w a, zaś znajomość własnej drogi dziejowej oraz współczesnego położenia narodowego — społecznie — żadna. A co najgorsze, nie widać tutaj białoruskiej samoobrony, naporu na władzę, o ile w polityce szkolnej tkwi przyczyna, mobilizacji i agitacji „swoich”, jeśli są w tym opieszali. W czasie p o l s k i e j „anarchii”, zbuntowane na poły białostockie koło „Białoruskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego” — opisuje Janowicz — podjęło próbę mobilizacji Białorusinów za pomocą ulotek. „Rodacy. Zapisujcie swe dzieci na lekcje języka białoruskiego w szkołach białostockich... Los n a r o d u i l o s j e g o j ę z y k a — to ten sam los.” (s. 169). Zgłoszono trzydziścioro dzieci; mniej niż jeden promil białoruskiej populacji w mieście.

Autor chce interpretować to optymistycznie: „Coś się odmienia jednak w tym zahukanym światku parweniuszy z pańszczyźnianą genealogią: dobijają na wyżyny człowieczeństwa, choć jeszcze zalewani grzywaczami s a m o p o g a r d y i s a m o o p l u w a n i a się rabów.” (tamże). A czyż nie należałoby raczej

o o d b i j a n i u się tych ludzi, na skalę społeczną, od własnej narodowości ku innej? Na polskie oko nie wygląda to już na dramat; to białoruska tragedia.

A może tak jest tylko u nas, w granicach PRL? W warunkach bytowania Białorusinów, jako mniejszości, i w obliczu „szalejącego” polskiego nacjonalizmu? Może na „wielkiej Białorusi” — w „radzieckim państwie Białorusinów”, jak dyplomatycznie tytułuje Janowicz BSRR — widzi on sytuację narodową jako lepszą?

Narodowe problemy Białorusinów, jeśli Janowiczowi tu wierzyć, i w ogóle jakiegokolwiek problemy, kończą się na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych, i to eufemistycznie — błędami Stalina (a nie szefa państwa „radzieckiego”) oraz wypaczeniami „jeżowszczyzny” (nie zaś określonym, legalnym i oficjalnym kursem polityki nie tylko narodowościowej WKP/b/, realizowanym z leninowską konsekwencją aż po masowe ludobójstwo). Jednak faktu, iż współczesna mińska Białoruś miałaby być jedynym na świecie, b e z p r o b l e m o w y m, krajem, tak łatwo do uwierzenia przyjąć nie sposób.

Ot, żywy obrazek z miasteczka Raków, (ongi siedziby ks. Sanguszków): „W ryneczku — domostwo Januskiewiczów. Nie przeczuwam olśnienia, którego doznam za chwilę. Oto oczom moim ukaże się ...prywatny o ł t a r z ku czci kultury białoruskiej. Wita nas starszy z braci... n a r o d o w i e c (wtrąćmy, iż takie określenia w ZSRR, to już nawet nie donos, lecz wprost dostarczanie człowieka pod kryminal — przyp. K.P.) w gorącej wodzie kąpany i nawiedzony artysta-plastyk, a także archeolog-amator i kolekcjoner staroci. Swoją salon upiększył na wzór ewangelii dwunastoma malowidłami sufitowymi — widniały na nich podobizny apostołów Białej Rusi. Komnatę obok wybił oryginalną tkaniną ludową z czasów naszych dziadków; regały wypełnił ceramiką wykopaliskową ...Na podwórzu — rozkopalko: odkrywka siedemnastowiecznej kaflarni? Na werandzie, własnoręcznie stylizowanej na średniowieczną karczmę, degustowaliśmy miody i zapamiętałe rozprawialiśmy, przelatując... białoruskojęzyczne Statuty Litewskie, ów pionierski w skali kontynentu kodeks praw, rozważając politykę dynastyczną Jagiellonów... przewagę instynktu klasowego nad narodowościowym wśród wielu wieśniaków ect. Dostaję w prezencie katalog wystawy obrazów... zorganizowanej w mińskiej galerii z okazji setnej rocznicy przyjścia na świat bun-

towniczej Paszkiewiczanki-Ciotki, poetessy Młodej Białorusi. Mój Boże, jej rodzona siostra dożyła sędziwego wieku jako repatriantka (sic!) pod Łodzią...” (s. 159-160).

Czy wznoszenie sobie w rodzinnym mieszkaniu „ołtarz narodowy” nie oznacza przypadkiem, mniej lub więcej oświadczonego stanu zasadniczego z a g r o ż e n i a narodowej substancji? Takiego zagrożenia, że linię konfrontacyjną wyznacza już domowy próg?

★ ★ ★

Jakie cele mogły przyświecać Janowiczowi, gdy przedsięwziął trud napisania i wydawania — w języku polskim — swej szczególnej książki? (Wydawanie trwało sześć lat!) On sam oświadcza, iż „k u p o z y s k a n i u s e r c p o l s k i e h.”(s. 144). Przypuśćmy.

To tylko wydaje mi się pewne, iż droga, którą Janowicz wybrał, nie prowadzi w żaden sposób ku deklarowanemu celowi.

Jest to bowiem droga głównie u r ą g a n i a Polakom, posługując się najtandetniej skleconą scenografią historyczną. Zaraz na wstępie książki (s. 15.) mamy „żołdaków Batorego”, jego samego zaś, tytułowanego per „ten Madziar”, jako tego, który „uruchomił perpetuum mobile fobii religijnych na kresach.” I ani słówka więcej. Nie mamy tu miejsca na wielkie tematy: Batory-Ruś, czy Batory-religia. Odnotujmy tylko, że Janowicz nie może nie wiedzieć, iż Stefan I w polskiej świadomości (aż po naukową historiografię) notowany jest bardzo wysoko; tak więc atakowanie, zjadliwe, pamięci tego króla nie może prowadzić autora do serc polskich czytelników, tylko w stronę zgoła przeciwną... Kazimierz Pułaski po brzostowskićkiej bitwie, czytamy (s. 65) „wygubił «da nahi» (co do jednego) okolicznych zwolenników równouprawnienia innowierców, nielicho pohulał, traktując ich bez namysłu jako pomagierów Moskali.” Ktoś głupstw zwyczajnych autorowi ponawypisywał. Miał wtedy Pułaski pilniejsze rzeczy na głowie niż „zwolenników równouprawnienia”. Ale przecież Janowicz orientuje się chyba co do obecnego miejsca Pułaskiego w „mitologii nadwiślańskiej”, a i nawet dalszej. Gdyby miał autor dowody takowej zbrodni wojennej, czy jest taktowne i pilne ich przedstawianie, jeśli zabiega się o polskie sympatie? A bez takowego przedstawienia rzuca się czytelnikowi w twarz obelgę — i tyle. „...Konstytucja Trzeciego Maja — czytamy (s. 18) — w ogóle prze-

kreśliła Litwę!” I tu fałszywe powoływanie się na Pawła Jasienicę, jako autorytet. Rzecz można skwitować łatwo bezpośrednim przywołaniem autora „Rzeczypospolitej Obojga Narodów” (cz. III, W-wa 1986, s. 464): „Sejm Czteroletni nie pozbawił państwa charakteru federacji, nadał jej tylko formy ściślejsze, bardziej odpowiadające potrzebom czasów nowych. Można ponadto stwierdzić, że Litwa historyczna nie tylko nie znikła, lecz znalazła się na samym przedprożu rozkwitu.” Rozbiory Polski? Janowicz i tego wydarzenia nie pomija: „...Cvikiiewicz c z o ł o w y p o l i t y k m i ñ s k i, z nauką drobiazgowością rozszyfrował bluff obozu belwederskiego... a w opracowaniu „Adrażenie Białorusi a Polska”... dowodnie wykazał z b a w i e n n ą rolę roku 1771 (? – pyt. K.P.) i upadku państwa szlacheckiego dla Białorusi.” (s. 52). A do tego informacja, iż ową rzecz – „naukową” – wydano w Mińsku w 1926 r. ... Na każdy temat, z rozbioremi Polski włącznie, można mieć różne poglądy; ale warto wynotować, że doprowadziły one do białoruskiej republiki Białorusinów, a nie możemy wiedzieć – lecz tylko przypuszczać – co stałoby się z Białorusinami w dalszym związku z Litwą i Polską. Nie wolno jednak żadnego czytelnika, nawet Polaka, traktować jak półgłówka, opowiadając mu poważnie, że była jakaś – w szczególności w Mińsku AD 1926 – białoruska polityka i politycy, czy też „naukowe” studia stosunków polsko-białoruskich, i później spodziewać się życzliwości „serc polskich”, a może zgoła uznania rozbiorów za wydarzenie „jedynie słuszne?”

Im bliżej współczesności, tym z Polakami – zdaniem autora – gorzej. Zaprzepaścili szanse Powstania Listopadowego, stwierdza i tyle tylko dostrzeżę w wymienionym wydarzeniu. Całą problematykę Powstania Styczniowego, dla Litwy i Białorusi szczególnie bogatą, przesłania Janowiczowi postać Konstantego Kalinowskiego – prawda, że postać wielkiego formatu – prezentowanego polskiemu czytelnikowi z uporczywie białoruską transkrypcją imienia i nazwiska, choć równie dobrze mogłoby to być transkrypcja np. litewska. A innym autor wytyka: „Infekcja nacjonalizmu! Nieprzyjmowanie do wiadomości, że są wielcy równie zasłużeni bratnim czy zaprzyjaźnionym kulturom.” (s. 34).

Polskim wrogiem Janowicza numer 1 jest, jak już chyba nie trudno się domyśleć, Piłsudski. Wypowiada się o nim wielokrotnie, z obsesją wręcz,

osobistą niemal nienawiścią. Zważywszy miejsce tego człowieka we współczesnej polskiej świadomości narodowej, nie sposób znów nie uznać janowiczowskiej metody szturmowania „polskich serc” za... oryginalną. Ułożmy rzecz chronologicznie: Rok 1914. „Piłsudski mógł początkowo liczyć na parę tysięcy (ponoć trzy) rozgorączkowanych g i m n a z j a l i s t ó w i k a d r o w c ó w z Polskiej Organizacji Wojskowej (Henryk Sienkiewicz nie życzył sobie wizyty tych awanturników!). (Życzył sobie, życzył, a zwizytował Sienkiewicza m.in. adiutant Piłsudskiego Wieniawa-Długoszewski – przyp. red.). Procarscy puławscy zarzuciliby czapkami kilkuset legionistów, których dowództwo austriackie ubogo uzbroiło w niegwintowane strzelbiska z demobilu.” (s. 174) Nie będziemy tu oczywiście przypominać rzeczywistej historii Legionów. Zwróćmy uwagę przede wszystkim na tonację wypowiedzi! Nie omiamy całkowitej, faktograficznej nieporadności autora, który myli dowolnie liczby, wypacza sens, fałszuje wręcz – bo tego nie zawierają źródła jakiegokolwiek proveniencji – sytuację anty-Legionów, czyli „puławszczyków”. A wszystko to nie przeszkadza mu w tromtadrackich uogólnieniach. No, jeśli z podobną „precyzją” autor poucza nas, Polaków, o sprawach białoruskich, to... uczył Marcina Marcina. Ale sedno w tym, że owe „splątane” kadrówki, POW i Sienkiewicz – nijak się do Białorusi nie mają. Chyba, iż posłużą nam za pretekst, by wyrazić przypuszczenie – że gdyby wówczas Białoruś mogła mieć choć cząstkę swoich „rozgorączkowanych gimnazjalistów”, wyglądałaby d z i ś zupełnie inaczej; niestety, nie było ich wtedy i n i e m a nawet w 70 lat później...

W roku 1919, w walkach z b o l s z e w i k a m i, wkraczając Polacy na Litwę i Białoruś. Żyjący w polskim otoczeniu autor nie może mieć wątpliwości, jak ów fakt oceniają – oraz odbierają uczuciowo – współcześni Polacy. Ale sam pisze tak: „Chłopsy żołnierze Naczelnika Państwa, perorującego o federacji nawet z Łotwą, poczynali sobie na tzw. Litwie jak srogi o k u p a n t, w czym celowały proendeckie oddziały z Poznańskiego, sięjąc większą grozę niż gołowąsi g w a ł c i c i e l e z Galicji” (s. 53). A co do owych „okupantów”... Nie ma tu lepszej odpowiedzi, aniżeli ta, której w latach I wojny światowej udzielił carski generał zanoszącemu do rosyjskiego dowództwa skargi Wincentemu Witosowi: „...na świecie nie było, nie ma i nie będzie takiego wojska, które by nie krało i nie dopuszcza-

ło się gwałtów. Wojsko rosyjskie pod tym względem także wyjątku nie stanowi, mimo że każde wykroczenie on (generał – przyp. red.) surowo karze i karać będzie. Prosi o fakty gwałtów i nadużycia, a natychmiast... winnych pociągnie do odpowiedzialności.” (W. Witos, „Moje wspomnienia”, t. II, Paryż 1964, Instytut Literacki, s. 46). Bywały najcięższe skargi na Wojsko Polskie i na ziemiach najrdzenniejszych polskich; była w składzie tego wojska – obok barwnych ułanów i ofiarnych ochotników – również żandarmeria, jak i sądy polowe, i miały co robić...

Ale z perspektywy już blisko stulecia – i w świetle wszystkiego, co w Polsce, na Białorusi, w Rosji i na całym świecie stało się później – co ma Janowicz do powiedzenia Polakom, gdy w walce z Rosj a n a m i, a w absencji Białorusinów, ważyły się współczesne losy jego, Janowicza, ojczyzny? Czyż Polacy, nawet mimo woli, nie przynosili wówczas a l t e r n a t y w y białoruskiego losu w jego najważniejszych aspektach – etosu narodowego, poczucia tożsamości, orientacji cywilizacyjnej? Alternatywy bynajmniej niesiecielnkowej dla Białorusinów i nie bez poważnych zagrożeń – lecz innych zupełnie niż „radzieckie” – ale czy dla nich aż tak nieistotnej, że aż nie wartej, gdy ma mówić się z Polakami „po duszom”, krytycznego bodaj rozpatrzenia?

Jest u Janowicza, wśród gęstwy żalów i dygresji, zdanie – wydaje mi się kluczowe nie tylko dla książki, ale również dla współczesnego stanu stosunków polsko-białoruskich oraz – co najważniejsze – dla perspektyw kondycji narodowej Białorusinów. Zdanie bardzo pokretnie i tajemnicze... Odnotowuje autor spotkanie w Mińsku, w redakcji białoruskojęzycznego pisma *Maładość*: „Przetwarzam w myślach to, co usłyszałem, a dzięki czemu dobitnie zdałem sobie sprawę z tego, co poprzednio było raczej tworem intuicji: e t o s p r z e d w o j e n n e j Zachodniej Białorusi (czyli należącej do 1939 r. do Polski, wtrąćmy – K.P.) coraz wyraźniej nasyca s u b s t a n c j ę k u l t u r a l n ą republiki. W atmosferze wyzwolenia narodowego (? – K.P.), zwięźzonego odrębnością polityczną BSRR (? – K.P.)...” (s. 154). Jak widać, „wyzwolenie” oraz „odrębność polityczna” znaczą co innego po polsku, a co innego po białorusku. Ale tu mniejsza; ważniejszy jest ów tajemniczy etos zachodnio-białoruski. Co on oznacza? Co zawiera? Janowicz, tak rozmowny przy tematach z „archeologii”, tutaj milczy, jak Sfinks.

Musimy więc poprzestać na janowiczowskiej konstatacji, że j a k i ś etos znad Niemna, ukształtowany tam z udziałem Polski, j a k o ś oddziaływa na etos całej Białorusi. I tak konstatacja to zasadnicza. Nie tylko dlatego, że stawia w innym nieco świetle wielkopolskich „rabusiów” i galicyjskich „gwałcieli”.

A sam Piłsudski? Nie mam tu możliwości rekonstruowania z f a k t ó w polityki Marszałka wobec Białorusinów. I nie zamierzam twierdzić, że z perspektywy jawi się ta polityka, jako we „wszystkim jedynie słuszna”. Ale nie zgadzam się, iż Białorusinów o s z u k i w a ł. Nie był Piłsudski naprawiaczem świata, ani zbawcą narodów, jak Lenin i Stalin; był tylko „rozgorączkowanym” patriotą o genialnych zdolnościach instrumentalizacji swego patriotyzmu drogą politycznego działania, czyli politycznej gry. „Oszukiwanie” w tymże sensie można dopatrywać się od biedy w polityce Marszałka wobec Litwy i Ukrainy, jak wiadomo niezwieńczonej powodzeniem. Z Białorusinami wypadło jeszcze gorzej. Piłsudski nie uważał za celowe prowadzenie j a k i e j k o l w i e k gry; odmawiał im posiadania j a k i e g o k o l w i e k potencjału polityko-twórczego, nie mówiąc już o zdolnościach państwowotwórczych. To właśnie nazywał „fikcją białoruską”. Publicznie. Rozumiem Janowicza, że – jako Białorusin – nienawidzi za to właśnie Piłsudskiego. I wolałby, żeby przyszłość przyznała rację Janowiczowi, a nie Marszałkowi; Białorusini całkiem „jeszcze nie zginęli”, a koleje losów narodów przedziwne miewają meandry. Ale wówczas? Zobaczmy, jak sam Janowicz opisuje proklamowanie białoruskiej niepodległości w 1918 r.: „Rada B(iałoruskiej) R(epubliki) L(udowej)... 25 marca 1918 roku obwieszcza n i e z a w i s ł o ś ć państwową... Po tak przełomowym wydarzeniu dominująca partia hromadowców szybko rozpadła się na mrowie ugrupowań i organizacji, od ugodowych poczynając, a na komunistycznych czy ekstremalnych kończąc... Nie wyłonił się też niekwestionowany przywódca odpowiedniego formatu, nie mówiąc już o odpowiedniku „towarzysza Z i u k a”. Sprawa grzęzła w paplaninie inteligentkich polityków. „Wzruszające do łez racje i argumenty deptanego przez historię narodu nie prowadziły się – niestety – do ziejących ogniem pułków i dywizji, a ich kompletny brak nikogo nie płoszył w tym rozległym państewku bez armii.” (s. 176-177). Bo też i nie było żadnego państewka.

Istniała c h ę ć ku temu ze strony garstki inteligentnej, zrozumiała i godna szacunku. Brakowało najelementarniej pojętej, jak to dziś się mówi, bazy społecznej. Aby stanęły „pułki i dywizje”, muszą odpowiednio wcześniej stanąć szkoły i straże pożarne, prawdziwe partie polityczne, gazety i towarzystwa sportowe, teatry i muzea, kluby dyskusyjne i orkiestry, a niczego podobnego, jak Białoruś długa i szeroka, wtedy nie było; ani legalnie, ani nielegalnie.

A dzisiaj? Fakty, które prezentuje w swej książce Janowicz i dziś jeszcze nie pozwalają odebrać opinii Piłsudskiego na zawsze do archiwum.

Nastała II Rzeczypospolita. Pomiędzy II Rzeczypospolitą, a białoruskimi ruchami narodowymi miał miejsce konflikt; nie umiano w Polsce międzywojennej znaleźć dla tych ruchów miejsca godziwego, a nie zagrażającego Państwu, i nie trudzono się zbytnio, by w ogóle miejsce takie znaleźć, licząc tyleż egoistycznie co naiwnie, że widoczna s ł a b o ś ć białoruskiego poczucia narodowego, a więc i tych ruchów, zdezaktualizuje kwestię z czasem, drogą stopniowej p o l o n i z a c j i Białorusinów z tej strony „ryskiego kordonu”. Miał prawo moralne białoruski ruch narodowy, oczywiście, bronić się i przeciwdziałać. Miał nawet obowiązek! Wybór jednak strategii i taktyki tej obrony nie mógł nie pociągać za sobą stosownych konsekwencji. Znakomita większość działaczy ruchu, o którym mowa – w tym białoruskich, autentycznych posłów do polskiego sejmu, a i całe kierownictwo legalnej, do czasu, organizacji „Hromada” – znalazła się w bezpośredniej służbie... ruchu komunistycznego, czyli „organów specjalnych” BSRR. Działacze ci mogli rozmaicie kalkulować swoje szanse i opcje. My jednak dzisiaj – autora nie wyłączając – wiemy dobrze, co było dalej naprawdę i nie możemy mieć wątpliwości, co oznacza dla narodu – kulturowo, cywilizacyjnie, politycznie wreszcie – „zapisanie się” na komunistów. Te konsekwencje! W II Rzeczypospolitej dla białoruskiej sprawy narodowej „żarty” się skończyły. „Hromadę” rozwiązano, działacze, jeśli nie zbiegli na czas do ZSRR, poszli pod sąd. Białoruski ruch narodowy w Polsce został zniszczony. A za „kordonem” jakby tylko na to czekano. Zarządzono drastyczną redukcję mińskiej „cepeliady”, bo przestała być potrzebna. Redukcję bez przesady, z leninowską pryncypialnością – bo o... głowy działaczy, także i tych, którzy z polskich więzień przeniesieni się skwapliwie do „radzieckiego państwa Białorusi-

nów”. Katastrofa białoruska przybrała rozmiary t o t a l n e, a jej skutki nie zostały przez Białorusinów zneutralizowane po dziś dzień.

Dlaczego autor zataja przed polskim czytelnikiem ten akces białoruskiej reprezentacji do o b o z u „postępu”?

Co autor prezentuje Polakom dalej? Wydarzenie, które szyfrowane jest w oficjalnym obiegu datą 17 września 1939 r. Przepisuje mianowicie od nieżyjącego już płk. Ludowego WP Z. Załuskiego głupstwo, że „Białorusini i Ukraińcy bili się z Niemcami w dywizjach polskich d o k ł a d n i e do 17 września... Później odeszli, wrócili do domów, bowiem Armia Czerwona – tu już Janowicz mówi sam za siebie –niosła im wyzwolenie spod ucisku.” Ładnie? Ale jest i dodatek: „Nasz stosunek do szlachty był o tyle lepszy niż stosunek do trutni, że już nie dążono do jej wymordowania... poprzestano na »rozwałce« r o d z i n y nadleśniczego oraz proroaka Haljasza... jako »sługi eksploatatorów«, za co lewaccy inicjatorzy tych samosądów nie doczekali się głośkania... przez funkcjonariuszy NKWD.” (ss. 88 i 92).

Cóż tu rzec? Haniebny passus. Mogą Janowicza nic nie obchodzić odczucia Polaków – wówczas i dziś. Psychologicznie rozumiałe też, że raduje go każda polska klęska. Ale zawiść i nienawiść powinny mieć jakieś ramy. Bodaj intelektualne; mordy na Polakach – czyli „szlachcie” – i nie tylko na Polakach, oraz napady na Wojsko Polskie nie przybrały, to prawda, charakteru masowego, jak np. we wschodniej Galicji, ale infantylne jest sugerowanie, iż miały miejsce tylko w dwóch wymienionych przypadkach. Bodaj etyczne... Wspomniani „funkcjonariusze NKWD” zasłynęli na Zachodniej Białorusi jako obrońcy ładu, tyle że był to ład „radziecki”; na dziesiątki tysięcy ludzi – w tym dzieci, starcy i kobiety – liczą Polacy swoje ofiary tamże, w ciągu niespełna dwóch lat 1939-41, w wyniku m a s o w y c h egzekucji a i ludowych „wywózek” do Azji. Żyjąc wśród Polaków nie mógł Janowicz nigdy nic nie usłyszeć o K a t y n i u. A dzieło to również wspomnianych „funkcjonariuszy”, dokonane w dodatku na ziemi, Smoleńszczyźnie, do której aspirują ponoć białoruscy patrioci... Dzień 17 września dla Białorusinów otworzył również okres, w którym co czwarty-piąty z nich zginął lub został zamordowany. Nie tylko z rąk niemieckich! Zaraz poszli pod noz „funkcjonariuszy”, o których cały czas mowa, białoruscy

działacze narodowi, a bywało, że i komunistyczni w ramach rozliczeń Moskwy z KPP (i KPZB). Dalsze białoruskie ofiary — także starców, kobiet i dzieci — pociągało za sobą „rozkułaczanie” i wywózki „na Syberię”. A kiedy wtargnęli Niemcy, tu i ówdzie w i a n a b i a ł o r u s k i m i bramami triumfalnymi, w nurcie zmagani dwóch super-potęgi popłynął strumyczek małej białoruskiej wojny domowej. Ruch narodowy wystąpił z aspiracjami autonomicznymi w cieniu III Rzeszy i z czasem białoruskie formacje pomocnicze zaczęły uganiać się po wioskach i lasach za partyzantką „czerwoną”, w niemałym stopniu rekrutującą się z Białorusinów. Miał Janowicz taką okazję, by Polakom — pojęcia o tym nie mającym — ukazać bodaj zarys największej białoruskiej tragedii wszechczasów, wołającej już nie o pomstę do nieba, lecz chociaż o z a p i s — i tak tę okazję, przez małoduszność, zmarnował.

No, dobrnęliśmy w końcu do PRL. Coś w niej przecież się dzieje; trzydzieści pięć milionów Polaków coś tam — w chwilach wolnych od gnębienia Białorusinów — dźbie w polityce, gospodarce, nauce i kulturze, by taktownie wobec cenzora o religii nie wspomnieć...

„Odnowy” czy zmiany niosą nie tylko zagrożenia, ale i szanse. Także i dla Białorusinów. Po pierwsze, jako współobywateli; stopa życiowa, zakres swobód takich i owakich, zaniechanie różnych wypaczeń, albo woluntaryzmów, albo autokracji, a do tego tu i ówdzie jakieś „zielone światła” niechby i mrugające. Po drugie, dla Białorusinów, jako narodowości; chociaż uczestniczą oni we wszystkich „odnowach”, leżąc sobie na piecach (określenie z ulotki białoruskiej w Białymstoku, w r. 1981), to zawsze im z jaśniepańskich stołów coś kapnęło: po Październiku białoruskie szkolnictwo w Polsce, jakie tam ono nie jest, i Białoruskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne, które istnieje i na swój sposób działa do dziś, a które nie mnie charakteryzować. Upadek Gomułki, to prawda, wypadł Białorusinom gorzej; rozpaczliwie ograniczono na Białostoczczyźnie (Janowicz mówi: Kraj Białostocki, dobrze pewnie wiedząc, jak to się Polakom kojarzy) liczbę „funkcjonariuszy” komitetów, prezydiów i komend, którzy mieli „prawosławne” pochodzenie. Sierpień 1980 r. jednak znów zaowocował: nie tylko fermentem, aż po „anarchię”, we wspomnianym Towarzystwie, które na w i o s n ę 1982 szykowało sobie walny zjazd odnowicielski — ale i pojawieniem się, systematycznym, niezależnego białoruskiego „sa-

mizdatu” w PRL. Już kto jak kto, ale Janowicz — literat i taki tropiciel każdego strzępka białoruskich gazetek i w ogóle białoruskiego pisania na przełomie XIX/XX wieku — nie powinien lekceważyć analogicznych faktów kulturowych z przełomu stuleci XX/XXI.

Zły jest los białoruski? Także w granicach PRL? To jakżesz ma on się zmienić, o ile nie nastąpi jakaś z m i a n a? I kto ma go zmienić, skoro Białorusini boją się jakichkolwiek z m i a n? Wspomnienie odnowy 1956, 1970 i 1980 — które można oceniać różnie — są fundamentalnym elementem świadomości żyjących Polaków; więcej — są elementem świadomości elit narodowych innych krajów, które wraz z naszym znalazły się w „obozie”. Szukanie przez Białorusinów zrozumienia i „serca” drogą reklamowania kapitulancstwa narodowego wobec status quo wydaje mi się działaniem bez najmniejszych szans. Zresztą sam przykład białoruskiej kondycji narodowej jest dla wszystkich zainteresowanych dostatecznie wymowny. Oni skapitulowali najpierwsi, a dziś są w sytuacji bez wątpienia najgorszej.

Opozycja w Polsce to też określona część Polaków — nie spierajmy się tu o procenty — oraz polskiej rzeczywistości politycznej i kulturowej. Cóż n a m ma Janowicz do powiedzenia?

„Ze z d u m i e n i e m przyjmuję złość opozycji antyrządowej w kraju i poza nim, skierowaną przeciw nam, Białorusinom, jako że mimo hańbiących kolei swego żywota narodowego s t a n o w c z o opowiadamy się za ledwo odepchniętym zaborcą, Rosją, całujemy się zatem z Rosjanami radzieckimi sierczyściej...” (s. 80). Czyjekolwiek skłonności erotyczne nie wchodzi w zakres niniejszych rozważań. Stwierdzić jednak, że z tą złością opozycji, to gruba przesada. Przede wszystkim nikt o Białorusinach nic nie wie, bo ich ani widać, ani słyhać; bezgłośnie i chyba jałowe — nieodwzajemniane? — są również dla opozycji wspomniane słowiańskie pieszczoły. Gdyby je usłyszała, zdumiałaby się z kolei ona, opozycja, natknąwszy się na kolizję z logiką. Jeżeli Białorusini są wynaradawiani i krzywdzeni „za kordonem”, to przecież przez kogóż, u Boga Ojca, jak nie „radzieckich Rosjan”? I czy aby „ciągle pogłębianie” pieszczoł jest skuteczną metodą narodowej „samosahovy”? A jeśli jest — to po co ten cały janowiczowski lament? Na Polaków, którzy gdyby nawet nie innego na głowie nie mieli, ani przecież chcą unicestwić narodo Białorusinów, ani — najważniejsze — mogą?

Nie wierzę Janowiczowi, gdy deklaruje, iż pisze dla Polaków o Białorusi, a to w celu pozyskania ich sympatii i zrozumienia dla sprawy swego narodu. Gdy składa się wizytę sąsiadowi z zamiarem ubicia z nim jakiegokolwiek interesu, nie wypełnia się przecież tej wizyty przekonywaniem gospodarza, że miał dziadka łajdaka, babcię zaś ladacnicę, że ma żonę brzydką, natomiast dzieci źle wychowane, że wreszcie w domu ma bardzo brudno, a gospodarstwo zrujnowało. Myślę, iż autor napisał tę książeczkę przede wszystkim dla siebie samego; wygramął w niej wreszcie „Polaszczykom”, co o nich myśli, a to daje mu ulgę. Po trosze miał też na uwadze, zdaje się, białoruski ogół z tej i tamtej strony „kordonu”, bo te kilkaset egzemplarzy przeszwarcuje się jakoś do Mińska, a inne kilkaset trafi tutaj do białoruskich rąk. Będą one ewenementem i tam i tu, gdyż o kondycji narodowej Białorusinów — tak czy inaczej — nikt nie pisze i pisać prędko nie będzie. Powiedziałem „po trosze”, bo niesłychanie ubożuchne — jak na rozmach autorski i wyjątkowość okazji — wydaje mi się przesłanie merytoryczne Janowicza do rodaków. Zbierajcie skorupki białoruszczyzny? Urządźcie domowe kapliczki? Bardziej gromko wymyślajcie Polakom?... No, ale to zmartwienie braci Białorusinów.

A skutki p o l s k i e „Białorusi, Białorusi”? Sympatii do niej nie przybędzie, to pewne. W najbardziej chrześcijańskich duszach — może odrobina współczucia. Ale s z k ó d też bym nie wyolbrzymiał. Jakaś część polskich czytelników trzaśnie szybko książeczką w ką, zlorzeczając autorowi i wydawcy. Oby jednak nie sprawie białoruskiej! Inna jednak część doczyta Janowicza do końca, by później samemu ruszyć ku dochodzeniu prawdy i sprawiedliwości w niełatwej kwestii polsko-białoruskiej. I to byłby najlepszy plon. Warty każdej pracy i wyrozumiałości! Nie przeoczmy bowiem satysfakcji, jaką nam, Polakom, daje — mimo woli — Janowicz; oto raz jeszcze polszczyzna, przy wszystkich swoich ułomnościach, wychodzi na ostoję białoruskich spraw „być albo nie być”, gdy cała reszta świata — z „radzieckim państwem Białorusinów” na czele — nie tylko drukować o tych sprawach nie chce, ale i nawet słuchać.

Powyższy tekst z przyczyn technicznych i merytorycznych uległ nieautoryzowanemu skrótowi (ok. 30%) — red.

Dokończenie ze str. 62

Dotąd o nich nie wiedziałem, ponieważ te kluby są u nas mało znane. Ale, jak już mówiłem, nie od razu udało mi się zerwać z piciem. Nikt, kto tego nie przeszedł, nie wie jakie to trudne.

— W końcu jednak udało się panu.

— Tak, wierzę, że tak. Nie piję już trzy lata, jak powiedziałem, pracuję w fabryce, są ze mnie zadowoleni, co tydzień chodzę na zebrania klubowe i bardzo mi to pomaga. Teraz całkiem inaczej patrzę na świat i najbardziej mi żal, że sam rozbiłem własną rodzinę. Ewa do mnie nie wróciła, wyszła za mąż drugi raz, ale pozwala mi odwiedzać dziecko, a nawet czasem zabierać na niedzielę. Poznałem dziewczynę, jest dobra, wyrozumiała, wie o mnie wszystko, może znów się ożenić, sam nie wiem. Po tym, co przeszedłem, nie pilno mi do małżeństwa, a zresztą kto wie, jak ze mną będzie. Jeden mój kolega, który przychodził do naszego klubu, znów zaczął pić po pięciu latach przerwy. Jak się jest alkoholikiem...

— Pan jest byłym alkoholikiem.

— Nie ma byłych alkoholików. To choroba, z której zupełnie wyleczyć się nie można. Chociaż naprawdę wierzę, że już nigdy nie będę pił.

— Gorąco panu tego życzę.

Rozmawiała Ewa Barcz



Labirynt grozy

Nowojorczycy opowiadają same koszmarne rzeczy o metrze swojego miasta-giganta. Nienawidzą go, boją się, brzydzą. Uważają, iż dobrze się dzieje, że niszczy i przepada. Są tacy, którzy lata całe nie zstąpili w przepastne czeluście tego labiryntu-potwora. W Stanach Zjednoczonych metro nazywa się „subway”, w Anglii „underground” (podziemie), choć tak naprawdę połowa jego linii przebiega nie pod ziemią, a nad nią – przeważnie wzdłuż ulic.

Nowojorskie metro wygląda przerażająco. Jego wyniszczone ściany – staruszki, umazane są wszelkiego rodzaju napisami i malunkami, przypominającymi bazgroły przedszkolaków. Odór jest tak przeraźliwy, że na dobrą sprawę należałoby nosić stale maski przeciwgazowe, wzorując się na Japończykach. Pociągi jeżdżą z takim łoskotem, gwizdami i zgrzytami, że uszy i głowa dokładnie pękają. Nie do rzadkości należy widok ludzi zatykających uszy, podskakujących nerwowo. Metro atakuje i wyniszcza system nerwowy mieszkańców i turystów.

Statystycznie zdarzają się tam przynajmniej dwa morderstwa miesięcznie. Gdy słyszą o tym przybysze, korzystający uprzednio z metra w Wiedniu, Rzymie czy Budapeszcie włosy na głowie stają im dęba.

Na pytanie czy lubią jeździć „subwayem”, przyniatająca większość nowojorczyków odpowiada: „Nienawidzę go!”.

Są tacy, którzy kochają dzikość i niecodzienność tego kuriozum. Powiadają, że przygoda z nim to niepowtarzalne przeżycie. Czy do takich życiowych rozkoszy należy zanurzenie się w wilgotną, zatęchłą czeluść podziemnych przejść, wyjść na peron, pełen podejrzanych typów, niemiłych zapachów, pozostawionych przez koczujących tam nocą bezdomnych? Do poznania jednak wszystkich tajników tego upiornego labiryntu trzeba by zwerbować ekspedycję – jak na przy-

kład tę, która rozgryzła labirynty Manto Grosso w Brazylii.

Metrem można się dostać w Nowym Jorku do każdego zakątka. Sić jego mierzy 230 mil (373 km), czyli dwa razy więcej niż metro w Paryżu, liczy 458 przystanków. Pociągi kursują przez całą noc. Jest to jeden z pozytywów tego środka komunikacji, bo np. w Londynie „underground” zamykany jest przed północą. Niemniej jednak podróżowanie nocą jest najbardziej niebezpieczne. Pasażerów jest niewiele, co ułatwia działanie bandytom i rzeźmieszkom.

Tylko w Nowym Jorku można objechać całe miasto po wykupieniu jednego biletu. Metro „stolicy świata” jest pełne niespodzianek. Ma ono najdłuższe na świecie odcinki między przystankami, najwięcej linii i częściej niż gdziekolwiek spotkać tam można policjanta. Kursują tam najkoszmarniejsze pociągi, wymalowano najpotworniejsze „grafiki”, rozlega się najprzeraźliwszy łoskot kół, dzieją się najmakabryczniejsze przestępstwa.

Trzy i pół miliona ludzi codziennie przemierza to przedpiekle – w 1981 roku zamordowano w tym przybytku grozy 15 osób, w 1986 r. podziemia pochłonęły 18 istnień ludzkich, przy czym policji nie udało się ustalić dokładnej liczby samobójców rzucających się pod koła pociągu.

Nowojorskie metro to przemykające z hukiem pociągi, to milczący pasażerowie, to przeraźliwy – od czasu do czasu – krzyk ofiary nożownika.

W pociągach metra nikt z nikim nie rozmawia: w najlepszym przypadku ktoś szepcze (czytaj: krzyczy) znajomemu do ucha kilka słów, matka karci dziecko lub zakochane pary przekomarzają się bezgłośnie. Panuje tu niepisane prawo nierozmawiania z nieznanymi – tak lepiej.

Większość siedzi z przymkniętymi oczyma (lepiej nie widzieć i nie wiedzieć), ale nikt nie śpi, nawet nie drzemie — ludzie są napięci, jakby w ciągłym oczekiwaniu, przygotowani na wszystko. Duży procent podróżnych czyta gazety — to świetny parawan, który odgradza od tłumy: a czytający, ukryty za płachtą gazety, czuje się bezpiecznie.

* * *

W nowojorskim labiryncie grozy obowiązują pewne prawa, które należy bezwzględnie przestrzegać, gwooli własnego spokoju i gwarancji, że bez większych „wrażeń” dotrze się do celu.

A oto rady i zalecenia policji:

— Nie wsiadaj do pustego wagonu!

— Nie obwieszaj się biżuterią: nawet noszenie obrączki czy pierścionka nie jest wskazane. (Nie kuś licha!)

— Nie ingeruj w jakiegokolwiek sprzeczki w pociągu!

— Na peronie nie stawaj oparty o słup i stój zawsze kilka metrów od krawędzi peronu.

— Staraj się wsiadać do pierwszego wagonu, lub tam gdzie jest konduktor.

— Nie śpiesz z pomocą pijanym i nie uciszaj narkomanów!

— Staraj się przejechać swoją trasę w „czapce-niewidce”.

Do słusznych rad i zaleceń policji dodają jeszcze kilka swoich:

— W miarę możliwości nie podróżuj sam — w dwójkę bezpieczniej.

— Ręce trzymaj w kieszeni — potencjalny bandyta nie wie, czy nie trzymasz tam przypadkiem noża, pistoletu, gazu.

— Miej przygotowane kilka dolarów — w razie ataku czym prędzej oddaj je napastnikowi.

Z powyższych uwag skwapliwie korzystają nowojorczyacy, zwłaszcza wieczorem i w nocy.

* * *

W metrze nowojorskim można zobaczyć ludzi i sceny, jakich nie zobaczy się nigdy w cywilizowanym świecie. Oto kobieta godzinami stoi na przystanku i bez przerwy powtarza jedno zdanie: „Pracowałam zawodowo w służbie zdrowia”. Bezżębna, z plastikowym workiem przymocowanym do nogi.

— Lepiej nie współczuć — powiada jakiś przechodzień i ciągnie dalej: — Raz w życiu po-

mogłem podnieść się leżącemu na peronie pijakowi. W nagrodę otrzymałem strumień wymiotów. Mam nauczkę, teraz może leżeć konający, a mnie nawet nie ruszy.

Na stacji przesiadkowej „Union Squer”, gdzie krzyżują się linie kilku dzielnic, wysoki murzułmanin rozłożył chodnik na betonowej platformie i bije weń głową. Nic w tym dziwnego. Prawie nikt nie zwraca uwagi. Ludzie różnych wyznań modlą się w nowojorskim metrze.

— Alleluja, bracia i siostry! — wykrzykuje Murzyn w bieli — kocham Chrystusa: i podsuwa kubek pod nos pasażerom. Jest zimno, ale on na bosych nogach ma sandały i świeci gołą piersią. Jadę dalej. Między wagonami załatwia się Portorykanin, w wagonie trzech czarnych pali „trawkę”. Ogarnia mnie przerażenie. Od razu przypomina mi się przypadek Bernharda Goetza, który w grudniu 1984 r. postrzelił czterech murzyńskich nastolatków, gdy zażądali od niego pieniędzy *. („Może mają noże za pasem, może zechcą forsy.”) „Byle dojechać do celu” — myślę.

Policjant radzi:

— Niech pan nie siada blisko drzwi w tak pustym wagonie. Są tacy, co lubią wypchać na zewnątrz.

Słuszna przestroga — po co wywoływać zło? Przesiadam się do wagonu, gdzie jest konduktor. Kiedyś widziałem, jak grupa nastolatków chlusnęła benzyną do wnętrza budki telefonicznej, gdzie znajdowały się dwie kobiety. Zanim zdążyły otworzyć drzwi, chuligani rzucili zapaloną zapałkę i nastąpił wybuch. Wszystko wyleciało w powietrze. Nawet telefonowanie w labiryntach nowojorskiego metra jest niebezpieczne.

„Trzymajcie się z dala od bezładnych przystanków” — to tytuł artykułu w popularnym tutejszym brukowcu *New York Post*. Tekst zawiera kolejne rady policji.

— „Przejścia między 41 a 43 Ulicami są zazwyczaj spokojne, ale przystanek przy 42 Ulicy (centrum kin pornograficznych i domów publicznych) jest zawsze rojny. Dlatego trzeba właśnie tam wsiadać i wysiadać.”

Tyle rad, tyle wskazówek, tyle przestróg. Trudno uwierzyć, że to wszystko dotyczy metra,

* W Nowym Jorku zakończył się proces sądowy, w którym Goetz oskarżony był o usiłowanie zabójstwa czterech osób. Wszyscy napastnicy mają bogatą kryminalną przeszłość. Sąd uniewinnił go od stawianych zarzutów, a następnie w rozprawie rewizyjnej skazał na pół roku z zawieszaniem. (przyj. red.)

raczej mogłoby służyć za poradnik zachowania się w dżungli. Rób tak, nie rób tego...

W katakumbach nowojorskiej kolejki podziemnej działają nie tylko pojedynczy bandyci lub grupki nastolatków: przeprowadzają swoje krwawe rozprawy całe gangi. Czynią to z różnych, często niewytłumaczalnych pobudek: zemsty, dla zaznania rozkoszy „panowania” nad przerażonym tłumem, dla zabawy, dla zdobycia „sławy”. Noże są tu bronią używaną powszechnie, podcinanie gardeł białostką, spychanie pod koła jadącego pociągu sadystyczną rozkoszą.

Polacy bezbłędnie rozpoznawani są przez Portorykańczyków. Młodzi chłopcy o ciemnej cerze, czarnych włosach, ubrani w skórzane kurtki czekają w zakamarkach na swoje ofiary. Przypadkowo spotkany rodak opowiada o swojej przygodzie:

— Niekiedy zdarza się, że późno wracam do domu. Tego nieszczęsnego wieczoru na przystanku „Metropolitan Avenue” przesiadłem się z linii „LL” na „GG”. Kiedy szedłem podziemnym korytarzem, nagle z ciemnej wnęki wyskoczyło trzech bandziorów. Jednego uderzyłem pięścią w twarz, aż się przewrócił, ale tamtych dwóch przystawiło mi noże do gardła. Po polsku powiedzieli „dawaj pieniondże”. Oni wiedzą, że nie znamy angielskiego. Co miałem robić? Dałem im wszystkie pieniądze, jakie miałem w jednej kieszeni i na tym się skończyło, ale przecież mogli mi poderznąć gardło!

Sceny rabunkowe z udziałem Polaków w charakterze ofiar często mają miejsce w największej polskiej dzielnicy w Nowym Jorku — Greenpoint.

Do wymienionych rozkoszy, jakie czekają podróżujących metrem, należą jeszcze opasłe szczury, beztrosko biegające wzdłuż cuchnących strumyków, płynących między torami; bywają też katastrofy, pożary.

Niektórzy twierdzą, że mimo wszystko wolą „underground” niż nowojorskie ulice.

— Ulice — to jest dopiero piekło — zwierzyła mi się starsza elegancka pani, która od dwudziestu lat kilka razy dziennie zanurza się w podziemie metra. No cóż, rzecz gustu, a może raczej odwagi. Projektanci kolejki podziemnej w 1904 roku marzyli o ułatwieniu ludziom życia. Na przestrzeni lat ten środek komunikacji wielu życie to odebrał.

Jak pokazuje życie, metro nie jest już tylko środkiem komunikacji. W jego korytarzach, zakamarkach, na ciemnych schodach i w niszach mieszkają ludzie: żyje ich setki, a może tysiące. Koczują od przystanku do przystanku, bez pieniędzy, z resztkami wczorajszej bułki wydobytej ze śmietnika; ludzie o tempym wzroku, obojętni na wszystko. Czasami śpią na ławkach, czasami na betonie, okutani w gazety i szmaty. Ludzie bez dziś i jutra. Pojawiają się jak cienie i giną jak cienie — nikomu nie znani, nikomu nie potrzebni. Mówi się o nich: „nowojorski koloryt”. Z ich strony nikomu nie zagraża niebezpieczeństwo — wprost przeciwnie — coraz częściej stają się ofiarami nożowników. Ale są też i prawdziwi obłąkani, często groźni. Od kilku lat wyrzucani z zakładów dla umysłowo chorych — bo nie było komu płacić za ich locum i utrzymanie... Wylegają na ulice — w lecie, roją się pod ziemią — zimą. Niektórzy piją, wrzeszczą, skaczą i piszczą jak małpy: siedzą na ławkach metra z podkurczonymi nogami i wzrokiem wbitym w jeden punkt. Nowojorskie metro jest więc, poza wszystkim, i domem dla umysłowo chorych.

Poruszanie się w meandrach podziemnych korytarzy nie należy do rzeczy łatwych. Połudzone żarówki, zdewastowane lub całkowicie zamalowane drogowskazy i mapy, brak jakiegokolwiek informacji powodują długie wędrówki niezorientowanych w poszukiwaniu odpowiedniego wyjścia lub przejścia na inną linię. Nieraz przeklinałem pod nosem, kiedy musiałem dwa razy, miast raz, płacić za przejazd. W nowojorskim metrze — jak w lesie — trzeba mieć dar boży umiejętnego szukania dróg. W razie zastąpienia czy nagłej choroby nie ma co liczyć na natychmiastową pomoc. Kaleki na wózkach inwalidzkich nie mają co marzyć o wybraniu się w podróż metrem. Nie dla kalek zostało zbudowane. Technika i cywilizacja nie zeszyły w groźne podziemia.

Ruchliwy przystanek „Queens Plaza”, godz. 10 rano. Młody człowiek z nogą w gipsie ślamazarnie przesuwa się ze stopnia na stopień długich schodów. Nikt nie zwraca na niego uwagi, co drugi traktuje jak powietrze.

Dokończenie na str. 80

Z biblioteczki emigrantki

Bronisław Maj: „Zagłada Świętego Miasta”, Londyn 1986, PULS Publications.

Pierwszy tom serii poetyckiej *Pulsu* zawiera wybór wierszy krakowskiego poety, związanego z kręgiem *Tygodnika Powszechnego*. Maj, laureat nagrody Kościelskich w roku 1984, od czterech lat prowadzi w Krakowie *Na głos* – niezależny mówiony miesięcznik literacki, wyróżniony w 1984 roku nagrodą „Solidarności”.

Maj opisuje w swoich wierszach świat jakby po śmierci Boga. „Dlaczego nie ma Cię dla mnie?” – pyta. Zagadkę śmierci chce przezwyciężyć siłą pamięci. Polega na dostępnej wszystkim ludziom wspólnocie pięciu zmysłów. Wierzy też w nieśmiertelność, jaką można osiągnąć dzięki literaturze. Pytanie tylko, czy potomni sprostają tej wierze:

*Za oknem deszcz, szklanka herbaty na stole,
lampa – tak, może naiwnie, widzę cię,
za pięć, za dwadzieścia, za sto dwadzieścia
pięć
lat, odczytującego ten wiersz: myślącego o
mnie, człowieku
sprzed dwudziestu czy stu dwudziestu lat –
jak
żyłem?*

Jeśli czytelnicy przyszłych pokoleń sprostają oczekiwaniom autora, będą mogli śledzić, jak radził sobie w świecie kryzysu duchowego i politycznego. Jak chciał – zdając sobie sprawę z daremności tych prób – „dać świadectwo tym cza-

som”, a wychodziła mu co najwyżej –

Pusta epoka.

*Jak żadna inna wypełniona życiem, bo
naszym, i nie będzie drugiej.*

Rekompensatą, jaką proponuje Maj w zamian za świat utraconych wartości jest mały realizm: ja, kobiety, rodzina bliższa i dalsza. Nie przypadkiem jeden z cyklów nazywa się „Album rodzinny”.

Jan Polkowski: Wiersze (1977–1984). Londyn 1986, PULS Publications.

Drugi tomik biblioteki poetyckiej *Pulsu* zawiera obszerny przegląd twórczości krakowskiego poety młodszego pokolenia (rocznik 1953) – wiersze z tomów „Oddychaj głęboko” i „Ogień” oraz utwory nowsze. Ich autor ma zasłużoną kartę w niezależnym ruchu studenckim (SKS) i wydawniczym (KOS, ABC). Był internowany z chwilą wprowadzenia stanu wojennego. Wszystkie swoje książki opublikował dotychczas w podziemiu bądź za granicą. W 1983 roku otrzymał nagrodę im. Kościelskich. Przez większość krytyki niezależnej uznawany jest za najwybitniejszego poetę po Nowej Fali.

Poezja Polkowskiego jest z jednej strony głęboka, metafizyczna, z drugiej natomiast mocno tkwi w bieżącej rzeczywistości, w polskiej codzienności i w perspektywach na najbliższą przyszłość. Z tego drugiego względu można by nazwać tę poezję liryką obywatelską.

Polkowski widzi teraźniejszość i przyszłość Polski w perspektywie historycznej i geopolitycznej. Z tego względu szczególnie wyczulony jest na groźbę wchłonięcia przez wschodniego sąsiada. Jego obsesją jest wizja Polski jako kolejnej republiki, co nie jest bynajmniej jednoznaczne z antyrosyjskością. W starszym wierszu „PAP donosi” (1978) czytamy na przykład o procesach sowieckich dysydentów:

*Inne agencje podają okoliczności procesów:
gdy wyprowadzano skazanych z sądu,
zgromadzony tłum
krzyczał — za niskie wyroki, rozstrzelać ich!
Jedna z agencji podaje, że krzyczano także:
ukrzyżuj go, ukrzyżuj go!*

O Polkowskim niewątpliwie jeszcze usłyszymy.

Stanisław Barańczak: Atlantyda i inne wiersze z lat 1981–1985. Londyn 1986, PULS Publications.

Trzeci tomik z serii poetyckiej *Pulsu* zawiera trzy cykle („Przywracanie porządku”, „Atlantyda”, „Small Talk”) oraz garść przekładów z angielskiego i rosyjskiego, m.in. jeden wiersz najnowszego laureata nagrody Nobla, Josifa Brodskiego.

Poznański poeta, krytyk, historyk literatury i tłumacz Stanisław Barańczak wyjechał z Polski w marcu 1981 roku. Mieszka obecnie w USA, gdzie wykłada literaturę polską na Harvardzie i działa społecznie. Jest członkiem redakcji paryskich *Zeszytów Literackich*.

Nowe wiersze Barańczaka dają świadectwo pierwszego okresu pobytu na emigracji, który dla poety jest podwójnie bolesny, oznacza bowiem wyrwanie z tkanki żywego języka. Talenty językowe Barańczaka, udokumentowane już dawniej znakomitymi przekładami, ułatwiają może trochę to przejście z jednego środowiska językowego do innego, tym niemniej duża część wierszy dotyczy właśnie owej transplantacji w nowe podłoże. Nie chodzi tu tylko o język, także o mentalność, o różnice obyczajowe i społeczne. Proces asymilacji jest powolny:

*Po paru miesiącach przyzwyczajają się ręka
do innej pisowni jedynki i do nieprzekreślenia
siódemki,
nie mówiąc o opuszczaniu kreski nad „n” w*

*podpisie. (...)
Jeszcze parę miesięcy i, przyklękając na ulicy,
aby zawiązać sznurowadło,
uświadamiasz sobie, że robisz to, aby
zawiązać sznurowadło,
nie po to, aby rutynowo zerknąć przez ramię,
czy ktoś za tobą nie idzie.*

Tytuł tomiku ma głębszą wymowę — oto między porzuconą krainą młodości, świadkiem pierwszych walk o sprawiedliwość i wolność a Nowym Światem, w którym króluje wolność i „można być tym, kim się chce być”, rozciąga się nierozpoznany mityczny świat poezji.

Andrzej Werner: Polskie, arcypolskie... Londyn 1987, POLONIA. Seria „Wokół literatury” 7.

Krajowy krytyk literacki i filmowy podejmuje w tym tomie eseistycznych rozważań szereg pytań związanych z charakterem i rolą twórczości — literackiej i filmowej — tak zwanego okresu październikowego.

Pytania stawiane przez Wernera raz po raz wykraczają poza wąsko pojęty temat i „Polskie, arcypolskie” jest właściwie książką o kulturze polskiej w okresie powojennym — od pierwszych lat względnego pluralizmu, a zarazem flirtów z nową władzą, poprzez ponury okres stalinizmu, odwilż i październikowy przełom, okres „małej stabilizacji”, aż po wciąż obecny w tle myślenia Wernera o literaturze i filmie przełom „Solidarności” i okres po stanie wojennym. Ostatni rozdział tej dedykowanej Michnikowi książki nosi tytuł „Listy z więzienia”.

Książka Andrzeja Wernera nie jest lekturą łatwą. Nie tylko ze względu na steoretyzowany język a zarazem skłonność do nie zawsze jasnych metafor. Nie jest książką łatwą także dlatego, że stawia społeczeństwu polskiemu szereg konkretnych zarzutów, że domaga się od czytelników szczególnie wyczulonego sumienia i gotowości do żalu za grzechy. Werner nie należy przy tym do moralistów, którzy lubią bić się w cudze piersi. Nie wywyższa się, nie stawia poza nawiasem. Metryka pozwoliła mu bez większych ofiar zachować czystą kartę — urodził się bodajże za późno, żeby zdążyć założyć czerwony krawat. Ale też nie potępia w czambuł tych, którzy zaangażowali się w komunizm, szuka przyczyn i uzasadnień.

Dokończenie na str. 80

Z Rzymu...

Włosi o referendum

Uchodźcy z Włoch uchodzą słabo. Kwarantanna się przedłuża, coraz więcej już takich, którzy drugi raz spędzą w Rzymie Boże Narodzenie. Spotykam jednego: no i co, spisali się ci w kraju (w domyśle: co zostali); spogląda na mnie uchodźca niewyspanym okiem, twarz mu sceptycznie i powiada: i tak nic z tego. Taki już szelma mądry! Korespondenci włoscy też nie od macochy: od miesiąca zanudzali nas antycznym wyglądem warszawskiej Starówki, śmierć generała Sikorskiego przesunęli na wczesne lata pięćdziesiąte, Urbana umieścili na jakimś nieistniejącym weselu (aż biedak musiał protestować po włosku!), a na koniec pobytu, w poniedziałek po referendum, strzelili sobie gola, pisząc: „Jaruzelski pokonał »Solidarność«”. Wszyscy, jak jeden mąż tej samej propagandy. Potem zaczęło się odkręcanie, właściwie obracanie kota ogonem. Włosi mieli własne referendum (właściwie referenda, bo aż pięć za jednym zamachem) i nie wszystkim były w smak ich wyniki. Ktoś nawet zaczął rachować po polsku: dodał głosy przeciwne do liczby osób bojkotujących i wyszło mu, że ci, co wygrali, przegrali. Więc teraz, 1 grudnia, na włoską modłę policzył te polskie. Można było się z pierwszych stron dowiedzieć, że generał Jaruzelski przegrał, choć miał 69% „tak”. Dziwny generał, dziwny kraj, dziwni ci Polacy. Jak na razie, zajęto się generałem. Że biedny, opuszczony, osaczony, zaszczytu. I jeszcze do tego Gorbaczow mu pewnie ręki nie poda. Po tem nadeszły wieści, że Gorbaczow zachwycony. Więc wygrał generał. Ale jednak się ślania. Trzeba pomóc.

I znów mały lufcik otwarty na Polskę — przez który słabo, ale jednak widać było, co ludzie robią, co jedzą, co mówią, co im się śni — ustąpił partyjnej lunecie, a raczej mikroskopowi, pod którym garstka członków PZPR gra rolę stada słoni. I dzielą się bezustannie, jak pantofelek, na frakcje, reakcje, betony, cegły, igły, widły. Już tylko o nich się mówi i pisze. Bo jak powiedział jeden z

wysłanników akurat 29 listopada, nie ma alternatywnego programu. Dlatego ma rację zamglony uchodźca: było referendum, ale co z tego. Nic się nie zmienia. W sprawach polskich na Zachodzie: bez zmian.

Intermezzo

Czasem i Passent bywa podniecający. Przeczytam coś i zapładniam się sam. Np. taki kawałek: „Gdyby wolność słowa była nieograniczona — nie byłoby potrzeby jej rozszerzać, gdyby ordynacja była w pełni demokratyczna, nie byłoby miejsca na słuszne skądinąd postulaty jej zmiany. Społeczeństwo rozwija się i zrzuca każdy kolejny pancierz” (*Polityka*, nr 46, 14.11.87).

Pierwsza na ostateczne wyniki referendum zareagowała centrala związkowa UIL. Najwyższe władze tego związku wyraziły podziw dla rezultatów referendum, które zadały kłam wcześniejszym prognozom i wróżbom. „Wynik referendum — napisano w komunikacie prasowym — jasno ukazał, jak dalece zakorzenione jest dziś wśród ludzi w Polsce pragnienie demokracji i korzystania z jej reguł.” Nasuwa się też, dodają włoscy związkowcy, kilka wniosków. Oto, po pierwsze, „zmusza do nowego spojrzenia na »Solidarność« i oceny jej faktycznego wpływu na społeczeństwo, w sytuacji, gdy od dawna związek ten zmuszony jest działać w trudnych warunkach, praktycznie w izolacji”. Po drugie „uświadamia, jak umocnienie się klimatu odprężenia i zmiany układu sił w świecie (z tym to już chyba UIL przesadził, ale czytamy dalej) przyczynić się mogą do uświadomienia rządzącym konieczności oparcia niezbędnych reform na autentycznym, powszechnym poparciu społeczeństwa”.

Jednym słowem, „UIL z zadowoleniem powitał wiadomość o wynikach referendum w PRL i wyraził przekonanie, że rząd poczuje się zobowiązany do podjęcia kroków we wskazanym mu, jedynym właściwym kierunku.” Kilka dni później Giorgio Benvenuto, sekretarz generalny UIL-u, tak pisał do Lecha Wałęsy: „Podzielam Twoje stanowisko, gdy zwracasz się do rządu Twego kraju z propozycją współpracy. Przekonany jestem, że w obecnej sytuacji tylko jak najszerze społeczne poparcie ułatwić może Polsce wyjście z poważnego kryzysu. Mam nadzieję, że rząd potrafi docenić

polityczną wymowę Twojej propozycji i porzuci przekonanie o możliwości rozwiązania kryzysu bez udziału ludzi pracy." Benvenuto zapewnił przewodniczącego „Solidarności” o „dalszym umocnieniu współpracy między włoskim i europejskim ruchem związkowym a »Solidarnością«, której inicjatywy, podejmowane w imieniu wszystkich wolnych ludzi pracy w Polsce, zawsze będziemy popierać”.

Sekretarz generalny centrali CISL, w wywiadzie dla mediolańskiego dziennika *Avenire* (2.12.87) stwierdził m.in.: „Trzeba podkreślić, że z tej próby Polska może wyjść zwycięsko, pod warunkiem, że władze przekonają się raz na zawsze o potrzebie podjęcia na nowo dialogu ze społeczeństwem; dialogu, w którym niezbędny jest również głos »Solidarności«.” Marini dodał, że czternaście milionów Polaków jednoznacznie odmówiło Jaruzelskiemu swojego poparcia, „idąc za wskazaniem »Solidarności«, aby referendum nie tyle bojkotować, co zignorować”. Marini wyklucza, by odpowiedź ta miała oznaczać niechęć wobec reform: „Polacy odmówili poparcia takiemu postawieniu sprawy, żądaniu od nich nowych poświęceń w imię ogólnikowych obietnic.”

Tego samego dnia – 2 grudnia – najwyższy organ kierowniczy CISL-u, jego Rada Główna, przyjęła rezolucję w sprawie referendum w Polsce. Stwierdzono tam m.in., że „wyniki te dowodzą, jak głębokie i niedwracalne zmiany w świadomości narodu polskiego przyniosły doświadczenia Sierpnia i całej historii »Solidarności«; że „»Solidarność«, tak wczoraj jak i dziś, upomina się o przywrócenie pluralizmu związkowego, widząc w tym jedyną możliwość autentycznego i aktywnego wciągnięcia społeczeństwa w proces wychodzenia z kryzysu”; że „nadszedł czas, aby władze PRL wyciągnęły naukę z bezprecedensowego rezultatu referendum i zrozumiały, że potrzebny jest dialog i rozmowy ze społeczeństwem, przywrócenia prawdziwego pluralizmu społecznego i związkowego, a w szczególności legalnej działalności NSZZ »Solidarność«, co pozwoli na wyzolenie wszystkich jej energii”. Rada główna CISL-u dodaje, że energie te są Włochom znane dzięki stałym kontaktom z podziemnymi strukturami związku, a na zakończenia zapewnia „Lecha Wałęsę, całą »Solidarność« i wszystkich ludzi pracy w Polsce” o swej „solidarności, braterskim poparciu i gotowości udzielania wszelkiej pomocy w walce o przywrócenie pełni praw związkowych w PRL”. Dość błado na tym tle – UIL-u i CISL-u –

wypadła reakcja komunistycznej centrali CGIL. Trudno dociec, dlaczego tak się stało. CGIL nigdy nie wyparł się sympatii dla „Solidarności”, mimo to ograniczył się do „okólnika”, w którym jego Biuro Zagraniczne zwraca się do regionalnych struktur centrali z apelem o dalsze zainteresowanie rozwojem sytuacji w Polsce oraz zapewnia o poparciu centralnych władz związku dla „prowadzonej przez »Solidarność« walki o pluralizm związkowy w Polsce”. CGIL także, i śmiało anizeli UIL, wiąże sytuację w naszym kraju z „całokształtem” tego, co dzieje się w ZSRG; i pełen jest dobrych myśli i nadziei.

Nie bójmy się

Nachodzi was kiedyś taka myśl: jak było w tej Polsce, tak było, ale do tego (tu wydarzenie, które przywodzi na pamięć ojczyznę) u nas by nigdy nie doszło? Mnie nachodzi. Ostatnio, przy okazji tzw. wojny o lekcję religii, jaką z władzami oświatowymi Włoch toczył tutejszy Kościół, przy wydatnej zresztą i decydującej pomocy Watykanu. Na mocy zreformowanego w 1984 roku „konkordatu” religia katolicka przestała być religią „państwową”, a jej nauczanie powierzone szkołom stało się „dobrowolne”.

Zauważyć warto, że pogorszyło to w pewnym stopniu położenie tych, którzy nie chcieli, jak to ładnie wyraża ustawa, „korzystać” z lekcji religii; otóż w minionym okresie wystarczyło podanie do kuratorium – że się nie chce – i dziecko było „wolne”, mogło iść do domu. Teraz prosić trzeba o „korzystanie”, ale dla pozostałych wykombinowano lekcję zastępczą, która jest... obowiązkowa. Nici z wcześniejszego powrotu do domu dzieci niewierzących! Nie będę was zanudzał racjami jednej i drugiej strony, ograniczę się tylko do aspektu, który przywiódł mnie do wspomnianej na wstępie myśli, że u nas to niemożliwe. U nas, jak wiemy, Kościół uczy religii na własną rękę, po szkole, dobrowolnie, nieodpłatnie, u siebie. Ma też dzięki temu, dodajmy, większe prawo upominać się o neutralność szkoły w sprawach światopoglądowych.

Przyglądając się zabiegom tutejszego Kościoła o utrzymanie za wszelką cenę religii w państwowej szkole – groziło jej tylko przesunięcie na jedną z ostatnich godzin, zapachniało to jednak biskupom groźbą zbiorowych wagarów – doszedłem do przekonania, że nie ufajmy oni ani swoim możliwościom, ani dobrej woli wiernych. Nie

przyszło im bowiem do głowy przejąć katechizację dzieci i młodzieży — z obawy, bo ja wiem, przed absencją, bo o tej porze są np. ciekawe filmy w telewizji; nie zawierzali też intencjom ponad 90% włoskich rodziców, którzy dzieci na te szkolne lekcje religii zapisali (dali więc biskupi bezwiednie argument do ręki tym, którzy twierdzą, że te zapisy były wyrazem nie uczuć religijnych, ale głęboko zakorzonego konformizmu). Na usprawiedliwienie włoskiego Kościoła przytoczyć możemy wyjątkowo niskie uczestnictwo wiernych w mszy świętej (co zresztą świadczy, że określenie „wierni” jest nieco przesadzone), jak i wyniki referendum w takich sprawach jak rozwód czy przerywanie ciąży, które są najlepszym sprawdzianem życia i przywiązania do nauki Kościoła. Jednym słowem biskupi włoscy nie zaufali ani sobie, ani świeckim. Do takiego wniosku doszedłszy, pomyślałem dobrze nie tylko o moim starym katechecie, ale i o całej starej ojczyźnie, ku której skierowałem ciepłe wspomnienia.

Aż tu nagle dochodzą z tej samej strony dźwięki trąb, werbli warkot — a z łamów prasy „rządowej” śmiech, drwiny, kpiny. Wydano w kraju podręcznik do przygotowania do życia w rodzinie, który katolicy świeccy w swoich pismach, a następnie biskupi w liście pasterskim nazwali prowokacją, próbą zdemoralizowania społeczeństwa, przemycania pornografii etc. W książce tej — opieram się na sprawozdaniach obu stron — w rozdziale poświęconym życiu płciowemu są różne nieprzyzwoite wskazówki, groźne nie tylko w wieku szkolnym, ale w ogóle dla każdego zdrowego chrześcijanina. Nie wchodzić i tutaj w meritum sprawy, nie interesuje mnie stopień zepsucia proponowany w tym podręczniku i grożący naszej młodzieży po jego lekturze. Martwi mnie natomiast reakcja Kościoła. Dlaczego walkę o sumienia przenosi na teren szkoły, gdzie wie, że szanse ma niewielkie? Dlaczego nie zda się na zdrowy rozsądek, zasady katolickich rodziców, dzieci i młodzieży? Dlaczego nie odpowie własnym podręcznikiem, katechezą na „prowokację”? Czy naprawdę 500 tys. egzemplarzy, choćby nie wiem jak ohydne i wyuzdanego podręcznika może na stałe nadwerżyć moralny kościec uczącej się młodzieży? Czyż nie są to właśnie sytuacje, gdy cały Kościół, a więc i świeccy — przede wszystkim świeccy, jak uczy tego ostatni Synod Biskupów — w sobie powinni znaleźć tamę, moralną przeszkodę, bastion przeciwko zgubnym skutkom bezbożnej propagandy?

Martwi mnie brak wiary, brak nadziei i ufności we własne możliwości, w możliwości i dobrą wolę wiernych, jakie okazują biskupi domagając się prostego rozwiązania: wycofania podręcznika ze szkół (co już zresztą się stało). Miał to być Kościół 99%, przewodniczący katolicyzmowi, zdrowemu narodowi, przywykły do różnych perfidnych ataków władzy, marksizmów, liberalizmów, ateizmów; odporny na nie i rosnący w siłę właśnie dzięki swej niezłomności. Wygląda na to, że dał się zaskoczyć, a potem przeraził. Tylko czego? O co? Ze wierni pójdą natychmiast za podszeptem paskudnej ksiądzki? Ileż wówczas byłiby warci owi „wierni”?

Nie chcę, żeby te uwagi zrozumiano opacznie (różne już *Poglądowi* intencje przypisywano). Piszę je zresztą na własny rachunek i w dobrej woli. Jako katolik świecki, który nie boi się ani takich podręczników jak „Przysposobienie do życia w rodzinie”, ani towarzyszących mu na co dzień — tu, na emigracji — setek publikacji jawnie pornograficznych, podsuwanych nie przez władzę, ale przez setki rąk (diabelskich, jeżeli chcecie). Nauczono mnie od dziecka, na lekcjach religii, nie w szkole, że wiara moja będzie „znakiem, któremu sprzeciwić się będą”. Nie bałbym się więc nowej twarzy wroga, ile raczej własnego strachu przed nim. Do tej pory strach ten był nam przecież obcy.

Diagnoza

Jeden z mówców na niedawnym zjeździe MSI (włoscy neofaszyści) zagrzmiął z trybuny: czy wiecie, kamraci, ile w zeszłym roku Izba Deputowanych wydała na papier toaletowy? Zrobiło się cicho, nikt nie wiedział. Mówca wystrzelił astronomiczną cyfrę, po czym dodał: system ma bieżunę, jest chory. Burza oklasków.

Nie będziesz miał innej coli...

...przede mną, zdawali się mówić przedstawiciele cudownego napoju na Włochy, gdy tutejszy przemysł wypuścił na rynek „One-O-One”. W wysłanym wszystkim hurtownikom i sprzedawcom „Coca-Coli” ostrzeżeniu, przedstawiciele amerykańskiego kolosa zapowiadali, że w razie umieszczenia na półkach konkurencyjnego wyrobu pożegnać się mogą ze zniżkami i innymi faworami, jakimi darzy on swych wiernych klientów. San Pellegrino, producent „One-O-One”, nie dał się jednak zastraszyć, sprawa trafiła do sądu. „Coca-

Cola”, która jest we Włoszech monopolistą (pokrywa 80% zapotrzebowania na napoje gazowane), odpowie teraz (zarówno przed trybunałem włoskim, jak i EWG) za próbę nielojalnej konkurencji. Oto stało się rzeczywistością to, co być może śniło się niejednemu partyjnemu aktywiście w latach pięćdziesiątych: „Coca-Cola” stanęła na wokandzie.

Ostatni seans filmowy

W listopadzie zmarło śmiercią naturalną — prawa rynku — świątobliwe kino „Castello” nieopodal Watykanu. Na gruzach zaczej idei, by pielgrzymom i turystom pokazywać za niewielką opłatą film o Rzymie — Wiecznym Mieście w reżyserii Marcela Gerne, stanął przybytek zepsucia i hańby: kino pornograficzne. Porażka dla Kościoła tym dotkliwsza, że kino „Castello” zajęło lokal... kina pornograficznego, którego obecność w tych okolicach była dla wielu rażącym skandalem. A więc — podwójna porażka. Nieudana próba trwała dwa lata. Przybytek celuloidowej rozpuszty powierzono opiece bożka handlu i zysku, stare-nowe kino nazywa się „Mercury”.

Rzym, grudzień 1987

PAWEŁ GAJOWNICZEK

Z Oslo...

10 grudnia w Oslo, zgodnie z tradycją w starej auli Uniwersytetu odbyła się uroczystość wręczenia pokojowej nagrody Nobla. Jej laureatem został prezydent Kostaryki Oscar Arias za wkład w pokojowe rozwiązania konfliktów w Ameryce Środkowej, gdzie najbardziej palącym problemem jest sytuacja w Nikaragui. Tegoroczna nagroda jest kontrowersyjna. Kontrowersyjność dotyczy jednak co najwyżej uzasadnienia, a nie osoby samego laureata. Nikłe są szanse na to, że rzeczywistość w Nikaragui uciną strzały. Chwilowe ustępstwa wobec opozycji uczynione ostatnio przez marksistowski reżim w Nikaragui, popierany przez ZSRS, są analogiczne do taktyki NKWD w krajach Europy Wschodniej bezpośrednio po II

wojnie światowej. Gwałtowna rozbudowa armii oraz chęć wprowadzenia komunistycznego ładu i porządku jest nie do zaakceptowania dla opozycji.

Mimo tych zastrzeżeń wydaje się, że tegoroczna nagroda została przyznana jak najbardziej słusznie narodowi Kostaryki w osobie jego prezydenta. Któryż kraj potrafił odrzucić rozwiązanie swych problemów przemocą i oprzeć się na demokracji, dobrowolnie pozbawić się armii i mimo to przetrwać w tak burzliwym otoczeniu?

1 grudnia ub. roku w Kostaryce uroczystość obchodzone 30-lecie likwidacji własnych sił zbrojnych. Politycy tego kraju zadbali o odpowiednie wychowanie dzieci i młodzieży. Ze sklepów wyeliminowano zabawki wojenne, ich sprzedaż jest prawnie zabroniona. Szacunek dla demokracji, poszanowania praw człowieka i pragnienie pokoju jest podstawowym celem wpajającym młodym ludziom.

W trakcie tradycyjnego wykładu laureat potępił reżimy na Kubie, w Nikaragui, Chile i Paragwaju twierdząc, że demokracja jest jedyną rozsądną alternatywą dyktatur.

Na kolejnej konferencji prasowej skrytykował pomoc państwa norweskiego dla Ameryki Środkowej za to, że jest ona skierowana do Nikaragui. Temat ten był również poruszany na spotkaniu Ariasa z premier Norwegii panią Gro Harlem Brandtland. „Uważam, że pomoc norweska powinna zostać podzielona lepiej. Poprzez pomoc ekonomiczną można i trzeba wywierać presję na poszczególne państwa” — powiedział Arias.

Tegorocznym uroczystościom w Oslo towarzyszyły wzmocnione środki ostrożności. Wiadomy znak, że cień terroryzmu, szczególnie po zamachu na premiera Szwecji Palmego, zawisł nad Norwegią. Wchodzących na spotkanie z Ariasem rewidowano. Zaparkowane samochody sprawdzano przy pomocy specjalnie szkolonych psów, poszukujących ładunków wybuchowych. A przecież jeszcze cztery lata temu, gdy Danuta Wałęsowa odbierała w imieniu męża nagrodę w Oslo, jedyną osobą kontrolującą wchodzących na salę, której odbywała się uroczystość wręczenia pokojowej nagrody Nobla był woźny uniwersytetu sprawdzający zaproszenia.

★ ★ ★

35-letni mieszkaniec Murmańska, z zawodu kierowca, w nocy z 11 na 12 grudnia uciekł do

miejsowości Pasvik w Norwegii. Uciekinier poprosił o azyl polityczny, nie wykluczając zresztą dalszej emigracji do Stanów Zjednoczonych.

Nie byłoby może w tej informacji nic nadzwyczajnego, gdyby nie fakt, że przejść granicę sowiecko-norweską jest znacznie trudniej niż pokonać mur berliński. Poprzedni obywatel sowiecki, któremu się to udało, przybył do Norwegii w 1979 roku. A więc 8 lat temu. Pamiętajmy bowiem o tym, że jest to jedyna bezpośrednia granica Związku Sowieckiego z państwem NATO. Jak więc było to możliwe?

Informacji na ten temat udzielił sam zbieg. Jako kierowca ciężarówki miał przepustkę uprawniającą do wjazdu w strefę przygraniczną. Samą granicę przeszedł po lodzie świeżo zamrożonego fiordu omijając w ten sposób zasieki. W kilka godzin później znalazł się w Oslo dokąd został przetransportowany helikopterem.

By jeszcze raz podkreślić ścisłą kontrolę sowiecką w tym rejonie przypomnę, że dokładnie tydzień wcześniej na wysokości Półwyspu Kola norweski kuter rybacki nadał sygnały wzywające pomocy. Po 5-6 godzinach pertraktacji Norwegowie otrzymali pozwolenie na przeprowadzenie akcji ratunkowej, obserwowanej zresztą przez statki sowieckie. Paradoxem w tej całej sprawie, w której przecież chodziło o życie ludzkie jest fakt, że mimo wielogodzinnego oczekiwania na zezwolenie władz sowieckich uznano to za sukces i postęp, gdyż jeszcze rok temu nikt by nawet takiej zgody nie wydał. ■

Dokończenie ze strony 75

Oto charakterystyczna próbka rozumowania Wernera i jego stylu:

Szczególnie polską wersją mitu kulminacji jest przekonanie, że w kulturze narodu zniewolonego prawda zawsze służy wyzwoleniu, stanowi jakby jego częśćkę. Zwłaszcza, gdy zniewolenie dokonuje się między innymi przez kłamstwo. Jeżeli tak nie jest, jeżeli zdarzyć się może, i zdarza wielokrotnie, że prawda, dążenie do prawdy, służy zniewoleniu, a w każdym razie służyć się zdaje złym a nie dobrym duchom, to czy płynięcie stąd wnioskuje, że można określić okoliczności, kiedy od prawdy należy się odwrócić?

Na tak postawione pytanie daje Werner odpowiedź uniwersalną, odpowiedź dla każdego z nas:

Wybierać trzeba codziennie od nowa, tam

gdzie się żyje i gdzie się tworzy, ze świadomością tego, co pozostało na drugiej szali, ze świadomością ceny.

Książka Wernera jest „lekturą obowiązkową” dla tych, którzy nie zrywają z krajową przeszłością, tylko w niej starając się szukać wytycznych na emigracyjną przyszłość. ■

Dokończenie ze str. 73

Chętnych do pomocy nie sposób znaleźć. Podchodzę oferując swoje ramię.

— Nie, dziękuję. Sam sobie poradzę — zaskoczenie na jego twarzy nie ma granic. Do odważnych świat należy — i do silnych!

Te stare porzekadło śmiało można użyć jako hasło, które należałoby umieścić — jako przestrożę dla wszystkich — nad każdym wejściem do metra „stolicy świata”.

Nowy Jork, wrzesień 1987

Listy do redakcji

Monachium, 28.11.87

Szanowny Panie Redaktorze!

Pan Jan Tyberski z Rzymu w nr. 18 „Poglądu” zarzuca mi, iż sam komplikuje rzeczywistość, gdyż „nieprawdą jest, by Włosi kiedykolwiek dotąd deportowali Polaków; w sierpniu były tylko próby niewpuszczenia Polaków... nie doszło jednak nigdy do wydalenia już raz wpuszczonych.” (—)

Otóż w pierwszych dniach sierpnia 1987 Włosi odesłali do Polski samolotem 13 Polaków z terenu Włoch z lotniska Fiumicini. Dopiero kilka dni potem, 14 sierpnia, doniosła o tym z Rzymu m.in. zach-niemiecka agencja prasowa DPA. (...) Identyczną operację powtórzyli Włosi 21 sierpnia 1987 z tym, iż tym razem odesłano przymusowo do Polski ponad 60 osób. (...) Nie jest istotne, czy na lotnisku Fiumicini koło Rzymu Polacy przeszli czy też nie przeszli kontroli celno-policyjnej i tym samym przeszli tzw. „granicę” włoską na lotnisku. (...) Właśnie tego rodzaju przymusowe odstawienie Polaków do PRL, z której chcą się wyostać, samolotem bez możliwości ucieczki z niego, gdzie indziej nazywa się w terminologii prawno-politycznej **d e p o r t a c j a**.

(...) Jak doniósł „Kurier Polski” w dn. 26.08.87 w notatce pt. „Smutny lot z ziemi włoskiej — czuliśmy się jak przestępcy” (...) „po odprawie celno-paszportowej kilkunastu odprawionych wychodzi z lotniska... potem jednak, na bezspornym już terenie włoskim po przekroczeniu granicy — „policjanci wyłtowili wielu z nich” i załadowali przymusowo do samolotu. A więc i z tego punktu widzenia była to deportacja kilkunastu czy też wielu osób, a teza o tym, że nie było żadnej deportacji, gdyż Polacy na lotnisku „nie przekroczyli granicy Włoch” była właśnie tezą... Ambasady PRL w Rzymie, by nie interweniować na rzecz obywateli polskich z ważną wiza włoską! (—)

Z wyrazami szacunku i serdecznymi pozdrowieniami
dr Ludwik Frendl

Od redakcji: Powyższy list ze względów technicznych nie mógł ukazać się w grudniowym wydaniu naszego pisma. Publikujemy go w skrócie uwzględniając ponowne żądanie Autora odnośnie jego ogłoszenia. Niniejszym kończymy polemikę na temat deportowania czy też niedeportowania Polaków z Włoch.

DOKUMENTY

Deklaracja niezależnego ruchu ludowego „Solidarność”

W latach 1945-1947 oraz 1980-1981 ruch ludowy przeszedł dwa potężne przełomy i kryzysy, które zawały na jego autentyczności. Pierwszy był wynikiem tragicznej konfrontacji warstwy chłopskiej zorganizowanej w opozycyjnym Polskim Stronnictwie Ludowym z obcą jej ideologią i praktyką polityczną narzuconą w wyniku porozumień jałtańskich. Drugi był wynikiem zniszczenia struktur organizacyjnych ludowej „Solidarności” odradzającej się i rozwijającej przy boku „Solidarności” robotniczej i z nią razem dzielącej los, jaki przygotował jej stan wojenny z grudnia 1981 r.

Znamieniem obu kryzysów było to, że partia marksistowsko-leninowska z agenturalnym w ruchu ludowym ZLS, podająca się obłudnie za wyraziela i obrońcę interesów klasy robotniczej i chłopskiej, wystąpiła w nim w imię obrony samej siebie.

Przełomy historyczne wywołują w każdym ruchu społecznym, zarówno ludowym jak i robotniczym, potrzebę ponownego samookreślenia się i potwierdzenia swej autentyczności. Życie stawia wciąż nowe problemy i nie sposób dawać te same rozwiązania. (...)

Czas, gdy lud był „wielką niemową” odszedł już dawno do odległej przeszłości. Dzisiaj historyczną prawdą jest, że lud wrósł w naród, że stał się jego fundamentalną częścią, bo spełnia dwie najważniejsze funkcje, bez których nie ma egzystencji biologicznej narodu: żywi i broni, daje chleb i daje swą krew.

W tej sytuacji Konwent Seniorów Niezależnego Ruchu Ludowego „Solidarność” uważa za stosowne ponownie upomnieć się o prawo do suwerennego bytu państwowego Polski, o poszanowanie prawa do własności prywatnej ziemi, do możliwości niekrepowanego rozwoju religijnego, kulturalnego, społecznego i materialnego wsi polskiej.

Dla realizacji tych celów Konwent Seniorów Niezależnego Ruchu Ludowego „Solidarność” powołuje organizację polityczną działającą na rzecz niepodległości, suwerenności i dobra Polski pod nazwą NIEZALEŻNY RUCH LUDOWY „SOLIDARNOŚĆ”.

1. NRL„S” zrzesza w swych szeregach ludzi wsi, związanych z nią swym pochodzeniem, pracą lub trady-

cjami. Jest otwartą drogą dla wszystkich, którzy chcą służyć temu ruchowi, bez względu na pochodzenie, którzy chcą widzieć w nim platformę pracy ideowej w służbie narodowi i ojczyźnie, nie wpływając tą pracą na zmianę właściwego ludowego jego oblicza.

2. NRL„S” czerpie swą siłę ze społecznej nauki Kościoła katolickiego. Wieś polska zawsze była niewzruszoną ostoją Kościoła, a Kościół moralną opoką wsi.

3. NRL„S” stoi na stanowisku solidarności społecznej uznając pluralizm światopoglądowy za podstawę swego działania.

4. NRL„S” uznaje chłopskie gospodarstwo rodzinne za trwałe element gospodarki narodowej, dający gwarancję dostatniej egzystencji i bytu społeczeństwu polskiemu. Mając w pamięci słowa W. Witosa: „Tyle Polski, ile ziemi polskiej w chłopskich rękach”, NRL„S” działać będzie na rzecz utrzymania ziemi w rękach rolników, którzy przekażą ją z kolei swym następcom, a w razie ich braku – sąsiadom.

5. NRL„S” dążył będzie do odbudowy infrastruktury wiejskiej z autentycznym samorządem lokalnym oraz rozwiniętą siecią spółek, niezależnych spółdzielni i zakładów przetwórczych, traktowanych jako równoprawne podmioty gospodarki narodowej.

6. NRL„S” rozwinię działalność na rzecz ochrony zdrowia człowieka i jego środowiska naturalnego oraz krzewienia kultury i oświaty, zwłaszcza wśród młodzieży. W działaniu tym NRL„S” widzi drogę do podniesienia świadomości ludowej i skutecznej walki z patologią społeczną (alkoholizm, narkomania) oraz laicyzacją.

7. NRL„S” wyraża gotowość do nawiązania współpracy z każdym niezależnym ruchem społecznym czy politycznym, których cele nie są sprzeczne z niniejszą deklaracją.

8. NRL„S”, wierny swej tradycji, poczuwa się do obowiązku roztoczenia opieki nad rolnikami i rolnictwem jako bezpośredni reprezentant ich interesów.

Czterdzieści lat minęło od czasu, gdy lud polski przystąpił do budowy autentycznej, niepodległej i suwerennej Polski w swym demokratyzmie — ojczyzny dla wszystkich Polaków. W walce o taki jej wymiar uległ cza-

sowo przemocy opartej na obcej sile, ale walce tej nie koniec. Ona trwa dalej. (...)

Konwent Seniorów Niezależnego Ruchu Ludowego „Solidarność” uważa, że w walce tej nie może zabraknąć nikogo, ani tych chłopów, którzy dotąd stali na uboczu, ani tych, którzy utracili wiarę w przyszłe, lepsze „jutro” opuścili wieś, szukając chleba w mieście, a nawet poza granicami kraju.

Podajemy wspólne działanie zmierzające do utworzenia własnego, autentycznego ruchu ludowego.

Konwent Seniorów
Niezależnego Ruchu Ludowego „Solidarność”

Michał Bartoszcze, Adam Bień,
Stanisław Janisz, Józef Marcinkowski,
Roman Michałkiewicz, Józef Teliga,
Mieczysław Wardziński, ks. Jan Zieja,
Hanna Chorążyna (Bruksela-Belgia).

KOMUNIKAT

W dn. 14 i 15.XI.1987 r. w Rzeszowie odbyło się spotkanie ponad 80 działaczy niezależnego ruchu ludowego i związkowego z różnych regionów Polski.

W pierwszym dniu spotkania z powojenną historią PSL zebranych zapoznali: doc. dr K. Kersten oraz M. Wardziński. O samorządności na wsi mówił ks. Jan Jakubowski.

W drugim dniu spotkania w mniejszym gronie omówiono następujące problemy:

1. Powołanie przez Konwent Seniorów organizacji politycznej pod nazwą Niezależny Ruch Ludowy „Solidarność”. Jako dokumenty programowe przyjęto:

– Deklarację Konwentu Seniorów NRL „S” (1987 r.).

– Program ruchu chłopskiego w Polsce (Rzeszów, 1986 r.).

– Program Ogólnopolskiego Komitetu Oporu Rolników (1985 r.).

Ponadto Konwent Seniorów NRL „S” uznał za celowe prowadzenie dalszej działalności związkowej przez rolników.

2. Możliwości pracy politycznej w środowisku wiejskim (poparte przykładami) na płaszczyźnie:

- samorządu lokalnego i spółdzielczości,
- pracy oświatowej z młodzieżą wiejską,
- ochrony zdrowia człowieka i środowiska naturalnego,

– współpracy z Polakami innych narodowości (Litwini, Białorusini, Ukraińcy, itd.).

3. Sytuację polityczną i gospodarczą Polski – negatywnie oceniono proponowany przez rząd PRL projekt reform poprzedzony referendum. Konwent Seniorów NRL „S” przedstawił analizę sytuacji gospodarczej w Polsce oraz perspektywy rozwoju z uwzględnieniem fundamentalnej roli rolnictwa indywidualnego.

Rzeszów, 15.XI.1987 r.

Ogólnopolski Komitet Oporu Rolników

KOŚCIÓŁ ZATROSKANY O JEDNOŚĆ

Wywiad z Prymasem Polski przeprowadzony przez panią Mercedes Gordon dla madryckiego dziennika YA, Warszawa, 13 listopada 1987 r.

Budzące wiele zastrzeżeń tłumaczenie wywiadu przedrukujemy wiernie za Biuletynem Episkopatu.

– Jak Eminencja widzi sytuację polityczną w Polsce w końcu 1987 roku?

– Myślę, że sytuacja Polski przy końcu roku przedstawia się lepiej niż w jej początkach. Chociaż jest prawdą, że ludzie są zdenerwowani z powodu referendum, które stawia ich wobec trudnego wyboru.

– A jak ludność widzi ofertę pieriestrojki Jaruzelskiego?

– Program nie obiecuje żadnej natychmiastowej poprawy ekonomicznej, ale obiecuje wiele liberalizacji na polu społeczno-gospodarczym.

– Ja widzę polski naród zasmucony; co zdaniem Eminencji jest tego przyczyną?

– Pogorszenie się kwestii cen i nadchodząca epoka niedostatków to powód tego zasmucenia i niemal depresji społecznej.

– Jaka jest postawa Kościoła wobec reform i referendum?

– Oceniając reformę, Kościół opiera się na opiniach specjalistów. Istnieje tylko jeden plan reform gospodarczych, powiązany z reformą życia społecznego i politycznego. Nikt nie prezentuje innego planu, ani poprawek do zaprezentowanego programu. Dlatego Kościół w Polsce, zgodnie z doktryną Soboru Watykańskiego II poucza, że katolicy nie mogą pozostawać biernymi i że lepsza jest trudna reforma niż chaos.

– Jakie są obecne trudności Kościoła w Polsce?

– Podobnie jak w innych Kościołach. Komunizm, egoizm, alkoholizm będący szeroką drogą ucieczki społeczeństwa rozczarowanego tą rzeczywistością i które wydaje pieniądze na alkohol, zamiast oszczędzać. Jednym z naszym wyzwaniem jest pobudzenie chrześcijańskiej nadziei.

– Co dała narodowi trzecia wizyta papieża Jana Pawła II?

– Jego obecność i jego wystąpienia dały Polakom dowody, że trzeba umieć jednoczyć się, że Kościół jest miejscem jednoczenia się.

– W jakiej fazie są stosunki Kościół-państwo?

– Można powiedzieć, że obecnie są poprawne. W tej sytuacji kryzysu państwo nie chce tworzyć sobie jeszcze jednego wroga. Ze swej strony Kościół wie, że dobro polskiego narodu wymaga wzajemnego zrozumienia.

– Czy szybko będą pełne stosunki między państwem a Stolicą Apostolską?

– Nie umiałbym powiedzieć kiedy, ale z przebiegu trwających rozmów można oczekiwać, że zostaną one ustanowione.

KRONIKA EMIGRACYJNA

DEMONSTRACJA W DORTMUNDZIE

Tradycyjnie już — po raz szósty — w rocznicę wprowadzenia w PRL 13.12.81 r. stanu wojennego polscy emigranci demonstrowali w centrum Dortmundu w imię obrony praw człowieka, przywrócenia „Solidarności” prawa legalnego działania, zwolnienia z więzień działaczy organizacji „Wolność i Pokój”, przeciw pogłębiającemu się — na skutek nieudolności władz — kryzysowi i nędzy. Ułożony z chojny, kwiatów i świec krzyż był wyrazem pamięci o rodakach w kraju, o Ojczyźnie.



Na demonstrację przybyli Polacy z pobliskich miast, członkowie Konfederacji Polski Niepodległej z Düsseldorfu, Szymon Jabłoński — przedstawiciel poznańskiego oddziału „Solidarności Walczącej” w Bottropie i Essen, członkowie Chrześcijańskiej Służby Wyzwolenia Narodów w Werl. Byli także przedstawiciele niemieckich partii politycznych, pp. Prochnow z CDU i Hucking z partii „Zielonych”. W swoich wystąpieniach wyrazili oni pełne poparcie dla słusznej walki społeczeństwa polskiego, dla ideałów „Solidarności”. W czasie demonstracji przedstawiono treść listu protestacyjnego do gen. Jaruzelskiego, w którym obarczono go osobiście i jego ekipę odpowiedzialnością za katastrofę społeczno-gospodarczą w kraju. List ten, podpisany przez uczestników demonstracji, zostanie wysłany do generała.

Organizatorem manifestacji było dortmundzkie Ognisko ZPU.
Stanisław Brodnicki

DEMONSTRACJE W MALMÖ I SZTOKHOLMIE

W dn. 12 i 13 grudnia ub. roku w Sztokholmie i Malmö w 6 rocznicę wprowadzenia stanu wojennego odbyły się demonstracje zorganizowane przez Komitet Poparcia „Solidarności”. Protestowano też przeciwko aresztowaniu Kornela Morawieckiego, Hanny Łukomskiej-Karniej i Krzysztofa Szymańskiego. W demonstracji w Malmö wziął udział Lenart Jaern, który przebywał pół roku w peerełowskim więzieniu za usiłowanie przemytu materiałów poligraficznych dla „Solidarności”.
Zbigniew Semeruk

HAMBURG: WIECZÓR PAMIĘCI

W sobotę dn. 12.12. ub. roku zorganizowano w Klubie Polskim w Hamburgu wieczór pamięci poświęcony 6 rocznicy ogłoszenia w kraju stanu wojennego. Nie zapomiano również o wydarzeniach grudniowych z roku 1970. W programie znalazły się m.in. wspomnienia o wypadkach gdańskich z roku 1970, narodzinach „Solidarności”, proklamowaniu stanu wojennego. Wszystkie wspomnienia przeplatane były tematycznie związanymi balladami. Minutą ciszy uczczono pamięć ofiar następstw grudniowych wydarzeń.

Przedstawiciel Rządu RP na Uchodźstwie Wincenty Broniów-Orliński w swoim wystąpieniu podkreślił znaczenie kontynuowania walki o prawa dla „Solidarności” i o demokratyzację życia politycznego. Kilkugodzinny program słowno-muzyczny: „Tragedia polskich grudni” w połączeniu z wystawą zakończył się emisją filmu „Kalendarz wojny”. Organizatorem wieczoru pamięci była Sekcja Hamburg-Południe.
J. Modrzejewska



Wieczór pamięci w Klubie Polskim w Hamburgu

DALSZE PROTESTY WOBEC ARESztOWANIA MORAWIECKIEGO

Niezależne koło PSL w Mannheim (RFN) przesłało w końcu ub. roku do gen. Jaruzelskiego petycję z żądaniem uwolnienia przywódcy „Solidarności Walczącej” Kornela Morawieckiego i aresztowanej wraz z nim Hanny Łukomskiej-Karniej. ek

WICEKONSUL SZPIEGIEM

Wicekonsulowi Konsulatu Generalnego PRL w Malmö — Zbigniewowi Lasocie udowodniono w ostatnich

dnia szpiegostwo. Został on uznany „persona non grata” w Szwecji i otrzymał nakaz opuszczenia tego kraju wraz z żoną i dwójkiem dzieci. Droga dyplomatyczna Szwedzi wystosowali protest do rządu PRL, w którym skrytykowali „dyplomatyczną działalność” pracowników konsulatu w Malmö.

Z. Lasota interesował się przede wszystkim działalnością Komitetu Poparcia „Solidarności” w Lundzie i osobami ubiegającymi się w Szwecji o azyl polityczny. Sugeruje się, że właśnie listę z nazwiskami i adresami „azyłowców” przejął szwedzki służby bezpieczeństwa.

Szef Independent Polish Agency w Lundzie Józef Lebenbaum powiedział, iż nie jest tym wszystkim wcale zaskoczony, ponieważ już wcześniej docierały do niego sygnały mówiące o szczególnym „zainteresowaniu” konsulatu działalnością Komitetu Poparcia „Solidarności”.

Konsul generalny – Jerzy Uldanowicz powiedział szwedzkiemu dziennikarzom, że cała afera z Lasotą jest niepotrzebna, ponieważ miał on „zakończyć swoją dyplomatyczną służbę w Szwecji w 1988 r.” i że wydalenie go może tylko zaszkodzić stosunkom polsko-szwedzkiemu. Wszystkie gazety w Skanii (południe Szwecji) jak również radio i telewizja przez kilka dni komentowały tę wypowiedź i całe zdarzenie. z

ZMARŁ DR JÓZEF LICHTEN

W połowie grudnia ub. roku zmarł w Rzymie dr Józef Lichten. Był on pionierem dialogu pomiędzy Kościołem katolickim a judaizmem. Jego udziałowi w pracach II Soboru Watykańskiego zawdzięczamy ostateczne brzmienie IV rozdziału „Nostra Aetate”, zdejmującego z Żydów ciężące na nich od wieków oskarżenie o zabójstwo Jezusa. Po Soborze dr Lichten zamieszkał w Rzymie, gdzie od niedawna był przedstawicielem Antidefamation League of B'nai B'rith; w tym charakterze uczestniczył w pracach watykańskiej komisji d/s religijnych stosunków z judaizmem. 27 października 1986 Józef Lichten podczas zwołanego przez Jana Pawła II międzynarodowego dnia modlitw o pokój na świecie był jednym z przedstawicieli judaizmu w Asyżu.

Ogłosił dużą ilość publikacji. Na szczególną uwagę zasługuje praca „A Question of Judgement. Pope Pius XII and the Jews”, w której przytacza przykłady pomocy niesionej Żydom przez Watykan w latach ostatniej wojny. Dr Lichten pisał nie tylko o dziejach stosunków katolicko-żydowskich. Zajmowała go od dawna postać „dobrego doktora” – Janusza Korczaka, poświęcił jej wiele artykułów i wystąpień.

Występował wielokrotnie przed mikrofonem Radia Watykańskiego, Rozgłośni Polskiej RWE, Głosu Ameryki. Zmarły pochodził z Polski: w międzywojennej Warszawie ukończył prawo na Uniwersytecie im. Józefa Piłsudskiego. W czasie wojny znalazł się w Nowym Jorku i przyjął obywatelstwo amerykańskie.

Zegnął go 16 grudnia na rzymskim cmentarzu żydowskim przyjaciele i znajomi nie mogli pogodzić się z myślą o nagłym odejściu człowieka zawsze obecnego i pełnego optymizmu, szczególnie gdy szło o stosunki katolicko-żydowskie, które ub. roku nadwyrężyła niefortanna wizyta Waldheima u papieża. Głos dr. Lichtena w obronie Jana Pawła II, któremu nie pamiętano zasług, jakie położył dla postępu dialogu obu religii, był mocny i zdecydowany, choć bardzo osamotniony. Wyzwolenie na wiele spraw i umiar, z jakim do nich podchodził Zmarły zawdzięczał być może swoim polskim korzeniom.

W roku 1986, roku swoich 80-tych urodzin, dr Józef Lichten został odznaczony przez Stolicę Apostolską Komand-

orią Orderu Grzegorza Wielkiego.

Na wieść o jego śmierci papież Jan Paweł II wystosował telegram kondolencyjny do żony, pani Karoliny, w którym wyraża nadzieję, że zażna wiecznego pokoju ten, który przeszedł przez życie czyniąc pokój. ml

WYSTAWA RYSZARDA WAŚKO

Dziwnym zbiegiem okoliczności kilka ostatnich wystaw polskich artystów w Berlinie Zachodnim dotyczyło sztuki współczesnej i jej ustawicznych poszukiwań. Nie inaczej jest też z wystawą Ryszarda Waśko.

Artysta ten jest jednym z głównych przedstawicieli sztuki współczesnej – współtworzył i współuczestniczył we wszystkich ważniejszych działaniach filmowych, happeningowych, plastycznych i analitycznych „nadwiślańskiej awangardy” lat siedemdziesiątych. W 1985 r. został zaproszony jako stypendysta berlińskiej fundacji DAAD i został na Zachodzie.

Jego ostatnia wystawa to *environment* zaprezentowany w grudniu ub. roku w odremontowanej ruinie jeszcze z okresu wojny: Ruine der Künste, Hittorfstr. 5, Berlin, Dahlem. Praca „Hommage for the street” to kilka płyt drewnianych, położonych płasko na podłodze i złączonych ze sobą belkami. Całość pomalowana jest na czarno i jedynie cienką kreską koloru czerwonego zaznaczono nieliczne wzory geometryczne.

Artysta starał się tu zespolić rzeźbę z malarstwem i zbudował układ, który egzystuje z zachowaniem proporcji optycznych i plastycznych tylko w tym jednym, jedynym pomieszczeniu, w którym został zaprezentowany. r

Listy do redakcji

18.12.87

Droga redakcjo „Poglądu”!

W numerze 18 „Poglądu” (listopad) podajecie za „Tagesspiegel” wiadomość o marszu w Nowej Hucie w dn. 13.12.87 w piątą rocznicę zamordowania przez SB Bogdana Włosika. Nie był on jednak – jak piszecie – studentem lecz hutnikiem, pracownikiem Huty im. Lenina. Również wiek 18 lat nie jest zgodny z prawdą. Miał wówczas lat 21.

Pomyłka być może niewielka, ale jako że sam jestem z Nowej Huty rzuciła mi się w oczy. (...)

Chciałbym dodać parę szczegółów związanych z wydarzeniami, w których zginął Włosik. Został on zastrzelony przez cywilnego funkcjonariusza SB, którego rozpoznał w tłumie zebranym opodal kościoła. Jego śmierć stała się powodem demonstracji ulicznych i starć z milicją, który trwały przez następne dwa dni, a zakończyły się faktyczną okupacją miasta przez ZOMO i „czerwone berety”.

W oficjalnie podanym na zakończenie śledztwa komunikacie stwierdzono, że funkcjonariusz, który oddał strzałę, działał w obronie własnej. W jakiś czas potem, w trakcie wizyty w Krakowie, gen. Jaruzelski odwiedził rodzinę zabitego, co odebrano jako przyznanie się do winy. Niemniej potwierdziła się tylko ogólnie znana reguła, że morderca zawsze wraca na miejsce zbrodni.

Z poważaniem

Waldemar Brzeziński, (Zwosten, RFN)

Ewa Darnas – PARYŻ, Paweł Gajowniczek – OSŁO, Wiktor Grotowicz – MO-NACHUM, Jerzy Hoffmann – BERLIN ZACH., Krzysztof Kasprzyk – TORONTO, Maciej Rybiński – BONN, Roman Śmigiełski – KOPENHAGA, Krzysztof Wągrodzki – FRANKFURT/M., Leszek Wyrwa – POLSKA, Andrzej Zwaniecki – WASHINGTON

Przedstawiciele, korespondenci i kolporterzy

AUSTRALIA – Andrzej Lewandowski, 905/32 Dumond Street, Bentley 6102, Tel. 09/3505094;

AUSTRIA – „Polskie Wiadomości”, A. Jaślikowski, Kolbengasse 35/15, 1030 Wien; Księgarnia Polska, Zofia Reinbacher, Burggasse 22, 1070 Wien;

DANIA – Roman Śmigiełski, Worasaesvej 7, 4tv, 1972 Frederiksberg C, Tel. 01/393330;

FRANCJA – Krystyna Szewczuk, 143, rue Etienne Poulet, 69400 Ville-franche s/S, Tel. 74/620945;

KANADA – Krzysztof Kasprzyk, 46 Fuller Ave., Toronto, Ontario M6R 2C3; Marek Przykorski, 4760 Cote des Neiges, Montreal P.Q. H3V 3G3, Tel. 514/7355974;

NORWEGIA – Paweł Gajowniczek, Linderberggassen 29c, 1068 Oslo – 10

RPN – Lucja Abramowicz, Schniederbergstr. 135, 4532 Mettingen, Tel. 05452/3878; Stanisław Brodnicki, Zum Luftschacht 17, 4600 Dortmund 15, Tel. 0231/374673; Zbigniew Długolecki, Grüne Str. 11, 6000 Frankfurt/M. 1, Tel. 069/436260;

Jerzy Janowski, Oskar-Maria-Graf-Ring 54, 8000 München 83, Tel. 089/6371213;

Lech Jarmuła, Postfach 601203, 2000 Hamburg 60; **Jan Kustusz**, Ahornstr. 39, 5760 Arnsberg 1, Tel. 02932/22798; **Tadeusz Leń**, Wienerstr. 307a, 7000 Stuttgart 30, Tel. 0711/8567415; **Krzysztof Plecko**, Neumarkt 1, 4722 Ennigerloh 2, Tel. 02587/1216; Grupa Robocza Solidarność-Eschweiler-Aachen, Z. J. Pilarcy, 5190 Stolberg, im Hirschfeld 19, Tel. 02402/84348;

Marek Poliwski, Luxemburger Str. 124, 5000 Köln 41, Tel. 0221/415734; **Dariusz Scibor**, Neumarkt 1, 4722 Ennigerloh 2; **Waldemar Tymoszek**, Alster Arkaden 10, 2000 Hamburg 36;

SZWECJA – Tadeusz Karolak, Box 83, 13625 Tyreso, Tel. 08/7421457;

USA – Piotr Calka, 4855 W 118th, Alsip 60658 Ill., Tel. 312/5972096; **Mirosław Marecki**, P.O. Box 2202, Holland, MI 49422, Tel. 616/3616648; **Tamara Sochacka**, 5026 Cariff Detroit, MI 48212, Tel. 313/8715377; **Andrzej Wiśniewski**, P.O. Box 1785, Benthany, OK 73008;

WIELKA BRYTANIA – Solidarity with Solidarity, 7 Quintin Ave., London SW20 8LD, Tel. 01/6734456;

„Pogląd” ukazuje się od stycznia 1982 (do października 1982 roku, jako „Biuletyn informacyjny” Komitetu Obrony Solidarności) i jest niezależną publikacją Towarzystwa Solidarność e.V. – zrzeszenia zarejestrowanego w Berlinie Zachodnim, mającego na celu obronę prawa do zakładania niezależnych związków zawodowych oraz obrony praw człowieka w Europie Wschodniej.

Fragmety § 2 Statutu Towarzystwa

Zrzeszenie jest ponadpartyjne i realizuje w swej działalności wyłącznie cele użyteczności publicznej, jakimi są:

1. Popieranie niesienia pomocy dla osób prześladowanych z przyczyn politycznych, rasowych i religijnych, dla uchodźców i wysiedleńców, przede wszystkim z krajów Bloku Wschodniego, a w szczególności z Polski.

2. Propagowanie tolerancji w dziedzinie kultury oraz rozpowszechnianie idei porozumienia między narodami w celu pokojowego ich współistnienia. (...)

3. Propagowanie zbliżenia kulturowego, pomiędzy narodami, a w szczególności między Polakami i Niemcami. (...)

4. Popieranie ruchów demokratycznych w państwach totalitarnych, przede wszystkim w Polsce i w krajach Bloku Wschodniego. (...)

5. Zrzeszenie realizuje swoje cele poprzez uświadamianie i popularyzowanie idei demokratycznych i kultury politycznej. W tym celu:

6. Zrzeszenie rozprowadza swoje czasopismo „Pogląd”/„Meinung” w kraju i za granicą. Zadaniem czasopisma jest informowanie o tendencjach rozwojowych w Polsce i w państwach totalitarnych, przede wszystkim w tych, które należą do Bloku Wschodniego, jak również ma na celu stworzenie forum dla prześladowanych, wysiedleńców oraz uchodźców z tych krajów. (...)

7. Zrzeszenie ma zamiar dokonywać analiz sytuacji w krajach totalitarnych, poprzez organizowanie sympozjów i wykładów oraz publikowanie ich rezultatów w celu informowania opinii publicznej. (...)

Wysyłkę podejmujemy po przekazaniu należności na konto:

„Gesellschaft Solidarność” e.V.
„Pogląd”
Sparkasse der Stadt Berlin West
Konto Nr. 122 001 238 2
BLZ 100 500 00
lub

Postscheckkonto
586 90 - 102
BLZ 100 100 10
Postscheckamt
1000 Berlin (West)
dopisek: POGŁAD

PRENUMERATA

RFN:
półroczna DM 40,-
roczna DM 75,-

Europa i kraje zamorskie
(poczta zwykła):
półroczna DM 45,-
roczna DM 80,-

Kraje zamorskie
(poczta lotnicza):
półroczna DM 55,-
roczna DM 100,-

Australia:
półroczna DM 65,-
roczna DM 120,-

Czytelników w Szwecji prosimy o dokonywanie wpłat na prenumeratę na konto:

Tadeusz Karolak
Postgiro, Nr. 465 0809-9
dopisek: POGŁAD

OFFSETDRUCKEREI
Hans-Jürgen Wichmann
Askeniering 155-156
1000 Berlin 20

CENA DM 6,-

Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk i tłumaczenie wyłącznie za pisemną zgodą redakcji. Zastrzeżenie się prawo skracania nadesłanych materiałów. Materiałów nie zamówionych nie zwracamy. Materiały podpisane nawet nazwiskiem niekoniecznie oddają stanowisko redakcji. Odpowiedzialność prasową za artykuły podpisane nazwiskiem ponoszą autorzy. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

IMPRESSUM

Verleger – Wydawnictwo
Gesellschaft Solidarność e. V.
Geßlerstr. 10, D-1000 Berlin 62
Redaktor odpowiedzialny
Edward Kimczak

Adres redakcji
Postfach 62 02 24
D - 1000 Berlin 62
tel. 030/782 93 84

Postvertriebsstück: A 9878 E

Gebühr bezahlt

Poglad, Postfach 620224,

1000 Berlin 62



**Alkohol
twój wróg**

SOLIDARNOŚĆ WALCZĄCA

WOLNI I SOLIDARNI

PISMO ORGANIZACJI SOLIDARNOŚĆ WALCZĄCA
Dwutygodnik, wydanie A

Nr 25/169, numer 10 nr.
25 grudnia 1988-10 stycznia 1988 r.

DOBRYCH I SPOKOJNYCH ŚWIAT KOŻEHO BAROPIENIA
A W NOWYM 1988 ROKU NIEZŁAMANEJ MADZKI I WIANE W SROKOWIENIO

Liść otwarty do Pana Profesora Władysława Bartoszewskiego
Wielkiego Autorytetu Moralnego

Drogi i Szanowny Panie,

Na początku tego roku moja matka Hanna Łukowska-Karniej otrzymała od Pana list, w którym prosi Pan o wieści, co się z nią dzieje. Impulsem do napisania tego listu była dla Pana odpowiedź mojej matki na fakt opublikowania przez prasę w PRL listu gończego na nią.

Moja mama na razie nie odpowie Panu, gdyż siedzi obecnie w więzieniu pod zarzutem przetrzymywania sobie dowodu osobistego innej osoby.

Pozwalam sobie na odpowiedź w jej imieniu. Miesiąc po ukazaniu się listu gończego, tam w czerwcu 1984 matkę aresztowano pod zarzutem pełnienia funkcji kierowniczych w organizacji "Solidarność Walcząca". W lipcu tamtego roku była na szczątkach amnestii i matkę wypuszczono. Amnestia nie przeważała pama szykan, inwigilacji i obserwacji mojej matki. W lipcu 1985 po brutalnej rewizji połączonej z wyważeniem drzwi mama została unieśka własnego domu. Mówią prosto, została z niego wypędzona przez szkyry Struży Bezpieczeństwa. Ciężar szkykan spędz w tej sytuacji na mnie i moje rodzeństwo. Miałam wtedy 17 lat, mój brat Edward lat 15, a najmłodsza siostra lat 8. Od lipca 1985 do dnia dzisiejszego uwadzono u nas w domu ok. 10 rewizji, najczęściej bez udziału osoby dorosłej. Śledzono nas, podłączano, inwigilowano. Mnie kilkakrotnie zabierano ze szkoły na przesłuchania lub rewizje w domu. Ostatnio np. zabrano mnie na nocne przesłuchanie i tylko dzięki interwencji Wrocławskiej Kurii zwolniono mnie o 12 w nocy. Bywały okresy, że chodziło na mnie nieustannie krok w krok. Szczególnym objawem barbarzyństwa było objęcie tą "jędzochą" osobą mojej młodej siostrzyczki, która dostała od tego rostroju nerwowego, była się wyjęła z domu i ciągle płakała. Musiałam ją potajemnie wywieść z domu i ukryć u znajomych. Obecnie biedne dziecko przebywa u swojej babi /matki mojej matki/, która na 83 lata i jest prawie niewidma, więc sama wymaga opieki. Ciężki los mojej babi ma Pan z listu matki, który tak Pan poruszył. Dla jasności dodam, że ojciec z nami nie mieszka.

W dniu 9 listopada tego roku matkę aresztowano wraz z przewodniczącą organizacji "Solidarność Walcząca". Nie bacząc na błahość zarzutu, o którym już wspominałem, wyudiono ją do Centralnego Aresztu Śledczego w Warszawie, gdzie przebywa do dnia dzisiejszego. Nie mogę uzyskać z nią widzenia mimo upływu miesięcznego terminu. Obstawiam prokuratora Kałca z Wrocławia, że matkę przewiozą do aresztu wrocławskiego pozostając ciągle niezapłacone.

Mnie i mojemu rodzeństwu jest bardzo ciężko bez naszej matki. Dla tego gdziekolwiek Pan jest, proszę Pana o pomoc w celu uwolnienia. Wiem, jak Pan jest wrażliwy na cudzą krzywdę i jak matki jest Pana głos u ludzi dobrej woli na całym świecie. Proszę wy tu mamy w końcu prawo żyć jak ludzie, bez lęku i zgryzoty towarzyszącej kolejnym pokoleniom tej biednej ziemi.

Serdecznie Pana pozdrawiam

Wrocław, 8 grudnia 1987

/-/ Zofia Karniej
uczennica Liceum Medycznego
Wrocław, ul. Kamieńska 4/98

27 - 28 XI w Parlamencie Europejskim odbyła się konferencja, na której p. R. Om-Guonien zapoznał zebranych z "Zasadami Ideowymi SW", przekazał francuską wersję "Zasad...", poinformował o działalności i aresztowaniu Hanny Łukowskiej-Karniej i Kornela Morawieckiego.

13 XII w kościele polskim w Paryżu o. Rudziński mówił o Hannie Łukowskiej-Karniej i Kornelu Morawieckim.

O ŚWIADCZENIU

1. Grzecznościowo kilka razy w przeszłości otrzymałem sprzęt poligraficzny od działaczy "S", ale częściej było to tylko obietnice.
2. Sam żadnych, konkretnych zamówień nie składałem i nigdy przed edytorem sprzętu nie wiadziałem, co zostanie mi przekazane.
3. W drugiej połowie 1967 r. jeden z działaczy "S" na Wybrzeżu zaproponował mi odbiór sprzętu z transportu przeznaczonego dla "S". Obecnie wiem, że transport przejeżdżał hotelem "Marina" w Sopocie został wzięty do kraju pod kontrolą Służby Bez.

4. Dowiedziawszy się, że z inspiracji Kalety i Lebnbauma, a w porozumieniu z Kornelam Morswieckim podjął się organizacji specjalnej grupy terrorystycznej są żywołudnym wyznakiem Służby Bezpieczeństwa.
5. Dowiedziawszy się, że sprzęt polarny w telewizji jest oszukiwany - na nasze nieszczęście - przez PRL w zwykłych domach towarowych na Zachodzie, a posiadania go w Polsce do stycznia 1987 nie było prawie wstrzymane.

16 grudnia 1987 r.

Andrzej Kołodziej

/Inf.wz./ 2 XII 1987 w Paryżu nastąpiło uroczyste wręczenie Nagród Solidarności Dolnego Śląska. Nagrodę otrzymała p. Natalia Gorbaniewska - honorowy redaktor "Biuletynu Dolnośląskiego". Podczas uroczystości odczytano list Kornela Morswieckiego pisanego do Pani Natalii na krótko przed aresztowaniem.

Przy tej samej okazji nagrodę dla Krzysztofa Seniuty odebrał Mirosław Chojecki.

KOMUNIKAT

Honorowymi członkami Solidarności Walczącej zostali p. Bonawentura Migala i p. Jan Jurawicz z Kongresu Polonii Amerykańskiej.

Za Komitet Wykonawczy SW
Andrzej Kołodziej, Andrzej Lesowski

OGRODZENIE - NIE TYLKO POLSKI MIESIĄC 10 grudnia 1948 Zgromadzenie Ogólne ONZ uchwaliło Deklarację Praw Człowieka. W tym roku, z okazji Światowego Dnia Praw Człowieka, Fundacja "AURORA" przyznała nagrodę Zofii i Zbigniewowi Rumszewskim.

15 grudnia 1948 Polska Partia Socjalistyczna, pod naciskiem komunistów, popełniła polityczne samobójstwo. Tego dnia PPS zjednoczyła się z PPR. Z sympatią śledzimy obecne wysiłki polskich socjalistów zmierzające do odzyskania tożsamości.

14 grudnia 1970 na Wybrzeżu rozpoczęły się strajki i manifestacje uliczne przeciw podwładnym. Komunistki strzelali do polskich robotników.

27 grudnia 1979 wojska ZSRR zaatakowały Afganistan, zajęły stołeczną Kabul i pozostają tam do dzisiaj. Miał to być tylko krótki etap w ekspansji nad Zatokę Perską. Marzenie Imperium, aby rozciągnąć się nad ciepłymi morzami wciąż jest nieziszczona. Każda droga do tego celu jest dobra. Wpływ zbrojenia Iraku, a ostatnio ciche uzwiży wobec Chomeiniego. Konkretem dla Iranu ma być budowa nowego naftociągu z Iranu nad Morze Czarne i uruchomienie już istniejącego.

13 grudnia 1981 komunistki zbrojnie zaatakowały MSZZ "Solidarność". Zmagania trwają. W Afganistanie walka zbrojna, u nas walka o serca i umysły.

8 grudnia 1987 Prezydent Ronald Reagan i Sekretarz Generalny Michał Gorbaczow podpisali układ antyrakietowy.

Rok 1987 w Polsce kończy się napięciem i narastającą falą dezorganizacji handlu w oczekiwaniu na podwyżki. Zakłęcia "referendum - reforms" ciudu nie wywołują. Zachodni bankierzy pieniądzy jeszcze nie dali, chociaż już miękną.

W "Solidarności" zsmęt. Jednym pieniądzy nie dają, drudzy ich nie chcą. Wygląda na to, że odnowa przyjęcia 1 mln \$, rozwiązanie TKK oraz ubozwolenie KKW mają swoje korzenie w tej samej wierze. W wierze w polską wersję pierestrojki. Zanim zacznie się tapieć i zmłoczyć odmiennie myślowych w "Solidarności", zanim się uzna za dobrą monetę bzdury głoszone przez zachodnie mass-media i zanim ratyfikuje się układ antyrakietowy warto pamiętać o wspomnianych danych i zażreć do prywatnych notatek Lenina:

"... tak, kulturalne warstwa zachodniej Europy i Ameryki nie są zdolne zorientować się we współczesnej sytuacji i realnym układzie sił; warstwa ta należy uważać za głuchoniemych i odpowiednio z nimi postępować /.../ Kapitaliści całego świata i ich rządy, ganiąc za zyski na rynku sowieckim, zszkła oczu na rzeczywistość i przeistoczą się w ten sposób w głuchoniemych ślepców. Udzielą kredytów, które posłużą nam dla poparcia partii komunistycznych w ich krajach oraz zaspotrąjąc nas w niezbędne materiały, odbudują nasz przemysł wojenny, potrzebny nam dla przyszłych zwycięskich ataków, skierowanych przeciwko naszym dostawcom. Inaczej mówiąc, będą pracować na własne samobójstwo."

Więcej o stałości metod komunistycznych napiszemy już w Nowym Roku. Redakcja

LAUREACI FUNDACJI "AURORA"

Zofia Rumszewska urodziła się 17 sierpnia 1940r. w Warszawie. Ojciec Zofii, Stanisław Płoski, był profesorem historii najnowszej. Był żołnierzem Armii Krajowej. Matka, Ewa Pruska, wyrosła w rodzinie od pokoleń wiązanej z walką o niepodległość i prawa człowieka. Podczas II wojny światowej była instruktorką kobiecej służby dywersyjnej Armii Krajowej. W 1959r. Zofia, po zdaniu matury, wstąpiła na Pirykę w Uniwersytecie Warszawskim.

Zbigniew Rumszewski urodził się w Warszawie 2 stycznia 1940r. Ojciec Jego zginął w Powstaniu Warszawskim. Matka wraz ze Zbigniewem została wywieziona na roboty do Niemiec.

W 1957r. zdał maturę w Warszawie i wstąpił na Fizykę w Uniwersytecie Warszawskim. W 1960r. ożenił się z Zofią Płoską.

Zofia i Zbigniew ROMASZEWSCY : W 1962r. urodziła się im córka Agnieszka. Mimo przeszkód Zbigniew prowadził działalność naukową. Doktoryzował się w zakresie fizyki ciała stałego. Zofia jest wieloletnią, prywatnym nauczycielem fizyki i matematyki. Oboje działali w okresie KORu, legalnego działania NSZZ "S" i po stanie wojennym na rzecz obrony praw człowieka. Na I Zjeździe NSZZ "S" Zbigniew został wybrany do KK NSZZ "S". Wraz z Orłowską, Czolwiewskim, Rulewskim itd. został zaliczony do jedenaścioro najrobinowiczyszych ekstremistów. Oboje z Zofią zostali skazani za zorganizowanie w 1982r. "Radia Solidarność". Po kolejnych zamieszczeniach wychodzą na wolność i odwiedzają Biuro Interwencji NSZZ "Solidarność". Stan faktyczny akceptuje Lech Wałęsa w grudniu 1985 i powołuje Zbigniewa Romaszewskiego na szefa Krajowego Biura Interwencji NSZZ "Solidarność". Romaszewski jest przewodniczącym Polskiego Funduszu Przewodniczości /Polish Defence Found/.

Wiele dla pozyskania międzynarodowej opinii publicznej dla działalności niezależnej w Polsce uczyniła Zofia Romaszewska. W 1985 przeżywała w Stanach Zjednoczonych. Potrafiła wywrzeć z uspienia tamtejszych sympatyków "Solidarności". Od tego czasu władze PRL nie wyrażają zgody na jej podróże zagraniczne. Zbigniew taki szlak obowiązuje od 1980 roku, kiedy to został zaproszony do Madrytu przez amerykańską Grupę Helsińską. W 1985 miał udzielić się do Stanów Zjednoczonych wraz z żoną.

Dla członków Solidarności Walczącej i innych struktur ważną informacją jest zakres działania Polskiego Funduszu Przewodniczości. Nie bacząc na przynależność organizacyjną Fundusz zwraca koszty sądowe, koszty pomocy prawnej, grywny, refunduje utraczone zarobki osobom zwolnionym z pracy za niezależną działalność. Znowu potwierdza się zasadę, że pomoc zdecentralizowana szybciej dociera do ludzi. /skróć artykułu dla "Biuletynu Dolnośląskiego"/

DIENIE PRAW CZŁOWIEKA W WARSZAWIE

10 grudnia w kościele Dnieciwta Jezus odprawiono mszę św. w intencji poszerzenia i przestrzeżenia podstawowych praw osoby ludzkiej. Po mszy Zbigniew Romaszewski odczytał tekst przemówienia, które miał zamiar wygłosić przy odbiorze nagrody. Stwierdził, że mimo liczbowego spadku represji w PRL istota sprawy nie uległa zmianie, gdyż prawo jest traktowane przez komunistów jako narzędzie wspierania swej władzy. Przypomniał, że w więzieniach PRL przeżywa obecnie kilkudziesięciu więźniów politycznych w tym Przewodniczący SW Komel Korwieski.

W tym samym dniu o 13.30 J. Wirnik, P. Nedoń i B. Makarski z Wrocławia wraz z trójką przyjaciół z Warszawy urządzili w stolicy demonstrację na rzecz uwolnienia więźniów politycznych. Na pl. Konstytucji zgromadziło się kilka tysięcy ludzi. Na rusztowaniach 10-piętrowego "Horteksu" rozwieszono 6 transparentów /m.in. żądających uwolnienia K. Korwieskiego, J. Górnego, K. Wolfa/. Następnie, szóstka organizatorów przyknała się łańcuchami do rusztowań, rozrzucając ulotki i rozdając wydawnictwa SW.

Do rozbięcia demonstracji, trwającej 1,5 godziny, rzucano 5 wozów straży pożarnej / + drabina/, kilkanaście wozów MD i brygadę antyterrorystyczną MD.

Inf.wz.

Od Redakcji: Pełny tekst przemówienia Z. Romaszewskiego opublikujemy w "Biuletynie Dolnośląskim" lub "Walce"/. Omówienie uroczystości u p. Romaszewskich w nast. SW/

AFGANIEC / Jura urodził się w 1962r. na wsi koło Świerdżkowa. Ojciec - inżynier, matka - chłopka. Jest najstarszym z czworga rodzeństwa, ma trzy siostry. Ojciec odeszedł od nich i matka wychowywała oną czwórkę sama. Skończył ósmoklasistę i zasadniczą szkołę mechaniczną. Pracę rozpoczął w fabryce. Jesienią 1980 wzięto Go do wojska - JURA : do Kamiąszkowa, do podoficerskiej szkoły wojsk opancyjnych. Wysockim był tam na sierżanta zwiadu chemicznego. Nie, nie docierały do nas w wojsku żadne wiadomości o wojnie w Afganistanie, czy o "Solidarności". Mnie coś tam w gazetach było o kontr-represji w Polsce i pomocy dla Afgańczyków. Na ozytanie nie miałem ani się ani ochoty. Strzela jest ciężka, od 6 do 22. Szkołę skończyło nas 150-oiu. 135 wyjechało do WRD, 5 odeszło do cywila, 5 miało iść na Daleki Wschód i 5 w "Turkmeński Wojskowy Okręg". Oficer wyzwa mnie i pyta: "gdzie chcesz iść - na Daleki Wschód czy na Południe. Wybrałem Południe, ciepłej i bliżej. Miałem dobre stomunki z tym oficerem. Gdyby wiedział, że wybrałem Afganistan i wojnę, ostrzegłby mnie. 9 maja 1981 roku załadowano nas do pociągu. 15-tego byliśmy w Aszchabadzie. Tutaj od razu dowiedzieliśmy się, że jedziemy do Afganistanu. Jakiś pytny, miałem jechać w "Turkmeński Wojskowy Okręg", a jedziemy do Afganistanu. Wtedy dowiedzieliśmy się, że Afganistan to też Turkmeński Wojskowy Okręg. "Kura nie ptica, Afganistan nie sagrańca". Tak, to się sprawdziło. Stacjonowałem w dużych koszarach w pobliżu Kabulu. Mój oddział liczył 30 osób. Byli u nas żołnierze różnych specjalności: łącznościowy, obsługiwał artylerzystę i ja jedyny chemik. Nis przeprowadzono każdego szkolenia wojskowego tylko "polityzantem". Nie dano nam broni. Z rozmów z tymi, którzy byli dłużej i brali udział w "rajdach" zorientowałem się, że nie była to wojna przeciwko pakistańskim, amerykańskim i chińskim imperialistom, a po prostu przeciwko Afgańczykom. Wtedy postanowiłem uciec. Sumienie nie pozwalało mi na taką walkę.

Nie, nie jestem chrześcijaninem. Nie jestem chrzestny. Kiedyś matka postanowiła ochrzcić nas wszystkich razem, mnie i dwie siostry. Miałem wtedy 7 lat. Patrzyłem w cerkiew na to obchodzenie w wodzie i na "mekę" moich siostr. Przetrzaszyłem się, schowałem i tym sposobem pozostając do dziś poganinem. W czwartym tygodniu pobytu w obłomkach Kabulu /połowa czerwca 1981/ naderzyła się olaszka wojskowa. Byłem dyżurnym. Dawało to sensu: milicjanta na 3-4 godziny bez zaalarmowania zwierzchności. To wystarczyło aby odbić od koczarskiego dystansu. Pośrednim na stronę gór. Przeszedł na temat wojskowej z naliczania nie rozmawiając. Nie wzięłam żadnej broni ani żywności. Wyszedłem w mundurze. Po kilku godzinach wędrowni schowałem się w pensji obok drogi i czekałem na cywilny autobus. Kiedy nadjechał wyszedłem z ukrycia i zatrzymałem go. Pasażerowie od razu zorientowali się w czym rzecz. Schowali mnie w autobusie na tyle dobrze, że mimo kontroli dojeżdżałem do wioski opuszczonej przez partyzantów. Tam spytano mnie czy jestem przyjacielem, czy wrogiem. Pomyślałem i odpowiedziałem, że przyjacielem. Pozwolono mi umyć się i dano coś do zjedzenia. Po kilku dniach pieszej wędrowni nocą, w eskorcie pięciu partyzantów, widząc tylko 3 daleka samoloty rosyjskie, dotarliśmy do Peszawaru w Pakistanie. Dowódcą grupy, której tyłem jałem, był Gulbudnek Hattor. Miał żną sżawę u Rosjan. Powiedział, że jestem pierwszym żołnierzem rosyjskim, który ma szanse wyjść z ich rąk żywy. Pakistańczycy nie pozwalali wjeźdź Rosjan na swoim terytorium. Odesłano mnie pod Kandahar. Było nas tam w trójce partyzantów 3 jeńców. Rosjanin, Ukraińiec i Kazach. Siedzieliśmy tam przez 11 miesięcy w kachucy bez możliwości mycia się - jako niewierni. Łańcuchy zdejmowano z nas tylko wtedy, gdy przybywali dziennikarze zachodni lub ludzie z Czerwonego Krzyża. Szwajcar z Czerwonego Krzyża obiecał, że postara się nas stamtąd wydobyć. Którejś nocy kazano nam wstać. Powiedziałem, że jeśli dadzą nam czystą odzież - to dobrze, idziemy w drogę. Jeśli nie, to - rozstrzelają. Za długo to wszystko się już ciągnie. Po jakimś czasie przyzniesiono nam białą i czystą ubranie. Wsiadliśmy do zdobyczonego dżipa i bez przeszkód dojeżdżaliśmy do Quetta w Pakistanie /troń i sprzęt były w większości zdobyczne, czasem trochę chińskich GMAw przeciwlotniczych/. Jechaliśmy z Kandaharu we dwóch /oprócz obstawy/. Kazach przyjął nas i postanowił walczyć po ich stronie. W Karaczi dołączono do nas trzeciego, którego przetrzymywano w pakistańskim więzieniu. Odlecieliśmy do Szwajcarii 26 sierpnia 1982 roku. Tutaj mycie, karmienie lekariami i przydatkami do więzienia w okolicy Neuchatel. Siedzieliśmy tam i pracowaliśmy razem z chuligamski i narkotykami. Szwajcarzy mieli umowę z Afganczykami, że będą nas trzymać 2 lata, a potem możemy robić co nam się podoba. Wioscarn wychodziliśmy do miasta. Weekendy mieliśmy wolne, zarabialiśmy 8 franków szwajcarskich dziennie /ok. 5,5 \$/, sżawie i jedzeniu za darmo. W więzieniu dochodziło do szczytów i innymi "pensjonariuszami". Protestowaliśmy i przeniesiono nas do więzienia w Zug. Tam siedzieliśmy już w dziesięciu. Jeszcze w Neuchatel jeden z kolegów uciekł do Niemiec Zachodnich i od razu otrzymał tam asyl polityczny. Wypuszczono nas 26 czerwca 1984 roku. Thuczek naszej grupy z Zug zmalał mi pracę, postarał się dla mnie o "status humanitarny" i rozpoczął życie tutaj. Statusu uchodźcy politycznego odmówiono mi. Złożyłem odwołanie, walczyłem dobrego adwokata i dano mi ten status. Mam te same prawa co Szwajcar, ale nie głosuję i nie idę do armii.

Jedźnię po Europie na konferencje poświęcone wojnie w Afganistanie. Rodzina wie, że żyje. Z 11-tu jeńców, którzy byli w Szwajcarii 8-miu wróciło do ZSRR, jeden uciekł do RFN, jeden ożnił się z Australiją i wyjechał do Australii, i ja zostałem tutaj. Z tymi, którzy wrócili do ZSRR nie wiadomo co się stało, nie mam z nimi żadnego kontaktu. Nie żałuję swego wyboru.

W Szwajcarii żyje się bez uciążliwych ograniczeń. Pracuję w swoim zswodzie. Ze Szwajcarrami w pracy moje stosunki są zte, nie rozumiemy się i nie jest to kwestia języka, zwan francuski. Do ZSRR nie wrócę. Rozmowę dla SW i Biuletynu Dolnośląskiego przeprowadził :

przeprowadził Askolec

1/ "Afganiec" oznacza żołnierza radzieckiego wracającego z wojny w Afganistanie. Jest to nazwa używana przez ludzi w ZSRR.

KOMUNIKAT

W dniu 7 grudnia br. RKS NSZZ "Solidarność" Region Dolny Śląsk, Organizacja Solidarność Walcząca, Niezależne Zrzeszenie Studentów oraz Porozumienie Społecznych Komitetów Kultury, Nauki, Oświaty i Zdrowia powołały: DOLNOŚLĄSKI FUNDUSZ WYDAWNICZY.

Zadaniem Funduszu jest gromadzenie środków, przyznawanie darowizn oraz wspieranie niezależnej działalności wydawniczej.

RKS NSZZ "Solidarność"	Organizacja	RKS	Porozumienie Społecznych
Region Dolny Śląsk	Solidarność Walcząca	Wrocław	Komitetów Kultury, Nauki, Oświaty i Zdrowia

DEBISKUJEMY : za 1 000 - Związek Pomocy Opozycji Demokratycznej - p. Migale i p. Jurewiczowi z Kongresu Polonii Amerykańskiej; RKS - 1 000 FF; Klębiecie A. z Paryża - 20 \$; Alfa-Mekyk - 2 800 FF; Penelope z Paryża; 315FF za znaczki; dzieci dzielące się pomocą sżawieczną; polsko-francuskim przyjaciółom z Colombes, odsieść.

SW nr 25/169

zsmk. 17 XII 1987 r.

Wydaje Ag. Inf. SW

Podaj dalej!